

# T R Z E Ź W O Ś Ć

MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY, POŚWIĘCONY SPRAWIE WALKI  
Z ALKOHOLOWIZMEM I INNYMI NARKOMANJAMI,  
ORGAN POLSK. T-WA WALKI Z ALKOHOLOWIZMEM „TRZEŹWOŚĆ”,  
POL. KOMITETU DO SPRAW NARKOTYKÓW I ZAPOBIEGANIA NARKOMANJI,  
ABSTYNNENCKIEJ LIGI KOLEJOWCÓW,  
KOŁA LEKARZY ABSTYNNENTÓW  
I WILEŃSKIEGO TOWARZYSTWA WALKI Z ALKOHOLOWIZMEM  
I INNYMI NAŁOGAMI „MENS”.  
*Pod redakcją JANA SZYMAŃSKIEGO.*

Nr. 5-7.

MAJ — LIPIEC 1938.

Rok XIII.

*Przedruk artykułów bez zezwolenia Redakcji wzbroniony.*

## UCHWAŁY PAŃSTWOWEJ NACZELNEJ RADY ZDROWIA, POWZIĘTE NA DOROCZNYM PLENARNYM POSIEDZENIU DNIA 13 CZERWCA 1938 R. W WARSZAWIE.

PAŃSTWOWA NACZELNA RADA ZDROWIA UZNAJE ZA  
NIEZBĘDNE W INTERESIE ZDROWIA PUBLICZNEGO PRZY-  
WRÓCENIE PRZEPISÓW USTAWY PRZECIWAŁKOHOLOWEJ  
Z DNIA 23 KWIETNIA 1920 ROKU W BRZMIENIU Z ROKU 1922.

POZATEM PAŃSTWOWA NACZELNA RADA ZDROWIA  
WYRAŻA PRZEKONANIE, ŻE W INTERESIE ZDROWIA FIZY-  
CZNEGO I DUCHOWEGO SZEROKICH WARSTW LUDNOŚCI,  
ZWŁASZCZA ZAŚ MŁODZIEŻY, LEŻY NATYCHMIASTOWE ZNIE-  
SIENIE SPRZEDAŻY ALKOHOLU W T. ZW. „SETKACH”.

\*

\*

\*

Państwowa Naczelna Rada Zdrowia jest organem doradczym i opiniującym przy Ministrze Opieki Społecznej.

Prace Rady toczą się w ciągu roku w szeregu specjalnych Sekcyj. M. in. w r. 1932, na wniosek prof. *Stanisława Ciechanowskiego* z Krakowa, powołana została do życia *Sekcja Przeciwałkoholowa*, sprawozdania z prac której umieszczamy stale w „Trzeźwości” (ostatnio w poprzednim numerze). Posiedzenia pełnej Rady odbywają się zwykle raz na rok.

Państwowa Naczelna Rada Zdrowia kilka już razy zwracała uwagę w uchwałach swych na sprawę walki z alkoholizmem i na konieczność reaktywowania przepisów ustawy przeciwałkoholowej.

I tak w r. 1935 na plenarnym dorocznym swem posiedzeniu Rada, na wniosek p. *Prof. Stanisława Ciechanowskiego*, powzięła następującą uchwałę:

„Państwowa Naczelna Rada Zdrowia uchwała zwrócić się do Pana Ministra Opieki Społecznej z prośbą, aby Ministerjum Opieki Społecznej zgłosiło na Radę Ministrów wniosek o reaktywowanie najważniejszych przepisów ustawy przeciwałkoholowej, znie-

sionych rozporządzeniem Pana Prezydenta Rzeczypospolitej z dn. 24 października 1934 r, a zwłaszcza w kierunku ponownego nadania gminom miejskim i wiejskim prawa uchwalania miejscowego zakazu, oraz w kierunku ograniczenia nadmiernej liczby koncesji alkoholowych“.

Państwowa Naczelna Rada Zdrowia powyższy wniosek uchwaliła, podkreślając konieczność ustawowego ograniczenia alkoholizmu ze względów eugenicznych i państwowych.

Na następnym plenarnym posiedzeniu Rady p. Prof. Dr. *Stanisław Ciechanowski* zgłosił wniosek:

„Rada ponawia uchwałę zeszłoroczną w sprawie przywrócenia postanowień pierwotnej ustawy o zwalczaniu alkoholizmu“.

\* \* \*

Jak widać z podanej na czele tego artykułu uchwały — Państwowa Naczelna Rada Zdrowia na dorocznym posiedzeniu dn. 13 czerwca b. r. ponownie zajęła się sprawą walki z alkoholizmem; tym razem wniosek zgłosił p. *Dr. Ryszard Kunicki*.

Obrady odbywały się pod osobistym przewodnictwem Pana Ministra Opieki Społecznej, *Marjana Zyndram-Kościalkowskiego*.

Dla informacji podajemy, że w P. N. R. Z. biorą m. in. udział przedstawiciele Ministerjów Spraw Wewnętrznych, Spraw Wojskowych, Komunikacji, W. R. i O. P., delegaci Wydziałów Lekarskich wszystkich naszych Uniwersytetów, oraz przedstawiciele najpoważniejszych instytucyj i organizacyj państwowych, samorządowych i społecznych.

\* \* \*

Dn. 17 lutego b. r. odbył się z inicjatywy p. Fr. Jagielskiego, prezesa Okr. Tow. Org. i Kółek Roln., Zjazd gospodarzy pow. Skierniewickiego. Zjazd odbywał się w wielkiej sali Domu Sejmikowego przy udziale około 800 rolników. Po wysłuchaniu referatów i ożywionej dyskusji Zjazd powziął *jednomyślnie* dwie następujące uchwały:

- I) „Zjazd uznaje za nieodzowne dla podniesienia kultury wsi wprowadzenie, względnie utrzymanie na terenie wiejskim 7-mio klasowej szkoły powszechnej“.
- II) „Zjazd domaga się od miarodajnych czynników przywrócenia dawnej ustawy przeciwalkoholowej, celem ukrócenia pijaństwa na wsi“.

Jak podaje „*Głos Skierniewic i Okolicy*“, skąd czerpiemy wiadomość o Zjeździe w Skierniewicach, rezolucję tej samej treści uchwalili również Walny Zjazd Kół Gospodyń Wiejskich dnia 28 lutego b. r.

Uchwały powyższe *organizacyj wiejskich* są niezmiernie charakterystyczne, jako pochodzące z kół najliczniejszego odłamu naszej ludności, a powzięte samorzutnie, z własnej inicjatywy.

Ten „głos wsi“ w czasie, gdy usiłuje się stanąć „frontem do wsi“, ma swoją wymowę — miejmy więc nadzieję, że będzie wysłuchany!

Dn. 28.IV. b. r. Walny Zjazd członków Uzdrowisk Polskich na wniosek Uzdrowiska Zakopane uchwalił zwrócić się do Ministerjum Skarbu z prośbą o wydanie zakazu 'sprzedaży w uzdrowiskach t. zw. „setek“.

Mieszkańcy historycznej wsi Czarnolas (pow. kozienski, woj. kieleckie), zwrócili się do władz skarbowych z prośbą o cofnięcie koncesji alkoholowej w tej wsi.

Petycja nie została uwzględniona.

To też jest swego rodzaju „front do wsi“ — wódczany.

Przed tym „frontem“ musi się cofnąć i „historyczność“, i interes ogółu, i jego wola.

Potężny to „front“ w Polsce!

*Jan Szymański.*

## OPIEKA SPOŁECZNA, A WALKA Z ALKOHOLIZMEM.

(Skrót referatu, wygłoszonego na Zjeździe Delegatów Kół Tow. Trzeźwość i pokrewnych Organizacyj, w dniu 26.V. 1938 r., w Warszawie).

Wyniki działalności państwa, narodu, rodzin i jednostek zależą od tego, czy jest ona podjęta z myślą o przyszłości, czy też jest to działalność z myślą tylko o dniu dzisiejszym.

Śmiało nazwać można wiek dwudziesty — wiekiem profilaktyki, tak bardzo na plan pierwszy wysuwa się we wszystkich dziedzinach myśl o jutrze, chęć uczynienia go jasnym i pogodnym, zapobieżenia wszystkiemu, co mogłoby uczynić je pochmurnym i smutnym.

Jesteśmy świadkami wręcz rewolucyjnych przeobrażeń. Do takich należy choćby postęp medycyny. W okresie ostatnich lat kilkudziesięciu powstaje cała olbrzymia dziedzina profilaktyki — zapobiegania chorobie i utracie zdrowia, oraz wzmacniania sił człowieka.

Podobne przeobrażenia zaczynamy obserwować w opiece społecznej. Powszechnym staje się zrozumienie, że nie wystarczy rozdawnictwo zapomóg tym, którzy cierpią nędzę, że jest natomiast koniecznością zapobiegać upadkowi człowieka, że trzeba chronić jego siły, trzeba siły te pomnażać.

Na całym świecie obserwujemy dziś gorączkową walkę — walkę o podniesienie rodziny, bo tylko rodzina zdrowa moralnie, fizycznie i gospodarczo może być rzeczywiście podstawową komórką społeczeństwa. Tę ewolucję przechodzi i opieka społeczna w naszej stolicy.

Opieka społeczna przekształca się w pomoc i profilaktykę społeczną.

Stara się usuwać z rodziny te wszystkie czynniki, które, działając rozkładowo, osłabiają jej siły. Rodziny, które pozostają w nędzy, stara się dźwignąć, zachęcić do pracy nad sobą, zachęcić do walki o samodzielny byt i w walce tej wspomóc je.

Na przeszrodzie jednak zarówno w zapobieganiu upadkowi rodziny, jak i w wysiłkach nad dźwignięciem rodziny, staje alkohol.

Ileż to rodzin rozbił, zrujnował i upodlił alkohol. Ileż ludzi pchnął na dno nędzy, czyniąc wręcz niemożliwym powrót ich do społeczeństwa. Ileż nieszczęść i zbrodni był powodem. Ileż dzieci pokutuje za alkoholizm rodziców. O tem najwięcej powiedzieć może lekarz, pracownik opieki społecznej i sędzia. Każdy z nich powie, że rozmiary klęski alkoholizmu są olbrzymie i że wzrastają one stale w sposób niepokojący, a wzrastają dlatego, bo wzrasta spożycie alkoholu. Zresztą nie może być

inaczej, skoro się zważy, że wzrost ten nie jest nie tylko hamowany, ale wręcz propagowany.

Powiedział przed wojną minister carskiej Rosji Witte, że „budżet Rosji jest jak nalewka — opiera się na spirytusie“.

W naszej walce o jutro Państwa Polskiego posuwamy się naprzód we wszystkich dziedzinach. We wszystkich — z wyjątkiem jednej — naszego stosunku do zagadnienia alkoholizmu. Na tym odcinku niema walki o jutro, nie ma nawet walki o dziś. Na tym odcinku cofamy się. Trudno zrozumieć politykę monopolu spirytusowego i jego usiłowania, aby ta nalewka, o której mówił Witte, stała się w Polsce zamiast słabszą — coraz mocniejszą.

Państwo tworzy monopol po to, aby zahamować pewne nałogi swych obywateli, albo by dać im ujście możliwie jak najmniej szkodliwe dla nich samych i Państwa.

Istnieje monopol loteryjny. Nie wolno grać obywatelom na loterjach innych państw, nie wolno bez zezwolenia władz urządzać wszelkich loterii nawet na najpiękniejsze cele.

Z chwilą jednak, gdy monopol loteryjny zaczyna propagandę loterii, gdy zaczyna zachęcać szerokie rzesze ludności przez plakaty, radio, prasę, kino do nałogu gry, gdy co dzielniejsi kolektorzy są wyróżniani — wypacza się właściwe cele monopolu. To samo dzieje się z monopolem spirytusowym. Polska opracowała ustawę antyalkoholową, która była Jej chlubą. Z ustawy tej nic już dziś nie zostało. A inne przepisy? Weźmy dla przykładu rozporządzenie wykonawcze z 30 lipca 1931 roku do ustawy z dnia 21 marca 1931 roku. Okazuje się, że z 33 paragrafów tego rozporządzenia, obowiązuje obecnie zaledwie 10. Reszta została uchylona. Jesteśmy bodaj jedynym krajem w Europie, który nie tylko nie rozszerza ustawowej walki z alkoholizmem, ale wręcz zwęża jej zakres. Propaganda spożycia alkoholu jest coraz większa, a równocześnie symboliczny, wprowadzony przez ustawę 1% od dochodu monopolu na walkę z alkoholizmem, jest nie tylko nie powiększany, ale przeciwnie, coraz bardziej staje się prawdziwym symbolem — coraz mniejsze sumy idą na cele walki z alkoholizmem.

Propaganda alkoholizmu zwiększa się. Czy trzeba na to dowodów? Dość pójść na pierwszy lepszy polski film — w każdym filmie występuje jako postać ucieszna pijak, w większości sztuk i książek polskich autorów musi znaleźć się alkohol — ale nie jako temat ponury, ale jako temat wesoły.

Wystarczy włączyć głośnik radjowy — jakże często słyszymy czkawkę i djalogi pijaków — a nigdy nie słyszymy głosów prawdy o alkoholu.

Prasa również bierze udział w propagandzie spożycia alkoholu. Ileż to czytujemy uciesznych artykułów o alkoholikach, artykuły te i notatki urabiają niesłychanie wyrozumiały stosunek społeczeństwa do alkoholizmu, który sprzyja wzrostowi tej kłęski społecznej. Prasa nie docenia wprost, jak wielkie są jej możliwości w walce z alkoholizmem, jak bardzo może walkę tę wspomóc — lecz i jak bardzo może ją utrudnić. Często prasa walkę tę utrudnia zupełnie bezwiednie.

Przed niedawnym czasem, naprzykład, w szeregu dzienników ukazały się artykuły o tem, że należy uchylić niemoralny rzekomo przepis

ustawy, który zabrania restauratorowi dochodzenia należności za wydany na kredyt alkohol. Ależ autorzy tych artykułów nie zdają sobie sprawy, do czego uchylenie tego zakazu doprowadziłoby. Słusznie w czasie jednego z ostatnich procesów prowadzący rozprawę sędzia powiedział, że w przekonaniu restauratora gość zawsze jest trzeźwy. Ci „trzeźwi“ goście chętnie skorzystają z kredytu. Ale co powiedzą ich rodziny, gdy wkrótce potem przyjdzie komornik i ostatnie sprzeda rzeczy — za dobre serce restauratora, który na kredyt napoił spragnionego „trzeźwego“.

Nie mówię już o propagandzie, którą prowadzi sam Monopol Spiytusowy. Propagandą tą — to maleńkie buteleczki wódki, dostępne dla każdego. Gdy organizacje antyalkoholowe zwróciły się z protestem do dyrekcji monopolu — odpowiedziano, że buteleczki te wprowadza się tytułem próby. Próba ta, zdaniem monopolu, udała się, bo konsumcja alkoholu wzrosła. Innego zdania są ci, którzy walkę z alkoholizmem prowadzą. Ci bowiem pragną zmniejszenia tej konsumpcji.

\*

\*

\*

Organa opieki społecznej biorą udział w walce z alkoholizmem. Jest ona prowadzona równolegle na kilku odcinkach.

Jako najważniejszą — należy wymienić akcję profilaktyczną zapobiegania alkoholizmowi poprzez poradnie, czynne przy Ośrodkach Zdrowia i Opieki, Świetlice, propagandę (wystawy, odczyty i t. p.).

Opieka społeczna musi zająć się również i skutkami alkoholizmu. Ogromnym ciężarem kładą się na jej budżecie koszta leczenia alkoholików, koszta utrzymania w zakładach dla psychicznie chorych — tysięcy ofiar alkoholizmu, koszta opieki nad dziećmi - epileptykami, ciężko dziedzicznie obciążonymi przez rodziców-alkoholików i t. d.

Wydatki na opiekę nad ofiarami alkoholizmu są konieczne, ale społecznie są one niestety zupełnie nieprodukcyjne i jako takie, zmniejszają w sposób wydatny i tak już szczupłe środki opieki społecznej.

W ostatnich czasach służba opiekuńcza w stolicy wkroczyła również na drogę przymusu. Korzystając z uprawnień, jakie przysługują jej z mocy rozporządzenia z dn. 14 października 1927 r. (Dz. U. Nr. 92 poz. 823) \*), służba opiekuńcza rozpoczęła kierować do domu pracy przymusowej te osoby, które według określenia rozporządzenia, „nałogowo oddając się pijaństwu, dochodzą do takiego stanu, iż dla utrzymania ich samych, bądź tych, których obowiązani są żywić, udzielić trzeba pomocy z tytułu opieki społecznej“.

Chodzi w danym wypadku nie tyle może o samego pijaka (domy pracy przymusowej nie leczą, a sama tylko praca i surowy rygor nie zawsze są dość skuteczne), ile o jego rodzinę. Chodzi o to, aby rodzina

---

\*) Rozporządzenie to zostało wprowadzone w życie tylko na terenie m. st. Warszawy, oraz województw poznańskiego i pomorskiego. Na innych terenach niestety nie obowiązuje.

mogła odetchnąć od pięści pijaka przez ten czas, gdy będzie on z jej środowiska przymusowo usunięty.

\* \* \*

Nie możemy taić, że wszystkie poczynania opieki społecznej w zakresie walki z alkoholizmem — to przysłowiowa „kropla w morzu“ i że stan ten niewiele się zmieni, nawet jeśli będziemy w finansowym i fizycznym stanie podwoić czy potroić rozmiary tej walki.

Walkę z alkoholizmem, aby mogła być rzeczywiście skuteczna, muszą podjąć wszystkie czynniki publiczne — musi podjąć całe społeczeństwo.

Chyba, że obojętnym jest dla niego, co będzie jutro.

*Jan Starczewski.*

### CO WIDZIAŁEM NA MIĘDZYNARODOWYM ZJEŹDZIE „PŁYNNEGO OWOCU“ I JAKIE STĄD WYSNUŁEM WNIOSKI.

(Referat, wygłoszony na Zjeździe Delegatów Kół Tow. „Trzeźwość“ i pokrewnych Organizacyj, dn. 26.V. 1938 r. w Warszawie).

W roku ubiegłym, podobnie jak teraz, miałem zaszczyt przemawiać na Zjeździe delegatów Kół Tow. „Trzeźwość“.

Nie wiem, czy wszyscy Państwo sobie przypominają jedną z myśli moich, którą poruszyłem w referacie o środkach propagandy abstynencji; podkreśliłem mocno skuteczność *pozytywnego* środka, jakim jest wprowadzenie do życia towarzyskiego i rodzinnego butelek z płynnym owocem, czyli nektarem — zamiast butelek z alkoholem.

Podkreśliłem to tak mocno dlatego, że ilekroć mówiłem o potrzebie abstynencji — spotykałem się ze zdaniem: „A co wzamian kieliszka z alkoholem postawić na stół, jak przyjdą goście?“ „Przecież to już w tradycję weszło!“ „Nie wypada“. „Nie uchodzi“. „Gości trzeba poczęstować!“ „Coby powiedzieli?“ i t. p. i t. p.

Trudno nie przyznać racji, tradycja jest siłą, z którą liczyć się trzeba, inaczej będziemy w pewnej mierze nierealni.

Ale przecież nie chodzi nam o kieliszek, przypuszczam, tylko o to, *co w kieliszku*, chodzi o zastąpienie alkoholu - trucizny, napojem zdrowym, życiodajnym, a takim jest nektar czyli owoc w płynie, który zawiera wszystkie składniki, z wyjątkiem tłuszczu, jakich potrzebuje organizm ludzki, a więc wodę, odpowiednie sole, cukier, białko, zdrowotne witaminy. Ten życiodajny napój - nektar otrzymujemy z wytłoczenia świeżych, niesfermentowanych owoców bez dodania jakichkolwiek środków chemicznych.

Mówiąc o tem, wyraziłem w końcu swego referatu żal, że niestety z braku odpowiedniej ilości fabryk płynnego owocu w Polsce, oraz z braku odpowiedniej propagandy powyższego produktu, długo będziemy musieli czekać na to, aby ten bardzo skuteczny środek mógł mieć u nas praktyczne zastosowanie, a co za tem idzie, aby klęska alkoholizmu w pozytywny sposób mogła się osłabić.

Pamiętam, jak dziś, jak po moim referacie zabrał głos jeden z panów z sali, który, przynajmniej to tak wyglądało, jakoby się ze mną

przedtem umówiwszy, oświadczył, że właśnie jest on tym człowiekiem-fachowcem, który, po dwuletnich studiach polskiego języka, przybył do Polski z Niemiec — krainy nektarów, aby naukę produkcji płynnego owocu na szerszą skalę spopularyzować wśród najszerszych warstw i pomóc, aby ta gałąź produkcji w Polsce mogła stanąć na wysokości zadania podobnie, jak w Niemczech. Tym mówcą był p. *Skutella* \*).

Zapewnienie p. Skutelli dodało mi otuchy, że jednak myśl płynnego owocu ma przed sobą przyszłość w Polsce, a co za tem idzie i jutrzeńka skuteczniejszej walki z alkoholem ma szanse przed sobą.

Niedługo potem otrzymałem zaproszenie na międzynarodowy Kongres płynnego owocu do Berlina. Korzystam skwapliwie z tego i jadę, aby przypatrzeć się na miejscu sukcesom zagranicy na tem polu.

Na miejscu dowiaduję się, że z Polski przybyło razem około 30 osób, interesujących się tem zagadnieniem i pracujących na terenie akcji przeciwalkoholowej.

Kongres zgromadził setki abstynentów, oraz wytwórców płynnego owocu ze wszystkich krajów europejskich, a zwłaszcza z Niemiec, Włoch, Szwajcarii, Francji i krajów Skandynawskich.

Obrady odbywały się w wielkiej sali Opery, obecnie służącej dla zebrań Parlamentu, która była wypełniona po brzegi, co świadczy o wielkiem zainteresowaniu zagadnieniem.

Na korytarzach pierwszego piętra urządzona była wystawa przez producentów owocu płynnego, gdzie kilkadziesiąt ekspedjentek sprzedawało na kieliszki najrozmaitsze przetwory płynnego owocu, począwszy od jabłka po przez wiśnie, porzeczkę, rabarbar, morele, poziomki, jagody aż do winogron, naturalnie w przepięknych kieliszkach i puhanach.

Jeszcze dziś widzę mlaskające i oblizujące się nie tylko panienki, ale starych Niemców, którym widać nektar lepiej smakował od gorzkiego piwka.

Cała masa reklam i fascynujących plakatów i ulotek. Wśród powodzi kwiatów pełne stoiska butelek, buteleczek w najwytworniejszem opakowaniu.

Oto widok pierwszego piętra.

Spuszczamy się niżej. Parter cały, to jedno wielkie stoisko najróżnorodniejszych maszyn, maszynek, tłoczní większych i mniejszych, aparatów, aparacików, technicznych udoskonaleń, a wszystko zmierza ku jednemu tematowi produkcji nektaru w najnowszej, w najdoskonalszej technicznie formie.

Przy aparatach cała masa instruktorów, informatorów, a nawet spotkało się urządzoną w minjaturze przetwórníę tak zw. zimnego, jak również gorącego sposobu wytwarzania nektaru.

---

\* ) Pierwszą, o ile mi wiadomo, w Polsce, która przyczyniła się do spopularyzowania wytwórczości płynnego owocu, przez wydanie książki „O nektarach“ była p. Szechtłówna z Poznania, a ideę płynnego owocu od pewnego czasu propagują na swych łamach „Świt“ i „Przyjaciel Trzeźwości“, organy katolickiego związku abstynentów. Poznań, Podgórna 12a.

Nic dziwnego, Niemcy potrafili już zaopatrzyć w techniczne urządzenia około 3.000 fabryk swoich i przetwórní.

\*

\*

\*

A teraz nieco uwag o treści obrad:

Przedpołudnie pierwszego dnia poświęcono omówieniu gospodarstwa znaczenia płynnego owocu \*).

Przemawiali: przedstawiciel szwajcarskiego związku hodowców owoców, radca *Stulz* z Zugu, kierownik głównej włoskiej stacji doświadczalnej z zakresu uprawy winnic dr. *Dalmasso* z Gonnegliano i przywódca niemieckich posiadaczy winnic *Diehl* z Berlina. Nektary są — wynikało z przemówień, świetnym regulatorem produkcji i konsumpcji owoców zarówno w latach kryzysu i nadmiaru owoców, jak i w latach niedostatecznych zbiorów; w krajach o sławnym owocostanie rozwijają uprawę owoców; tworząc nową gałąź życia gospodarczego: przemysł i handel bezalkoholowy — ożywiają to życie i stanowią pomoc w walce z bezrobociem. Do wspaniałego rozwoju tego nowego ruchu przyczyniły się nie tylko względy gospodarcze, lecz w równej mierze — bo trudno ustalać, które więcej — takie czynniki, jak poznanie wartości zdrowotnej owoców, nowoczesne wskazania higieniczne, reforma odżywiania, ruch sportowy, młodzieżowy, kobiecy, przeciwalkoholowy. Kiedy dawniej podkreślano głównie potrzebę życia bez alkoholu — obecnie, zachowując tamto, nauczono się cenić te napoje bez alkoholu, które posiadają nadto znakomite wartości odżywcze.

Drugie pół dnia omawiano zdrowotne i lecznicze wartości nektarów. Wybitni lekarze — jak prof. dr. *Reiter*, Prezydent Urzędu Zdrowia Rzeszy w Berlinie, prof. dr. *Heupke* z Frankfurtu n/Menem — przedstawili ogromnie ciekawe dane, wzięte także z własnej praktyki. Prelegenci kładli nacisk na to, że owoc nie jest używką, lecz środkiem wybitnie odżywczym, zdobywającym stopniowo należne sobie miejsce w problemie właściwego odżywiania się narodu. Nektary — to wielka praktyczna konserwacja owocu. Poza mlekiem „płynny owoc“ jest jedynym napojem, który można nazwać narodowym środkiem odżywczym. Wogóle Niemcy zagadnienie to wiążą ściśle z pracą nad wzmoczeniem siły i tężyzny fizycznej. Zdrowemu nektar przysparza sił — chorego leczy. W rozlicznych chorobach stosował dr. Heupke nektary zawsze z dodatnim wynikiem — były nawet wypadki uleczenia ciężkich chorób. Miejmy więc nadzieję, że powoli nektar, zawierający przeciw właściwości lecznicze owoców, znajdzie coraz szersze zastosowanie w medycynie, wypierając aplikowanie alkoholu, jako środka leczniczego.

Po tych zachęcających perspektywach w ciągu całego przedpołudnia w drugim dniu obrad rozpatrywano kwestję uświadamiania i propagandy. Ogromnie interesujące były wywody pani dr. *Vorwerck* ze związku kobiet niemieckich „*Deutsche Frauenwerke*“, która wskazała

\*) Porównaj „*Świt*“ 1937 r. Nr. 4, str. 202.



powody, skłaniające kobiety do zajęcia się tem zagadnieniem na pierwszym miejscu stawiając obowiązek troski o zdrowie fizyczne i duchowe rodziny, oraz mówiła o takich działach Związku, jak przeprowadzenie w 1936 r. 2224 kursów i wykładów o nektarach, przyczem użyto 552 razy przez Związek wydanego filmu z tego zakresu; obsługiwano radio, prasę, wydawnictwa, wystawy i t. p. Akcję tę prowadzi Związek wśród milionów członkiń poprzez 22.000 placówek lokalnych, podkreślając potrzebę odżywiania i uchronienia środków odżywczych przed zniszczeniem.

Kiedy Polskie organizacje kobiece prowadzić będą podobną akcję?

Wspaniale przedstawił nauczanie szkolne o nektarach znany działacz przeciwalkoholowy i sam wytwórca „płynnego owocu“ prof. Gachot ze Strasbourga. Owoc w ręku nauczyciela, miłującego przyrodę, stać się może dla młodzieży najmiłszym przedmiotem nauki, pełnym tajemnic. Łatwość przeprowadzenia doświadczeń nauczy młodzież rozumieć istotę fermentacji niszczącej w  $\frac{4}{5}$  najlepsze składniki owoców i cenić wartość owocu nieuszkodzonego. Nauczyciele szwajcarscy dokonali już cudów w tej dziedzinie i im przedewszystkiem zawdzięcza Szwajcarja ogromny rozwój ruchu na rzecz „płynnego owocu“ (na 4 miliony mieszkańców Szwajcarja ma 12 milionów drzew owocowych — czyli po trzy drzewa na każdego mieszkańca!)

Pouczające dla nas również było to, co mówiono o ogrodach działkowych, które dużo wnoszą do tego ruchu i dla których projektuje się specjalne urządzenia, ułatwiające wyrób nektarów. Niestety, nasi działkowcy na starą jeszcze modłę ciągle niszczą swoje nieliczne owoce na fabrykację napojów alkoholowych!

Wskazano na takie środki propagandy, jak próbki napojów, plakaty, broszury, a przedewszystkiem wielkie imprezy krajowe (wystawy), ze względu na obecność wielkiej masy ludzi — przyczem posługują się uderzającymi hasłami, np.: „Płynny owoc służy wszystkim; jaki inny napój może to o sobie powiedzieć?“ Podkreślają stale, że nektar nie jest tylko napojem bezalkoholowym, lecz *pełnowartościowym środkiem odżywczym*, o wielkiem znaczeniu zdrowotnem i gospodarczem. Stąd też propaganda ma charakter kolektywny (podobnie jak w Szwajcarji): prowadzą ją wszystkie zainteresowane czynniki (należą do nich również organizacje przeciwalkoholowe). Skutek taki, że spożycie nektarów nie tylko nadzwyczajnie wzrasta, ale gruntuje się świadomość, że to napój dla wszystkich, a więc napój *narodowy*.

Po południu do głosu przyszyły kwestje prawne. Nowa ta gałąź przemysłu pociąga bowiem za sobą potrzebę prawnej regulacji wyrobu i sprzedaży. Chodzi o surowiec, środki konserwujące, nazwy używane, etykiety i t. d. Podstawową rzeczą jest produkt zupełnie naturalny (stąd zakaz stosowania *chemicznych* środków konserwacyjnych) i o wysokiej jakości (stąd założenie wytwórni, a nawet zwiększenie produkcji, wymaga odpowiedniego zezwolenia). Wypowiedziano się przeciw opodatkowaniu nektarów — naogół opodatkowanie istnieje głównie w krajach wina, gdzie brak jeszcze właściwej klasyfikacji „płynnego owocu“ i gdzie pociąga się go pod kategorję innych napojów.

Wreszcie cały dzień poświęcono technice wyrobu nektarów, omawiając kwestję surowca, metod usuwania grzybów fermentacyjnych,

przechowywania nektarów, transportu i sprzedaży. W dyskusji zdania były podzielone co do większej wartości metody pasteryzacji względnie filtrowania. Stało się na tem, że różnicy nie da się jeszcze obecnie ze stuprocentową pewnością ustalić, — a ponieważ wśród spożywców są zwolennicy i jednej i drugiej metody, zachowuje się je obie (podobnie jak nektary klarowane i nieklarowane). W fazie doświadczeń jest nowa metoda z użyciem promieni ultrafioletowych.

W ostatnim dniu zebrano wnioski z Kongresu, które można streścić w tych słowach, że „płynny owoc“ tryumfalnie kroczy naprzód pod hasłem nie niszczenia żadnego z darów nieba i że na tej płaszczyźnie schodzą się wszyscy, którzy pragną zdrowia, tężyzny i lepszej przyszłości narodu. Ciekawie na ten temat przemawiał dr. Polzer, sekretarz generalny Kongresu i pracownik niemieckiego Związku Przeciwalkoholowego.

Właśnie w celu zyskiwania sobie zwolenników ze wszystkich kół społecznych — Kongres nie podkreślał zdecydowanie nastawienia przeciwalkoholowego, choć przemówienia wielu mówców miały akcenty przeciwalkoholowe, a niektórzy podkreślali je zupełnie wyraźnie.

\* \* \*

Kiedym to usłyszał i kiedym to wszystko zobaczył, a zwłaszcza kiedym usiadł w pociągu i spokojnie to wszystko rozważył, zaczęły mi się snuć po głowie refleksje, wnioski, zwłaszcza kiedy stanęły mi przed oczyma cyfry, uwidocznione w jednym z numerów „Przyjaciela Trzeźwości“ (\*\*), że w Polsce wypijamy w jednym roku około 250 milionów litrów napojów alkoholowych w postaci wódek, likierów, konjaków, piwa, wina i t. p.

Gdyby napoje te miały przepłynąć przez wodotrysk, wydający 100 litrów na minutę, płynęłyby dzień i noc bez przerwy całe lat 5. Płynąc 12 godzin na dobę, potrzebowałyby 10 lat, a przy 6 godzinach na dobę — 20 lat.

W Polsce przepijaliśmy dotąd co roku *przeciętnie miliard złotych*. Gdyby ktoś chciał ten miliard przeliczyć w złotówkach, licząc 8 godzin dziennie i kładąc co sekundę złotówkę — zabrakłoby mu życia, musiałyby liczyć 95 lat... Ten miliard starczyłby na pobudowanie 200 tysięcy domków po 5.000 zł., któreby mogły pomieścić jeden milion mieszkańców, czyli licząc od początku niepodległości Państwa, prawie wszyscy mieszkańcy mogliby już mieszkać w swoim domu.

To fakt... to nie iluzja...

A jednak, jakież straszny w rzeczywistości kontrast! Setki i tysiące rodzin bez dachu nad głową, robotnik gnije w norach suteryn i poddaszy, a alkohol jak lał się, tak i nadal leje się i horoskopów poprawy na lepsze nie widać.

Jakież stąd wnioski. Czy zwątpić? Nie... Przenigdy... Sursum corda...

Powstała w mej głowie myśl, że należy wziąć się do roboty, że Polska musi ruszyć z miejsca, i do sprawy nowej gałęzi przetwórczo-owocowego musi przystąpić na całej linii.

Pozwólcież więc Sz. Państwo, że w konkluzji mego referatu wy-

\*\*\*) 1938 luty.

ciągnę wnioski, które niechaj posłużą za materiał do dyskusji, która mojem zdaniem powinna się wywiązać po referacie.

- 1) Należy sprawę produkcji płynnego owocu postawić, jako czwarte zagadnienie akcji przeciwalkoholowej w Polsce.
- 2) W tymże celu należy poprzeć i zorganizować producentów płynnego owocu, którzy już istnieją i serdecznie pomóż do powstania innym, którzy do tego *pozytywnie* się zaborą.
- 3) Należy powoływać do życia spółdzielnie, które będą miały za cel wytwarzanie nektarów. (Obecnie czynniki miarodajne popierają bardzo idee spółdzielni i w miarę możliwości nawet finansują inicjatywę).
- 4) Urządzać kursy dla fachowców do prowadzenia tego rodzaju przetwórci.
- 5) Stworzyć komisję, która będzie miała za zadanie czuwać nad jakością produktu celem *tępienia partactwa*, które może katastrofalnie odbić się na zdobyciu społeczeństwa dla nektarów.
- 6) Rozpoczętą propagandę w pismach abstynenckich i innych odnośnie płynnego owocu w dalszym ciągu usilnie prowadzić na wszystkich frontach.
- 7) Zainteresować radjo.
- 8) Zainteresować szkoły sprawą płynnego owocu zarówno i wojsko, szpitale, organizacje sportowe, młodzieżowe, harcerskie, kobiece i t. p.

Dalej, od teoretycznej propagandy należy przejść do praktycznego realizowania myśli.

Stąd:

- 1) należy tworzyć kioski z płynnym owocem;
- 2) na imprezach i zabawach urządzać bufety z nektarem;
- 3) szkolne sklepiki zaopatrzyć w nektary;
- 4) spółdzielnie, które mają w statucie zabronioną sprzedaż alkoholu, zobowiązać do sprzedaży nektarów;
- 5) w organizacjach, na dworcach kolejowych, stadjonach, szpitalach, w aptekach Kas Chorych urządzać gablotki z nektarem;
- 6) należałoby wydać filmowe przezrocza do odczytu, względnie nakręcić film ilustrujący omawianą sprawę;
- 7) mocno zainteresować prasę.

A teraz pytanie, kto się ma tem zająć:

- 1) w pierwszym rządzie towarzystwa ad hoc powołane. A więc organizacje abstynenckie wszystkich odłamów.

Jakież to piękne pole do działania. Stańmy więc wszyscy do wyścigu — kto więcej pod tym względem zrobi. Każdy rok niech będzie nowym sukcesem apostołskim.

- 2) *organizacje młodzieżowe* wszystkich odcieni;
- 3) *nauczycielstwo i szkoła*;

- 4) rodzice, a zwłaszcza matki;
- 5) duchowieństwo;
- 6) akcja katolicka;
- 7) P. C. K.;
- 8) P. Biały Krzyż, oraz wszyscy, którzy zdają sobie sprawę ze zgrozy alkoholizmu, który jako widmo gnębi ludzkość.

Wreszcie należy wykorzystać dobrą wolę i wiadomości fachowe p. *Skutelli*, który bardzo chętnie biorącym się pozytywnie do pracy dopomoże i poradzi.

Ostatnie pytanie. *Skąd czerpać już materiał do propagandy?*

Dotąd na terenie Polski, o ile mi wiadomo, istnieją następujące wytwórnie:

- 1) Pracownia Przetwórstwa Owoców i warzyw przy Państwowej Szkole Ogrodnictwa w Poznaniu (ul. Dąbrowskiego 169/171);
- 2) W. Czajka. — Kościan WLKP.
- 3) J. Jenkner. — Kamienica — Bielsko.
- 4) Nektarnia Zakładu św. Anny. — Kamień Pomorski.
- 5) Pomorska Wytwórnia moszczu owocowego Steninger. — Borzechowo — Starogard.
- 6) P. Frank. — Runowo Kraińskie WLKP.
- 7) Hartwig i Kantorowicz. — Poznań, Grochowe Łąki 6. Związek Sp. „Społem“ (Warszawa, Grażyny 13), ma zająć się w tym roku, na wielką skalę, produkcją „płynnego owocu“ — początkowo w tym roku 1 milion litrów.

Przy Związku Izb i Organizacji Rolniczych (Warszawa, Kopernika 30), powstał „Komitet porozumiewawczy organizacji gospodarczych i społecznych“.

- 8) W stadjum organizacji: wytwórnia płynnego owocu w Kaliszu, organizowana przy wydatnej pomocy Sejmiku Kaliskiego, Dom Młodzieży, 3 maja 13.

Wreszcie jeszcze jedna uwaga, a raczej prośba pod adresem P. P. Wytwórców.

Ponieważ nektar jest produktem, którego długo przechowywać nie można, zwłaszcza, o ile znajduje się w ciepłym miejscu, i łatwo ulega zepsuciu, należy dla dobra sprawy czuwać, aby do sprzedaży nie dostał się produkt, który uległ psuciu się, aby, broń Boże, nie dopuścić sprzedaży nektaru z pewnym goryczkowatym smakiem, co by mogło bardzo zaszkodzić sprawie.

Kończę swoje uwagi formalną rezolucją: Jaknajprędzej powołać do życia na terenie Warszawy i innych wojewódzkich miast Hurtownię-Składnicę „Płynnego owocu“ celem rozprowadzenia prób płynnego owocu do jaknajszerszych warstw społeczeństwa \*).

Ks. Mgr. Jerzy Bekier.

Włocławek.

\*) Obecnie z inicjatywy Tow. „Trzeźwość“ czynione są starania o założenie podobnej hurtowni w Warszawie. (*Przyp. Red.*).

## ALKOHOLIZM, A ZAGADNIENIE KOMUNIKACJI.

(Referat, wygłoszony przez p. Konstantego Kryškę, Wice-Prezesa Zarządu Głównego i Prezesa Zarządu Okręgowego Abstynenckiej Ligi Kolejowców w Radomiu, w dniu 29 maja 1938 roku w Warszawie, na Zjeździe Delegatów Kół Tow. „Trzeźwość“ i pokrewnych organizacyj).

Zagadnienie komunikacji we wszystkich jej odmianach, jak to: kolejowa, samochodowa, samolotowa, rzeczna i morska, ma niezmiernie wielkie znaczenie w życiu społeczeństw i państw.

Ilość posiadanych samochodów, samolotów, okrętów, statków rzecznych, parowozów i wagonów, kilometrów kolei żelaznych, oraz dróg bitych i wodnych, stanowi o kulturze, bogactwie i potędze danego Państwa.

Tempo życiu współczesnemu nadaje właśnie komunikacja, przez ciągłe zwiększanie szybkości i zmniejszanie czasu, potrzebnego na przebycie odległości — na pokonanie przestrzeni.

Współczesny człowiek kulturalny zmuszony jest ciągle się śpieszyć, ciągle dążyć do zużycia jaknajkrótszego czasu na przebycie znacznych odległości i w tym celu zmuszony jest korzystać z nowoczesnych środków lokomocji.

Trudno nawet wyobrazić sobie, jakby wyglądało Państwo i jakby się czuli obywatele tego Państwa, bez posiadania nowoczesnych środków komunikacyjnych.

Pod względem zdolności Państwa do obrony, komunikacja jest drugą armją, bez której nie do pomyślenia jest jakie bądź zwycięstwo, to też każde Państwo dąży do powiększania i udoskonalania wszystkich środków komunikacyjnych.

Pod względem czysto gospodarczym, komunikacja również ma dla Państwa niezmiernie ważne znaczenie, wobec czego każde Państwo dąży do powiększania przewozów i do powiększania płynących z nich dochodów.

Pierwszym, nieodzownym koniecznym, warunkiem ku temu jest utrwalenie w opinii publicznej przekonania, że przewozy odbywają się planowo, terminowo, sprawnie i bezwzględnie bezpiecznie, a więc zdobyć pewności, że jest zaufanie w społeczeństwie do komunikacji.

Nie tak dawno jeszcze ogólne było przekonanie, że, na przykład, ruch pasażerski jest deficytowy, a tylko masowy ruch towarów daje zyski; ale doświadczenia z ruchu w Szwajcarii, lub we Włoszech udowadniają, że z ruchu pasażerskiego i z turystyki można mieć wielkie korzyści i wielkie zyski.

Nie każde Państwo ma do pokazania turystom tyle ciekawych rzeczy, jak we Włoszech, lub w Szwajcarii, ale i u nas dużo jest bardzo ciekawych miejsc i rzeczy, interesujących turystów.

Podczas wycieczki po Polsce kolejarzy-abstynentów z całej Europy, przy Morskiem Oku wszyscy się zachwycali, a Szwajcarzy mówili: „tu tak jest pięknie, jak u nas“; a podczas jazdy tratwami od Czorsztyna do Szczawnicy, zachwycając się pięknem Pienin, mówili: „my mamy Alpy, ale Pienin nie mamy“; przy jeziorze Wigry, lub przy jeziorze

Trockim wyłoniła się nawet dyskusja, które jeziora są piękniejsze: czy nasze polskie, czy jezioro Garda, czy też jezioro Czterech Kantonów.

My, niestety, jesteśmy jeszcze bardzo biedni w środki komunikacyjne, chociaż systematycznie je powiększamy i właśnie dlatego brakuje nam musimy nadrobić sprawnością, regularnością i bezwzględny bezpieczeństwem przewozów.

Stan nasz posiadania środków komunikacyjnych jest następujący:

**I. W komunikacji morskiej:** na dzień 1 stycznia 1930 roku mieliśmy 25 statków handlowych ogólnej pojemności 41.334 tonn, a na dz. 1 stycznia 1936 roku mieliśmy już 63 statki, ogólnej pojemności 79.912 tonn, w tym 40 statków parowych i 23 motorowych.

**II. W komunikacji samochodowej** jesteśmy na szarym końcu.

W 1935 roku liczba samochodów w poszczególnych państwach była następująca:

W państwach europejskich	Ogólna liczba samochodów	Przypadało samochodów na 1000 mieszkańców
We Francji . . . . .	2.037.000	48,6
W Anglii . . . . .	1.881.000	40,1
W Niemczech . . . . .	776.000	11,9
We Włoszech . . . . .	371.000	8,7
W Belgii . . . . .	155.000	18,7
W Szwecji . . . . .	141.000	22,6
W Danii . . . . .	126.000	34,4
W Szwajcarji . . . . .	88.000	21,2
W Rumunji . . . . .	33.000	1,8
W Finlandji . . . . .	31.000	8,1
W Polsce . . . . .	25.000	0,7
Ogólnie w całej Europie . . . . .	6.560.000	
W Stanach Zjednoczonych Am. Półn. . . . .	24.752.000	194,7

**III. W lotnictwie:** w 1933 r. poszczególne państwa posiadały następujące ilości dróg komunikacyjnych lotów, pilotów i samolotów: (patrz tablica str. 143 u góry).

Od 1922 r. do 1929 r. Polskie Linje Lotnicze obsługiwał „Aerolot“, a od 1929 r. przedsiębiorstwo państwowe „Lot“.

Samoloty komunikacyjne na liniach Polskich przewożą pasażerów, pocztę i towary samolotami najnowszej konstrukcji na następujących szlakach:

- 1) Warszawa - Gdańsk - Gdynia — w 2 godz.
- 2) Warszawa - Wilno — w 1 godz. 35 min., Ryga 3 godz. 25 m., — Tallin — 5 godz.

Następujące państwa	długość komunikacyjna lotów	pilotów	samolotów
Stany Zjednoczone Ameryki Płn. . . . .	92.000	720	620
Niemcy . . . . .	54.000	160	180
Francja . . . . .	35.000	110	248
Włochy . . . . .	22.000	123	94
Holandja . . . . .	21.000	30	25
Wielka Brytanja . . . . .	19.000	42	37
Australja . . . . .	9.000	15	18
Kanada . . . . .	8.000	60	60
Polska . . . . .	6.200	32	50

3) Warszawa - Lwów — 1 godz. 25 min., Czerniowce 2 godz. 45 min., Bukareszt — 5 godz. i dalej do Aten i Palestyny.

4) Warszawa - Katowice — 1 godz. 30 min.

5) Warszawa - Poznań — 1 godz. 30 min., Berlin — 3 godz. 50 m., pozatem tow. Francuskie obsługuje linię lotniczą: Warszawa - Praga - Norymberga - Strasburg - Paryż.

Wyniki eksploatacji Polskich Linij Lotniczych „Lot“ za 1934 r. są następujące:

Przebytych kilometrów	1.715.479
Przewieziono pasażerów	18.301
„ bagażu	185.261 klg.
„ towarów	180.040 „
„ poczty	29.892 „
„ gazet	18.676 „

IV. Koleje żelazne: jako środek komunikacji tani, wygodny i mogący dokonać masowych przewozów ludzi i towarów na dalekie przestrzenie, były, są i będą jeszcze przez długie lata, zajmować pierwsze miejsce w komunikacji tak w dziedzinie gospodarczej, jak i pod względem obronności Państwa.

Długość linij kolejowych wynosiła w 1920 r. w Europie:

w Niemczech	57.545 km.
w Rosji	57.000 „
we Francji	52.424 „
w Wielkiej Brytanji	42.524 „
we Włoszech	20.118 „
w Polsce	16.850 „ , a w roku 1928—20.865 km.

W tymże czasie kolei żelaznych było:

w Stanach Zjednocz. Am. Płn.	476.522 km.
w Kanadzie	82.620 „
w Brazyliji	41.228 „
w Argentynie	35.235 „

Niemcy tak długo mogły stawiać czoło koalicji tylko dzięki bardzo rozwiniętej sieci dróg komunikacyjnych i sprawnemu funkcjonowaniu wszelkich środków lokomocji.

Z przemówienia Pana Ministra Komunikacji, płk. Ulrycha wiemy, że kolejami naszymi przewieziono w 1936 r. 144.000.000 pasażerów i 50.500.000 tonn towarów. Dziennie kursowało na P. K. P. 2.400 pociągów pasażerskich.

Liczby te obecnie znacznie się powiększają.

Liczba pracowników na kolejach żelaznych w Polsce wynosiła 212.000, następnie spadła do 162.000, a obecnie zwiększa się i łącznie z rodzinami wynosi około **jednego miliona** ludzi.

Służba w komunikacji jest bardzo ważną służbą publiczną. Ma ona swe właściwości. Posiada bardzo wielkie wymagania, jak to:

- 1) umysł jasny,
- 2) spostrzegawczość,
- 3) szybkość decyzji,
- 4) wytrwałość,
- 5) uwaga, łącznie ze stanem fizycznym, wykazującym dużą odporność organizmu dla pracy w zmiennych warunkach pory dnia, temperatury i wilgoci,
- 6) niezmierna sumienność w pracy jest jednym z głównych warunków moralnych, gdyż chodzi o życie setek i tysięcy ludzi i o milionowe straty.

Dobór odpowiednich ludzi do pełnienia czynności w komunikacji na różnych stanowiskach przeprowadza się bardzo skrupulatnie. Przeprowadzane są różne badania: administracyjne, lekarskie, co do wykształcenia, psychotechniczne. Kandydaci są szkoleni i poddawani całemu szeregowi egzaminów teoretycznych i praktycznych. Pozatem wprowadzane są bardzo kosztowne sygnalizacje i urządzenia zabezpieczające.

Zdawałoby się, że, wobec powyższego, nie powinno być wypadków w komunikacji, a jednak jakże często prasa codzienna przynosi nam wiadomości o strasznych wypadkach samolotowych, samochodowych, kolejowych i w komunikacji wodnej i o strasznych skutkach tych wypadków.

Statystyka urzędowa wypadków podaje nam następujące liczby:

We Francji w 1924 r. było 1926 wypadków samochodowych, a w 1931 już 4145 wypadków, czyli o 154% więcej.

W Polsce w latach 1934—1936 było wypadków samochodowych na drogach publicznych 11.411, z tego z winy kierowców — 6.787 wypadków, co stanowi 59%.

W latach 1927 — 1933 w Polsce było ofiar wypadków 113.859, w tem śmiertelnych 6.519, ale to tylko te wypadki, co przeszły przez ubezpieczalnie. Straty, spowodowane wypadkami, wynoszą w Polsce rocznie około 250.000.000 zł.

Urzędowa statystyka wypadków kolejowych za trzy lata powojenne jest następująca:



Na jeden milion pociągo-kilometrów było:

W poszczególnych państwach	wypad- ków	zabitych i rannych	w tem podróż- nych
W Stanach Zjednoczonych Am. Półn	11,71	26,80	3,25
W Anglii . . . . .	0,97	10,27	4,20
W Niemczech . . . . .	1,89	7,38	2,61
We Francji . . . . .	0,37	5,78	1,19
Na Prusko-Heskich kol. . . . .	1,27	4,62	0,96
W Austrii . . . . .	3,32	15,82	2,06
W Polsce . . . . .	2,9	18,79	3,45
W Rosji przed wojną światową . . . . .	5,06	23,19	3,33

Przeprowadzone były szczegółowe badania przyczyn wypadków, a wyniki tych badań są następujące:

- 1) Dr. Peri twierdzi, że w grupie robotników, gdzie było 27 alkoholiczków, tylko w ciągu 1 roku było 150 wypadków.
- 2) W Kopenhadze w latach 1922—1926 zbadano 400 kierowców samochodowych po wypadkach przez nich spowodowanych, przyczem stwierdzono, że 244 kierowców, czyli 61%, znajdowało się w stanie lekkiego podpicia, 22 kierowców, czyli 5,5%, było nietrzeźwych, a tylko 64 kierowców, czyli 16%, było w stanie normalnym.
- 3) Dr. Heise badał działanie małych dawek alkoholu na psychiczną sprawność szoferów i ustalił, że szoferzy, którzy wypili 150 gr. whisky, bardzo wadliwie manewrowali maszyną.
- 4) Dr. Heise badał kierowców samochodowych po doświadczalnym podaniu im dawki alkoholu, która była daleką od wywołania typowej „nietrzeźwości“. Ludzie ci zachowywali się zupełnie normalnie, lecz przy wykonywaniu pewnych zadań, jak to: zmiana kierunku, cofnięcie wozu i t. p., robili tak poważne błędy, jakie może robić zupełny laik.
- 5) W kantonie St. Gallen odbiera się prawo jazdy od każdego, kto prowadzi samochód w stanie alkoholowego podniecenia.
- 6) Dr. Butrym badał wypadki samochodowe w Krakowie w ciągu 10 lat i okazało się, że było wypadków:
 

w poniedziałek	215, —	pierwsze miejsce
we wtorek	175,	
w środę	122,	
we czwartek	139,	
w piątek	141,	
w sobotę	182, —	drugie miejsce
w niedzielę	166.	
- 7) W Szwecji, Norwegji i Szwajcarji (w kantonach Bern i Vaud) wprowadzono pobieranie krwi u wszystkich kierowców samo-

chodowych, którzy spowodowali wypadki, a to celem stwierdzenia stopnia zatrucia alkoholem.

W roku 1934 w kantonie Bern pobrano krew w 168 wypadkach i u 100 kierowców stwierdzono pijaństwo tylko na podstawie koncentracji alkoholu etylowego we krwi.

- 8) Kierownik biura Szwajcarskich Kolei, p. Frey podał, że prawie wszystkie wypadki, które miały miejsce na kolejach Szwajcarskich w 1931 r. i w latach poprzednich, były wywołane na skutek zamroczenia alkoholowego kierowców parowozowych.
- 9) Dyrektor Departamentu Eksploatacji z Paryża, p. Bolle podał, że na francuskich kolejach 63% wypadków powstało wskutek zamroczenia alkoholowego funkcjonariuszy kolejowych, a 37% z innych przyczyn.
- 10) Lekarz kolejowy z Paryża p. Lepin zaznacza, że Dykcja południowych kolei francuskich w ciągu 2 lat zmuszona była odebrać prawo kierowania parowozem od 400 maszynistów, u których stwierdzono było opilstwo.
- 11) Dr. Bekesz, naczelny lekarz kolei austrijackich, zaznacza, że w Austrii dość często stosowane są t. zw. „Dyscyplinarki alkoholowe“ za opilstwa. Wyroki są bardzo ostre i w wyroku mówi się, że: „funkcjonariusz przez picie alkoholu ciężko obraził majestat Republiki“. Przyczyniło to się znacznie do zmniejszenia się wypadków kolejowych.
- 12) Pruski minister komunikacji wydał polecenie, by badano maszynistów, czy minęło 8 godz. od ostatniego spożycia przez nich alkoholu, chociażby szklanki piwa, i w wypadku twierdzącym, nie dopuszcza się maszynisty do kierowania parowozem.
- 13) U nas w Polsce wogóle nie wolno dopuszczać do pełnienia służby pijanego pracownika kolejowego, lub pracownika w innym rodzaju komunikacji, ale czy to jest wystarczające? Wcale nie. I bez zakazu pijanego maszynisty nikt nie dopuści do kierowania parowozem, lub szofera do kierowania samochodem, a pilota — samolotem, ale zlekka tylko podpity maszynista, szofer, pilot, kierowca okrętowy, u którego nikt nie spostrzeże opilstwa, a najmniej on sam — może spowodować wypadek z nieobliczalnymi następstwami.

Słusznie więc ś. p. profesor Radziwiłłowicz uważał, i obecnie powagi lekarskie uważają, że dla funkcjonariuszy komunikacyjnych umiarkowane picie alkoholu jest więcej niebezpieczne, jak upicie się. U nas nikt nie bada, czy pracownik komunikacyjny używa alkoholu i czy ma skłonności do opilstwa, a ta obojętność mści się później w straszliwy sposób.

Wiadomem jest, że alkohol powoduje powstawanie całego szeregu chorób, jak to:

- 1) katar przewlekły żołądka i kiszek,
- 2) katar oskrzeli,

- 3) przerost serca, rozszerzenie serca, stwardnienie naczyń tętniczych (Arterioskleroza),
- 4) zwyrodnienie nerek,
- 5) otłuszczenie i marskość wątroby,
- 6) artretyzm, cukrzyca, otyłość, podagrę,
- 7) choroby systemu nerwowego: nerwice, drgawki, epilepsję, niedowład, porażenie, znieczulenie różnych części ciała, zapalenie nerwów,
- 8) choroby psychiczne: zanik poczucia etycznego i estetycznego, bezwzględność i brutalność postępowania, podejrzliwość, utrata poczucia godności osobistej, obłąd, delirium tremens, urojenia prześladowcze, melancholija pociągająca do samobójstw, obniżenie sfery moralnej, jak to: skromności, wstydu, poczucia honoru, co prowadzi do rozpusty, prostytucji, przestępstwa i zbrodni.

Ale wiadomem jeszcze jest, że alkohol najpierw poraża ośrodki najsubtelniejszych zjawisk psychicznych i przeróbka materiału myślowego, dostarczonego przez zmysły, pod działaniem alkoholu ulega zaburzeniom.

Wiadomem również jest, *co najstraszniejsze dla pracownika komunikacji, że nawet małe dawki alkoholu powodują:*

- a) *utratę pamięci,*
- b) *zaburzenia zmysłów,*
- c) *chwilowe zamroczenie świadomości (według prof. Gantkowskiego) — „stan intolerancji“.*

Wyobraźmy sobie maszynistę, prowadzącego pociąg, szofera, prowadzącego samochód, lub pilota, prowadzącego samolot, którzy pod wpływem małej dawki alkoholu, może na jeden moment, utracili pamięć, lub zmysły wzroku, czy słuchu, uległy zaburzeniu, lub chwilowemu zamroczeniu — katastrofa nieunikniona, a przy obecnych szybkościach, kiedy u nas pociągi towarowe kursują już z szybkością 80 km. na godzinę, pasażerskie zaś — z szybkością 120 km. na godz., a szybkość samochodów i samolotów dochodzi do zawrotnych: 200 — 300 i więcej km. na godzinę — skutki katastrof są straszne.

Żadne kosztowne urządzenie sygnałowe i żadne wynalazki elektryczno-mechaniczne, zabezpieczające ruch pociągów, czy samochodów, czy samolotów, czy też okrętów, nie zapewnią bezpieczeństwa komunikacji, dopóki używanie alkoholu przez funkcjonariuszy komunikacyjnych będzie przez zwierzchników i przez władze tolerowane.

Za bezpieczeństwo pasażera czy też towaru podczas przewozów ponosi się całkowitą odpowiedzialność. A jakże boleśnie wszyscy odczuwamy każdy wypadek, jak wiele traci się na opinii publicznej wskutek każdego wypadku.

Z komunikacji publicznej korzystamy wszyscy. Obywatel chce mieć pewność, że, jadąc pociągiem kolejowym, samochodem, autobusem, samolotem, statkiem czy okrętem, jest obsługiwany przez trzeźwych ludzi.

Obecnie tej pewności nie ma.

Skoro wiadomem nam jest, co stanowi główną przyczynę wypadków komunikacyjnych, a jesteśmy pewni, że bezpośrednim, czy pośrednim sprawcą każdego wypadku był alkohol, nie możemy o tem milczeć. Musimy domagać się wyznaczenia do służby w komunikacji ludzi bezwzględnie trzeźwych.

Służba w komunikacji, to służba publiczna, dla dobra całego społeczeństwa i państwa.

Pracownik pełniący służbę w komunikacji, pijący alkohol, nie kocha swojej rodziny, nie kocha swojej ojczyzny, szkodzi jej honorowi i jest nawet wielkim przestępcą, gdyż dzięki zamroczeniu alkoholowemu może spowodować śmierć lub kalectwo wielu ludzi, którzy mu zaufali, może narazić Państwo na wielkie straty.

Wysoki honor funkcjonariusza komunikacji wymaga od niego, aby był abstynentem. Każdy funkcjonariusz komunikacji musi być abstynentem.

Chcesz być dobrym, pożytecznym funkcjonariuszem komunikacji, dobrym sługą społeczeństwa i dobrym obywatelem Państwa — musisz być bezwzględnym abstynentem.

Radom.

*Konstanty Kryško.*

## POGLĄDY JĘDRZEJA ŚNIADECKIEGO NA SPRAWĘ ALKOHOLIZMU.

W STULETNIĄ ROCZNICĘ JEGO ŚMIERCI.

(Referat, wygłoszony na Zjeździe Delegatów Kół Tow. „Trzeźwość“ i pokrewnych Organizacyj, dn. 26.V. 1938 r., w Warszawie).

W roku bieżącym cała Polska intelektualna obchodzi uroczyste setną rocznicę śmierci jednego z największych swych synów — Jędrzeja Śniadeckiego, zmarłego dn. 11 maja 1838 r.

Dzieje nasze porozbiorowe przedstawiają obraz niezmiernie ciekawy, m. in. przez to, że podczas tej, przeszło wiek trwającej, mrocznej nocy niewoli, to tu, to tam zapalały się wielkie ogniska genjuszu narodowego i choć paliły się czasem krótko, ale blask ich tem silniej oświeślał noc ciemną... rozpraszał mroki, dodawał otuchy i niecił nadzieję.

Do takich wielkich, a wspaniałych ognisk kultury naszej należało Wilno przez czas krótki początku wieku XIX; a ściślej mówiąc, Uniwersytet Wileński i wszystko, co było z tą znakomitą uczelnią związane.

I zdaje się, bez obawy przesady, powiedzieć można, że najwybitniejszą postacią tego Uniwersytetu, profesorem, który największy wpływ wywierał nie tylko na młodzież akademicką, ale i na całe społeczeństwo, był **JĘDRZEJ ŚNIADECKI**.

Wychowanek czterech ognisk uniwersyteckich: Krakowa, Pawji, Edynburga i Wiednia, był Śniadecki na wschodnich rubieżach Rzeczypospolitej świetnym przedstawicielem kultury europejskiej, a mniemać można, że nie obce mu też były i wpływy kulturalne młodej Rzeczypospolitej Amerykańskiej.

Wybitny chemik, lekarz, biolog — Śniadecki w pracach swoich

wielokrotnie omawiał zagadnienie szkodliwego wpływu alkoholu na organizm człowieka i na stosunki społeczne — tak stanowczo i tak zarazem na owe czasy nie szablonowo, ale wprost rewolucyjnie, że obowiązkiem naszym jest zwrócić na poglądy jego w tej dziedzinie najbardziej uwagę, zwłaszcza w czasie, gdy nazwisko Jędrzeja Śniadeckiego rozbrzmiewa tak głośno w całej prasie polskiej, na obchodach i akademjach, uczczeniu jego pamięci poświęconych.

W r. 1805 ogłosił Śniadecki swą niezwykle cenną, aktualną po dziś dzień, pracę p. t. „O fizycznym wychowaniu dzieci“ \*). W pracy tej wypowiedział Śniadecki o alkoholizmie myśli, które dosłownie wyprzedzały swój wiek i posiadają najwyższe znaczenie i obecnie, choć minęło od ich ogłoszenia już 133 lata. Aktualne te myśli są w całej pełni przydatne i dla naszych obecnych stosunków. Czytamy tam m. in.:

„Są pokarmy i napoje wcale dla dzieci (do lat 7) niestosowne, więc im takich ani pokazywać, ani pozwalać nie można; takimi są: potrawy korzenne, słone i mięsa mocno rozpalające tudzież wszystkie trunki gorące“.

A w innym miejscu:

„Trunki upajające są powolną trucizną dla dorosłych, a bardzo mocną dla młodych. Nie można zatem patrzeć bez żalu na rodziców, którzy sami dzieciom trunki podają, czyniąc to jakoby dla zdrowia. Trunki, jak wszystkie inne trucizny, lekarstwem chyba w pewnych przypadkach być mogą, a zatem z przepisu tylko lekarza i to pod miarą niekiedy pozwolić je można“.

Następnie w pracy p. t. „O pokarmach, napojach i sposobie życia w ogólności we względzie lekarskim“ \*\*). Śniadecki wielokrotnie i bardzo silnie porusza sprawę alkoholizmu. Czytamy tam m. in.:

„Nadużycie mocnych rozpalających trunków, a mianowicie wódek, w żadnym podobno kraju nie jest mocniejsze, jak u nas. Wszystkie klasy mieszkańców dopuszczają się tego szkaradnego przeciwko zdrowiu i czerstwości występku. Majętniejsi sprowadzają wino, mocne piwa, rum, arak i wszelkiego rodzaju ułagodzone ostre trunki dla zjednania sobie dobrego humoru. Jak gdyby wesołość była własnością krajów zagranicznych, którą mi kupować od nich musimy. Mierna klasa nadużywa mocnych piw krajowych, miodów i wódek; rolnik i rzemieślnik truje się popositą gorzałką. Potem dziwimy się, że wiek nasz jest krótki i tak wielą chorobami przeplatany.“

„Klasa majątniejsza i oświecieńsza sama zdrowiu swojemu zarażać jeszcze zdolna, ale nasz rolnik, który składa istotną siłę i bogactwo narodu, tak jest wciągnięty w pijaństwo, iż przy grubej swojej niewia-

\*) Ogłoszona została po raz pierwszy w „*Dzienniku Wileńskim*“ w r. 1805. — Wydanie książkowe w Warszawie r. 1841 (u Glücksberga), następne w Krakowie (u Turowskiego) r. 1855 — oraz kilka późniejszych wydań; ostatnie w r. 1925 we Lwowie.

O pracy tej Śniadeckiego R. Nusbaumowa w artykule: „*Jędrzej Śniadecki i Herbert Spencer*“ (Kosmos, 1897) słusznie pisała: „Bardzo ciekawa i cenna to książka. Warto zaiste i dziś jeszcze poznać ją dokładnie, a jeszcze więcej warto podjąć się rozpowszechnienia zawartych w niej zasad pomiędzy ogółem“... Jest ona „Jedną z najważniejszych w języku polskim“.

\*\*\*) „*Dziennik Wileński*“, rok 1815.

domości potrzebuje jak najrychlej ratunku od rządu i ochrony od powagi prawa. Można albowiem bez błędu, ale ze wstydem naszym, powiedzieć: iż żaden rodzaj przemysłu tak się u nas nie przyjął, i tak powszechnie nie rozkrzewił, jak pędzenie wódek; ani żaden handel nie jest korzystniejszy, jak trunkowy; właśnie jak gdybyśmy się uwzięli truć się i robić na przekorę naturze, która nas przeznaczyła do pracy, roślinnych pokarmów, siły i długiego życia.

Na nieszczęście najważniejsze nasze widoki w gospodarstwie wiejskiem opierają się na pędzeniu wódek, gdyż sprzedaż surowych plonów jest utrudniona i niezyskowna; tę wódkę powinien wypić nasz rolnik, bo jej nie mamy gdzie podzić. Więc dla zrobienia gospodarstwa zyskowniejszem dla dworów, poimy, osłabiamy i utrzymujemy w bydłęcej niedołężności klasę ludu, na której sile, dobrym bycie i zdrowiu, cała pomyślność rolnictwa zależy, i podobni jesteśmy w tym rodzaju przemysłu do owych dzikich ludzi, którzy dla dostania owocu ścinają drzewo...

Z tego jednego źródła wypływa cała przyczyna niedołężności i coraz mocniejszego unieczemnienia ludu wiejskiego, który i z natury klimatu i z natury pracy i ze sposobu życia powinien być najsilniejszy i najzdrowszy. Ztąd rodzi się w nim owa niepojęta tępość, niechęć do pracy i obojętność na wszelką własność; bo pijaństwo, stawszy się nalogiem, staje się nakoniec namiętnością, która wszelkie inne dobre skłonności pożera. Pospólstwo miejskie równie, albo jeszcze więcej się osłabia i podli pijaństwem, żyjąc tylko dla wódki, a myśląc i pracując tylko tyle, ile dla nabycia jej nieuchronnie potrzeba. Cudzoziemcy nie mogą się wydziwić niedołężności i zepsuciu naszego ludu, i na wytłumaczenie tego zdarzenia rozmaite tworzą domysły, ale cała tego zepsucia przyczyna jest w pijaństwie. Same tylko mądre i surowe prawa mogą kiedyś tej powszechnej zarazie tamę położyć.

Ale żeby oddać każdemu, co się należy, nie tajmy: że użycie wódki przechodzi miarę i potrzebę, nawet w klasie wygodnie żyjącej i oświecześniejszej. Jest u nas wprowadzony zwyczaj używania wódki przed śniadaniem, obiadem i wieczerzą, a to dla strawności. Ale naprzód, wymówka ta jest niesprawiedliwa, bo nie należy brać pokarmów tylko takie i tyle, jakie i ile strawić możemy, trzeba strawności i dobremu przyswojeniu pomagać pracą, a dopomaganie jej lekarstwami zostawić chorym. Takie przynajmniej jest prawo przyrodzenia i zdrowego rozsądku. Powtóre, gdyby to użycie wódki, acz niepotrzebne, było skromne, grzech byłby znośniejszy i mniej szkodliwy; ale w czasie śniadania i przed obiadem używa się u nas wódka po kilka i kilkanaście razy, przez co nie tylko nie pomagamy strawności, ale ją owszem psujemy; nie tylko nie wzbudzamy apetytu, ale go owszem przytępiamy zupełnie. Tak żyjąc, nie można żyć długo, nie można się cieszyć prawdziwem zdrowiem, ani rzeźwością i mocą ciała i duszy“.

I znowu są to poglądy, które nie były w zgodzie z panującymi poglądami epoki, wyprzedzając ją tak bardzo, że i obecnie w całkowicie odmiennych pod innymi względami stosunkach są pełne wartości, znaczenia i... aktualności.

Myśli swe z dziedziny omawianej Śniadecki usiłował szerzyć i w inny sposób, na innym polu swej wszechstronnej działalności.

W roku 1817 powstało w Wilnie, słynne później „Towarzystwo Szubrawców“, którego „Zamiarem (było), nie mając żadnych szczególnych osób, wyśmiewać szpetność tych przywar i nałogów, które z natury swojej nie mogą być prawem powściąganymi, są jednak dla społeczności bardzo szkodliwe, a u nas zdawna pospolite i, co gorsza, że w powszechniejszem mniemaniu za występki i wady najczęściej nie są poczytywane. Z tego rodzaju są:

Używanie nałogowe mocnych napojów z utratą przytomności i zdrowia, a oraz przymuszanie do tego innych i puszczanie się na pijaństwo bez względu na czas i miejsce, z zaniedbaniem najświętszych niekiedy obowiązków stanu i powołania i przytem z ruiną majątku“. (*Kodeks Szubrawski* z r. 1817 według: Józefa Bielińskiego „Szubrawcy w Wilnie 1817—1822“, Wilno, 1910). „Kodeks“ składał się z XVI „prawideł“. Rzecz charakterystyczna, że wyżej przytoczone „prawidło“ o walce z pijaństwem znajduje się w Kodeksie na *naczelnem miejscu*.

Bieliński w przytoczonej pracy mówi: „Walka z pijaństwem była jedną z pierwszych, jaką (Szubrawcy) przedsięwzięli dla umoralnienia społeczeństwa. Reformę zaczęli od siebie... symbolem trzeźwości na schadzkach Szubrawców był dzban wody źródlanej“.

Poza tem Szubrawcy walczyli: z karciarstwem, pieniactwem, tytułomanją, rozpustą, nepotyzmem, walczyli o polepszenie doli włościan. Słowem byli to reformatorzy w dziedzinie obyczajowości w najszerszem tego słowa znaczeniu.

W znakomitem tem, a tak bardzo zasłużonem dla Polski Towarzystwie Jędrzej Śniadecki odegrał wybitną rolę. Był on po śmierci prof. Jakóba Szymkiewicza, pierwszego prezesa Towarzystwa, następnym jego po Kontrymie prezesem \*).

Organem Towarzystwa Szubrawców były „*Wiadomości Brukowe*“. Pismo to o silnem zacięciu satyrycznem zyskało niebywałe, jak na nasze stosunki, powodzenie i wywierało duży wpływ. Głównym jego filarem, pierwszym jego pisarzem był Jędrzej Śniadecki.

„W ciągu sześciu lat, pisze prof. Adam Wrzosek, w czasie których „*Wiadomości Brukowe*“ wychodziły, wydano ogółem 287 numerów, z których 35 zapełnionych było całkowicie, a 10 w znacznej części utworami pióra Śniadeckiego, tak, że mniej więcej siódma część wszystkich pism umieszczonych w „*Wiadomościach Brukowych*“ za cały czas ich istnienia, została przez Śniadeckiego napisana“.

I słusznie dalej zauważa prof. Wrzosek: „Śniadecki poruszał tematy, które dotychczas się nie przestarzały“; wśród tych tematów niepoślednie miejsce zajmuje sprawa *pijaństwa*. Oto parę ustępów jakżeż wysoce aktualnych:

„Niedawno narzekaliśmy na niedostatek pisarzy; na grubą w kraju pomrokę. I sprawiedliwie. Bo też w samej rzeczy ciężkie panowało zaćmienie w książkach i w głowach, tak, jak teraz w kieszeniach. Czego najważniejszą przyczyną było podobno zbyt mocne oświecenie piwnic, z których nieoszacowani przodkowie nasi duszne i cielesne czerpali pośliki“ („*W. Br.*“, 1818 r. Nr. 76).

\*) *Adam Wrzosek*: „Jędrzej Śniadecki — życiorys i rozbiór pism“. T. T. I i II. Kraków 1910. (Str. 331 i 406).

„Otóż i my ubóstwiamy Próżniactwo, ale potajemnie; palimy mu ofiary, ale je innem, ozdobnem pokrywamy imieniem. Nasze naprzykład spacerowe ogrody i place, nasze bilardy, kawiarnie, winiarnie, szynki, kasyna i t. p. nie sąż to bożniczki, poświęcone próżniactwu?“ („W. Br.“, 1818, Nr. 97).

„U nas, zauważa w innem miejscu Śniadecki, dobry gospodarz jest ten, co wszystko zboże na wódkę przepędza“.

I zapytajmy się szczerze, czy taki gospodarz nie jest i teraz ideałem w pojęciu pewnych osób, ba, nawet całych instytucyj?...

Według Śniadeckiego, przyczyną wielkiego rozpicia się ludu wiejskiego są żydzi i szlachta. Ostro więc występuje przeciw jednym i drugim.

Jadąc na odpust do Kalwarji, zauważył Śniadecki: „szałas z chróstu, a przy nim i naprzeciw niego stoły, stoliki i ławki zastawione fiakami, a obwarzankami i bułkami pokryte. Przy stołach kiwały się poważnie szeroko rozpostarte żydki, a przy stolikach siedziały jerozolimskie dziewice i matrony, położone na łokciach i podpierające się po pańsku pod brodę. Jak to miło widzieć lud tak cywilizowany, tak pracowity, tak pożyteczny, a tak skromny! Niedaleko od tej kolonji Abrahama siedzieli proszący o litość żebracy i leżeli porozrzucani tu i ówdzie pijacy“. ..., „Krótko mówiąc, widzieliśmy na odpuście garstkę ludu nabożnego i trzeźwego po stacjach i w kościele; po drodze zaś i około kościoła, wszędzie pijaństwo i pijaków, wszędzie rozstawione przez żydów sidła na chwywanie spodłonego i do trunków, na nieszczęście, aż nadto skłonnego ludu. Wódka, rzekłem, patrząc na to, jest największem naszym kraju nieszczęściem, jest prawdziwą klęską, jest najokropniejszą trucizną, tem gorszą, że nie tylko zabija nasz lud fizycznie, ale go robi podłym i nikczemnym we wzglądzie moralnym. Należałoby ten obmierzły trunek wytępić, jego kurzenie zakazać, owszem pamięć jego, jeżeli można, zagładzić, bo inaczej nie widzę sposobu zapobieżenia tej klęsce“ \*).

Poglądy to były śmiałe, sprzeczne z przekonaniem ogółu, a do jakiego stopnia były one „postępowe“, widać z tego, że wygłaszający podobne opinie *obecnie* nie zawsze cieszy się popularnością... a przecie minęło od ich napisania... 120 lat!

Wypowiadając swe myśli w sprawie pijaństwa i sposobów zaradzenia tej klęsce, Śniadecki wyprzedzał swój wiek... szedł z wyjątkowymi jednostkami swej epoki, jak np. Benjamin Franklin, który prawdopodobnie wywarł swój wpływ na stanowisko Śniadeckiego w tym zakresie.

Zapatrywania Śniadeckiego na sprawę alkoholizmu powinny być szeroko popularyzowane, powszechnie znane i, co najważniejsze, mądre jego wnioski — stosowane.

A w rzeczywistości, gdy obecnie w Polsce w ten czy inny sposób czczono pamięć Jędrzeja Śniadeckiego — nigdzie, o ile wiemy, nie zwrócono *dostatecznej* uwagi na istotę jego stanowiska w sprawie alkoholizmu; suche, krótkie wzmianki: „walczył z pijaństwem“, lub: „był

\* ) *Jędrzej Śniadecki*. Pisma Satyryczne. Do druku przygotował i przedmową opatrzył Dr. Adam Wrzosek. Warszawa, 1908. Bibl. Dzieł Wybor., 3 części. str. 155+165+170.



przeciwnikiem nadużywania wódki“, właściwie nie mówią nic, a raczej zaciemniają sprawę, bo nie podkreślają tego znaczenia, jakie przykładał Śniadecki do rozwiązania zagadnienia alkoholizmu.

Istotnie, jak widzimy z przytoczonych tu kilku cytat — Śniadecki sprawę walki z alkoholizmem traktował niezmiernie poważnie. Ten — znakomity uczonek i wielki obywatel, a jak niektórzy chcieli — drugi po Krasickim satyryk polski, ogromną wagę przywiązywał do zagadnienia usunięcia pijaństwa, *widząc w tem warunek nieodzowny poprawy obyczajów wszystkich warstw społecznych.*

Jakżeż słusznie powiedział o Śniadeckim Stanisław Brzozowski\*): „Był on jednym z największych lekarzy polskich i w tem znaczeniu, że usiłował myśl polską wyleczyć od wszystkich właściwych jej ułomności, wychować ją tak, aby w zespole kulturalnych ludów europejskich niepoślednie mogła zająć miejsce“.

*Jan Szymański.*

### PRZESZKODY, HAMUJĄCE ROZWÓJ PROPAGANDY PRZECIWALKOHOLOWEJ.

Trudności, powstrzymujące rozwój walki z alkoholizmem, posiadają u nas dwojaką naturę. Jedne z nich nie są bezpośrednio związane z fizjologicznym działaniem napojów wyskokowych, drugie — tkwią w samym alkoholu i jego oddziaływaniu na ustrój pijącego człowieka, zwłaszcza — na jego układ nerwowy, przedewszystkiem zaś — na mózg.

Nasz Skarb Państwa czerpie znaczne dochody z wyrobu i sprzedaży spirytusu, który należy do pięciu zmonopolizowanych artykułów (tytoń, spirytus, sól, bilety loteryjne, zapalki).

Monopol spirytusowy w r. 1937/8 przyniósł dochodu 227 milionów zł., co stanowi więcej, niż  $\frac{1}{3}$  część dochodu wszystkich pięciu monopolów państwowych, a blisko  $\frac{1}{10}$  część całości rocznych dochodów państwowych.

Nie należy się dziwić, że Polska w początkach swej niepodległości nie mogła się wyrzec takiego poważnego źródła dochodu, które w gotowej niemal postaci przejęła od państw zaborczych (Rosja i Austrija), gdyż nie mogła narazie znaleźć innych zastępczych źródeł dochodowych.

Jednakże zło, które należało uważać tylko za chwilowo konieczne, a więc przemijające, w rozumieniu włodarzy monopolu, zostało utrwalone tak, iż skwapliwie poszukują oni sposobów rozszerzenia sprzedaży napojów spirytusowych i ułatwienia ad maximum ich nabywania. Dwa środki do tego mają zmierzać: 1) udostępnienie wódki najszerszym masom przez puszczenie w obieg małych jej doz w 100-gramowych butelkach i 2) rozwinięcie reklamy napojów monopolowych.

Oba te sposoby potęgowania spożycia alkoholu nabierają swoiste go znaczenia, ponieważ w rozumieniu ludności stosowane są przez monopol „państwowy“, a więc przez Państwo. Ponieważ w myśli lojalnego obywatela nie powinno i nie może zrodzić się nawet przypuszczenie, że Państwo powagą swoją osłania szerszenie wśród ludności czegoś szkodliwego, każdy pijący zdobywa dla usprawiedliwienia swego nałogu silny

\*) Stanisław Brzozowski. — Jędrzej Śniadecki. Jego życie i dzieła napisał... Warszawa (Arct). 1903. Str. 151.

argument i *chętnie* wyciąga wniosek: „spirytus nie jest szkodliwy, skoro używanie go popiera Państwo“.

Podkreśliłem wyraz: „*chętnie*“. Skąd powstaje u ogółu taka gotowość do *przyjmowania reklamowych przechwalek za prawdę, a odrzucania, jako niesłusznych, argumentów naukowych przeciw używaniu napojów alkoholowych?*

Tak zwane „własne doświadczenie“ każdego pijącego znajduje poparcie w treści zgrabnej monopolowej reklamy, spotęgowanej powagą państwowego jej pochodzenia. Tu się zahaczają i wzajemnie popierają dwojakiego rodzaju hamulce walki z alkoholizmem: z jednej strony trudności zewnętrzne, leżące poza osobą pijącą, z drugiej zaś — tkwiące w niej samej.

Kiedys zapytałem osobę, która nie знаła wyników naukowych badań wpływu alkoholu na ustrój: jak na nią działa napój spirytusowy? Odpowiedź brzmiała: „Skoro zziębnę, wódka mnie rozgrzewa, jeżeli się przemęcę, po jednym lub dwu kieliszkach wstępuje w znużone me członki nowy zasób energii. Po wódce wogóle raźniej idzie mi praca, wykonuję jej więcej i wydaje mi się łatwiejszą, myśl biegnie żywiej, śmieję pobieram decyzje, nie męcę się tak łatwo ani fizycznie, ani umysłowo...“

Każdy człowiek, używający napojów wysokowych, dałby na moje pytanie taką samą lub podobną odpowiedź, gdyby się kierował wyłącznie własnymi wrażeniami. A przecież ogromna większość ludzi sądy swe opiera na „własnym doświadczeniu“. Znacznie mniejszy jest zastęp tych, u których podstawę sądu stanowią prawdy, stwierdzone naukowo, a najmniej jest osób, które same pracują naukowo i na drodze żmudnych dociekań odkrywają nowe lub utrwalają dawniej ustalone prawdy.

Wszyscy niemal odczuwają działanie alkoholu w sposób podobny, a przytłaczająca większość ludzi święcie wierzy, iż „alkohol rozgrzewa“, chociaż zostało dowiedzione, iż obniża on ciepłotę ciała, wierzą, że „alkohol znużonym członkom przywraca świeżość i zdolność do czynu“, chociaż faktycznie tłumi on tylko świadomość zmęczenia, dzięki czemu znosi zahamowanie czynu i odwleka chwilę wypoczynku, tego jedyne go środka, który może usunąć znużenie.

Gdybyśmy dokładnymi pomiarami sprawdzili ilościowe i jakościowe wyniki owej „raźnej i łatwej“ pracy po użyciu alkoholu, stwierdzilibyśmy, że jakość owoców takiej pracy jest gorsza, ilość zaś — znacznie mniejsza.

Różnice te w stosunku do „wrażenia“ i przeświadczenia, na tem wrażeniu opartego, będą tak drastyczne, iż doświadczalna osoba z niewiarą i tylko formalnie przyjmie je do wiadomości, w głębi duszy przyznając słuszność *swoim wrażeniom, a nie prawdzie, ustalonej w drodze dokładnych pomiarów i doświadczeń...*

Potędze sugestji własnego odczuwania, które w sprawie działania alkoholu na ustrój zawsze prowadzi do mylnych wniosków, możemy przeciwstawić tylko i wyłącznie siłę dowodu naukowego. Dostęp twierdzeń naukowych do prostego umysłu ogromnej większości ludzi możliwym stanie się tylko wówczas, jeżeli *wszystkie czynniki, uważane przez nią za autorytatywne, zgodnie w mowie i w czynie twierdzenia te popierać będą.*

Do tych autorytetów należy również i Państwo oraz instytucje, na które przelewa ono część swej powagi, skoro noszą one w swej nazwie określenie: „państwowy“ (np. monopole państwowe).

Gdyby Państwo conajruchiej wyszukało zastępcze źródła dochodów, któreby wyrównać mogły dochód, osiągany ze sprzedaży alkoholu, nie musiałyby „państwowy“ monopol reklamować „doskonałości“ swych wytworów i udostępniać ich nabycie szerokim masom ludności przez wprowadzanie coraz mniejszych, a więc tańszych doz. Propaganda przeciwalkoholowa uzyskałaby przez to silne poparcie moralne. Stworzyłyby to duży wyłom w szerzeniu się alkoholizmu, degenerującego całe pokolenia. Łatwiejby się dał przekonać o szkodliwości napojów wyskokowych nawet prostaczek, którego umysł nie jest wdrożony do operowania naukowymi argumentami. Siła tego czynu państwowego w znacznym stopniu osłabiłaby potęgę złudzeń, wynikających z „własnych doświadczeń“. Utorowałoby to wszystko drogę do umysłów szerokiej mas prawdziwie o trującym działaniu alkoholu i o szkodzie, jaką wyrządza on poszczególnym jednostkom, rodzinom, całemu społeczeństwu, oraz sile i potędze naszej Ojczyzny.

*Dr Ryszard Kunicki.*

## WPLYW ALKOHOLU NA ROZWÓJ PSYCHICZNY MŁODZIEŻY.

Wiek dwudziesty w dziejach psychologii jest okresem nie tylko szczególnie bujnego rozkwitu i rozrostu tej gałęzi wiedzy, lecz i momentem płodnego zastosowania jej wyników do organizowania różnych dziedzin życia ludzkiego, że wymienimy tu chociażby psychotechnikę, psychologję różniczkową, psychologję pedagogiczną, psychologję rozwoju i t. d.

Do najważniejszych niewątpliwie zdobyczy współczesnej psychologii zaliczyć należy ustalenie faktu, że w rozwoju psychiki dziecka wyróżnić można następujące po sobie fazy, ujawniające swoiste, a więc różne w każdej fazie oblicza strukturalne.

Stwierdzenie powyższego faktu wyjaśniło główną przyczynę spełnianych dotychczas błędów dydaktycznych i wychowawczych i pociągnęło za sobą postulat konieczności liczenia się w pracy pedagogicznej ze swoistościami psychiki dziecka w poszczególnych okresach jej rozwoju.

Toteż szkoła współczesna usiłuje wszystkie swe poczynania oprzeć na wynikach psychologii rozwoju, i stwierdza na każdym kroku, że dodatnie rezultaty w pracy urabiania osobowości młodzieży uzyskać można jedynie na podstawie stosowania w praktyce dydaktyczno-wychowawczej metod, harmonizujących z zasadniczymi prawami rozwoju psychiki ludzkiej.

Trudne samo przez się zagadnienie ustalenia i odgraniczenia okresów rozwoju psychicznego komplikuje ta jeszcze okoliczność, że moment wkroczenia psychiki dziecka w pewną określoną fazę rozwoju, zależy od całego szeregu takich czynników, jak właściwości indywidualne, płeć, dziedziczność, rasa, klimat, środowisko miejskie lub wiejskie, klasa społeczna, a nawet sposób odżywiania się i t. d. Czynniki te lub swoiste ich konstelacje powodować mogą przedłużanie się lub skraca-

nie, a nawet pozorne wypadanie poszczególnych faz rozwojowych, zasadnicza jednak linja rozwoju utrzymuje się bez załamania, będąc wyrazem prawidłowości immanentnych, związanych z ewolucją gatunku człowieka (*homo sapiens*).

\*

\*

\*

Jest rzeczą powszechnie znaną i uzasadnioną ściśle naukowo, że alkohol działa szkodliwie zarówno na wszystkie czynności organizmu człowieka, jak i na jego życie psychiczne.

Rozpatrując ujemny wpływ alkoholu na funkcje psychiczne, nie zastanawiano się jednak w dostatecznej mierze nad zagadnieniem istnienia w rozwoju psychicznym człowieka okresów, w których działanie alkoholu jest szczególnie szkodliwe. Artykuł niniejszy stawia sobie właśnie za cel wypełnienie wspomnianej luki przez podanie popularnej analizy przyczyn, dla których nasilenie szkodliwości działania alkoholu jest różne w różnych fazach rozwoju psychicznego.

Sprawa ścisłego ustalenia i odgraniczenia faz rozwoju psychicznego jest zagadnieniem ogromnie skomplikowanym, to też nic dziwnego, że dotychczas niema w tej mierze zgodności wśród badaczy.

Ograniczymy się do podania tego podziału rozwoju psychicznego na fazy, który — mojem zdaniem — najbardziej odpowiada rzeczywistości, odznaczając się przytem największą stosunkowo prostotą i przejrzystością.

Pierwszy rok życia dziecka obejmujemy nazwą wieku niemowlęctwa. Życie psychiczne dziecka w tym pierwszym roku rozwija się, jak wiadomo, pod znakiem zdecydowanej przewagi czynności odruchowych i instynktownych.

Dalszy rozwój psychiczny dziecka przebiega zasadniczo w trzech fazach, z których każda odznacza się: 1) bujnym rozwojem życia psychicznego i 2) ujawnia pewne właściwe sobie nastawienie duchowe, różniące ją od faz innych.

Pierwsza faza, zwana fazą wczesnego dziecięctwa, obejmuje okres czasu od drugiego do szóstego roku życia. Najbardziej charakterystyczną cechą psychiki dziecka w tym okresie rozwoju stanowi t. zw. egocentryzm fantastyczny, prowadzący do magicznego poglądu na świat. Na szczególną uwagę ze stanowiska treści niniejszego artykułu zasługuje tu fakt, że w wieku 3—4 lat stwierdzamy w psychice dziecka silny rozrost i usamodzielnianie się woli, prowadzące do tak częstych w tym wieku konfliktów z nakazami i zakazami otoczenia. Te to właśnie konflikty, upór i krnąbrność, przejawiane przez dziecko, a przypominające analogiczne zjawiska z okresu przedpokwitania, skłoniły psychologów do wprowadzenia nazwy „pierwszy okres przekory“ dla scharakteryzowania ogólnej postawy dziecka w omawianym momencie. Odmalowany tu stan rzeczy zaostrza się jeszcze i pogłębia przez tę okoliczność, że dziecko w tym okresie rozwoju przechodzi przez fazę pewnego swoistego podniecenia, którą niektórzy badacze nazywają „pierwszym pokwitaniem“.

Faza druga, inaczej — faza drugiego dziecięctwa

lub szkolnego dziecięctwa, trwa od 8-go do 12-go roku życia. Cechuje ją rzeczowe nastawienie umysłowości dziecka na świat zewnętrzny, co Herwagen nazwał „faktyzmem rzeczywistości“.

Fazę trzecią nazywamy fazą dojrzewania lub pokwitania. Obejmuje ona okres czasu od 14-go do 18-go roku życia. W tej fazie dokonywuje się zasadniczy zwrot psychiki dziecka od świata zewnętrznego ku światu wewnętrznemu, światu własnych doznań. Następuje odkrycie własnej jaźni.

Rozpatrywana ze stanowiska fizjologicznego faza pokwitania jest przede wszystkim dojrzewaniem seksualnym. Za sprawą hormonów, wydzielanych przez gruczoły płciowe, postępuje coraz dalej seksualizacja systemu nerwowego, uczulając go na podniety natury erotycznej, prowadząc do coraz intensywniejszego budzenia się odpowiednich popędów i powodując rozdarcie wewnętrzne i nieukojną szarpaninę. W związku z odkryciem własnej jaźni, która stanowi moment centralny psychologicznego aspektu dojrzewania, stoi wyołbrzymienie znaczenia własnej osobowości, nadmierna drażliwość oraz negatywny i przesadnie krytyczny stosunek do struktury życia realnego, do systemu wartości obowiązujących w świecie człowieka dorosłego. Zwrócić też należy uwagę baczną na fakt, że właśnie w okresie dojrzewania aktywizują się częstokroć uśpione dotychczas związki psychopatyczne.

Jak widać z powyższego, poszczególne fazy nie przechodzą bezpośrednio jedna w drugą, lecz są oddzielone od siebie okresami zapowiadającymi, przejściowymi, w czasie których tempo rozwoju psychicznego staje się wolniejsze.

Ponieważ przejściu z jednej fazy w drugą towarzyszy zasadnicza zmiana ogólnego nastawienia psychicznego, przeto w okresach przejściowych mamy do czynienia ze stopniowym wygasaniem jednych nastawień i powolnym tworzeniem się nowych, tak, iż okresy przejściowe z natury rzeczy charakteryzować się muszą współistnieniem, wzajemnym oddziaływaniem na siebie i ścięciem różnorodnych nastawień.

Oddzielający fazę pierwszą od drugiej, pierwszy okres przejściowy, w czasie którego dziecko przechodzi od egocentrycznego pograżenia się w sobie do zajęcia się światem zewnętrznym, obejmuje 6 i 7-my rok życia.

Drugi okres przejściowy rozciąga się na 12 i 13-ty rok życia. Nazywano go okresem przedpokwitania, jako iż poprzedza fazę właściwego dojrzewania, lub okresem przekory ze względu na to, że właśnie w objawach przekory psychologja upatruje najznamienniejszą jego cechę. W czasie okresu przekory następuje powolny zwrot osobowości dziecka od świata zewnętrznego ku światu własnych doznań.

Ze stanowiska naszego tematu należy w tym okresie przejściowym wziąć pod uwagę dwa jego następujące momenty charakterystyczne:

- 1) doniosłe zmiany anatomiczno-fizjologiczne, zachodzące w organizmie dziecka — oraz

2) silny rozwój pewnych instynktów.

Co do momentu pierwszego, to wiemy, że okres przedpokwitania zbiega się z fazą „drugiego wydłużania się“, a więc z fazą, w ciągu której odbywa się szczególnie intensywny wzrost na długość, maksymalny zarówno u chłopców, jak i u dziewcząt między 12 a 13-tym rokiem życia (przeciętny przyrost roczny wynosi 6,15 cm.). Temu procesowi bujnego wzrastania towarzyszy wzmocnienie się czynności gruczołów dokrewnych, a przede wszystkim gruczołów rozrodczych, których wydzieliny, dostając się do krwi, powodują stopniowo wspomnianą już seksualizację systemu nerwowego.

Obok instynktu seksualnego wybijają się na plan pierwszy w omawianym tu okresie rozwoju instynkt m o c y, instynkt w a l k i, oraz instynkt s t a d n y.

Okres przedpokwitania nazywamy inaczej okresem p r z e k o r y, która jest typową dla danej fazy rozwoju psychicznego formą postępowania, uwarunkowaną zarówno wspomnianymi zmianami anatomo-fizjologicznymi, jak i bujnym rozwojem zespołu podanych wyżej instynktów.

Seksualizacja systemu nerwowego doprowadza z natury rzeczy do powstania silnych napięć wewnętrznych, pod których wpływem załamuje się dotychczasowy ład i zrównoważenie harmonijne psychiki dziecka. Dzieci odczuwają, że w całym ich jestestwie zachodzą jakieś wielkie przeobrażenia, lecz nie mogą jeszcze — rzecz prosta — zrozumieć istoty owych zmian zasadniczych, owych wstrząsów podziemnych, zapowiadających radykalne przeistoczenie się oblicza duchowego i przygotowujących organizm do funkcji rozrodczej. Czują się, jak gdyby terenem, nawiedzonym przez niepohamowaną powódź zupełnie nowych, niezależnych od woli poczuć.

Ale nie tylko z poczucia owego rozdarcia wewnętrznego, bezradności i niezdolności opanowania się wynikają objawy przekory. W tym samym kierunku oddziaływać też musi „poczucie niższości“, niemal nieuniknione u dziecka w zetknięciu się ze światem dorosłych, tak bardzo przewyższającym je zarówno pod względem fizycznym jak i duchowym. Owo poczucie niższości prowadzi nieubłagane do postępowania przekornego, zaprzeczającego niejako owej niższości, stwarzającego — w charakterze kompensacji — pozory przewagi. To też dewizą takiej przekory kompensacyjnej jest zasada: „postępuj tak, jak gdybyś miał przewagę“.

Tego rodzaju reakcja, stwarzająca w drodze fikcyjnej kompensacji pozory przewagi i zmierzająca do stłumienia nieznośnego poczucia niższości, jest tem naturalniejsza w okresie przedpokwitania, że — jakżeśmy to już wspomnieli — cechuje go — między innymi — potężnie rozwinięty instynkt mocy, postawienia się.

Trzeci okres przejściowy, oddzielający fazę pokwitania od fazy całkowitej dojrzałości fizycznej i psychicznej, o k r e s m ł o d z i e ń c z o ś c i, dla swych cech charakterystycznych może być z wszelką słusnością nazwany okresem stopniowo wzrastającej h a r m o n i z a c j i. Cechuje go zabarwienie p o z y t y w n e. Jest w nim r a d o s n a a f i r m a c j a życia, „pojednanie się ze światem“.

Pogłębia się refleksja, wyzwalając się stopniowo ze zdradliwej sie-

ci wezbranej uczuciowości, ujawnia bezlitośnie wszystkie niedociągnięcia i błędy dawnych przesadnych wyobrażeń i niesprawiedliwych sądów. Rozszerzający się wciąż zakres doświadczenia osobistego wzmocnia powstałą w drodze analizy myślowej zdolność dostrzegania w życiu niewątpliwych światła obok, dawniej na plan pierwszy, wysuwanych cieni, i oto powstaje wreszcie możność nawiązania kontaktu, porozumienia się ze światem ludzi dorosłych, możność stopniowego wrastania w ten świat, w stworzoną przezeń kulturę. Krańcowy maksymalizm w ujmowaniu i rozwiązywaniu zagadnień załamuje się pod nieubłaganymi ciosami ściślejszego myślenia i rozleglejszych doświadczeń. Budzi się zrozumienie granic myśli i czynu.

Wspomnieliśmy już poprzednio, że alkohol działa szkodliwie na wszystkie funkcje organizmu.

W związku jednak z tematem niniejszego artykułu zwrócimy tu uwagę jedynie na działanie alkoholu na system nerwowy. Otóż wszystkie dotychczasowe badania stwierdzają jednomyślnie, że alkohol pomniejsza, lub całkowicie zawiesza czynność wyższych ośrodków korowych, regulujących, kontrolujących i hamujących funkcje ośrodków niższych, a więc ośrodków rdzenia i jąder podkorowych.

Z tego to względu stan zamroczenia alkoholowego charakteryzuje się przewagą czynności odruchowych i instynktowych, obdarzonych silnymi ładunkami emocjonalnymi, niehamowanych i niekontrolowanych przez ośrodki wyższe.

Wynika stąd z nieubłaganą siłą logiki, że szczególnie destrukcyjnie alkohol działać musi w fazie wczesnego dziecięctwa, w okresie przedpokwitania i w latach dojrzewania, kiedy to strukturę psychiczną dziecka cechuje brak równowagi i silny rozwój emocjonalnej podbudowy osobowości.

Dr. Tadeusz Klimowicz.

## B I B L I O G R A F J A .

Wykaz prac, zarówno polskich, jak i wydanych w językach obcych, obejmuje tylko pozycje zasadnicze. Wyczerpujące wskazówki bibliograficzne czytelnik znajdzie w dziełach, objętych naszym wykazem.

### Prace w języku polskim:

1. *Baley Stefan*: „Psychologja wieku dojrzewania“ (Książnica-Atlas, Warszawa, 1932, wyd. II, str. 262).
2. *Baley Stefan*: „Psychologja wychowawcza w zarysie“ (Warszawa, Książnica-Atlas, 1938, str. 686).
3. *Błachowski Stefan*: „O fazach rozwoju psychicznego młodzieży“ („Poradnik w sprawach nauczania i wychowania“, zeszyt 2, 1930 r.).
4. *Bovet Piotr*: „Instynkt walki“ („Nasza Księgarnia“, Warszawa, 1928 r., str. 262).
5. *Bühler Ch.*: „Dzieciństwo i młodość“ („Nasza Księgarnia“, Warszawa, 1933 r., str. 505).

6. *Dryjski Albert*: „Mózg i dusza“ (Warszawa, 1938 r., str. 288).
7. *Dryjski Albert*: „Zagadnienia seksualizmu dziecka i młodzieży szkolnej“ („Nasza Księgarnia“, Warszawa, 1934 r., str. 456).
8. *Green G. H.* „Psychoanaliza w szkole“ (Arct, Warszawa, 1928 r., str. 218).
9. *Green G. H.*: „Marzenia na jawie“ (Arct, Warszawa).
10. *Klimowicz Tadeusz*: „Jak się rozwija psychika dziecka?“ („Nasza Księgarnia“, Warszawa, 1936 r., str. 55).
11. *Kreutz Mieczysław*: „Rozwój psychiczny młodzieży“ (r. 1931).
12. *Kuchta Jan*: „Rozwój psychiczny młodzieży, a praca szkolna“ (Warszawa, wyd. III, 1934 r.).
13. *Mc. Dougall W.*: „Psychologia grupy“ (Książnica-Atlas, Warszawa, 1930 r., str. 490).
14. *Piaget Jan*: „Mowa i myślenie u dziecka“ (Książnica-Atlas, Warszawa, 1929 r., str. 274).
15. *Piaget Jan*: „Jak sobie dziecko świat przedstawia?“ (Książnica-Atlas, Warszawa, str. 424).
16. *Szuman Stefan*: „Psychologia młodzieńczego idealizmu“ (Książnica-Atlas, Warszawa, 1933 r.).
17. *Rowid Henryk*: „Psychologia pedagogiczna“ (Kraków, Gebethner i Wolff, 1937. Część I, str. 247).
18. *Baley Stefan*: „Zarys psychologii w związku z rozwojem psychiki dziecka“ (Książnica-Atlas, Warszawa, str. 424).
19. *Szuman Stefan*: „Rozwój myślenia u dzieci w wieku szkolnym“ (Książnica-Atlas, Warszawa, 1938 r., str. 250).

#### Prace w językach obcych:

20. *Bühler Ch.*: „Das Seelenleben des Jugendlichen“ (r. 1929, str. X+240).
21. *Bühler Karl*: „Die geistige Entwicklung des Kindes“ (wyd. V, 1929, str. XX+484).
22. *Busemann Adolf*: „Die Erregungsphasen der Jugend“ („Zeitschrift für Kinderforschung“, 1927 r.).
23. *Mc. Dougall*: „An introduction to social psychology“ (wyd. 21, 1928 r., str. XXVI+455).
24. *Grunwald Georg*: „Pädagogische Psychologie“ (wyd. II, r. 1925, str. VII+436).
25. *Hoffmann W.*: „Die Reifezeit“ (wyd. III, 1930 r.).
26. *Koffka K.*: „Die Grundlagen der psychischen Entwicklung“ (rok 1925, str. VIII+299).
27. *Kroh Oswald*: „Die Psychologie des Grundschulkinde“ (wyd. III, 1929 r., str. 320).
28. *Müller-Freienfels R.*: „Kindheit und Jugend“ (1937 r., str. VIII+264).
29. *Spranger E.*: „Psychologie des Jugendalters“ (wyd. 14, 1931 r., str. XV+364).
30. *Stern W.*: „Psychologie der frühen Kindheit bis zum sechsten Lebensjahre“ (wyd. 6, 1930 r., str. XVI+473).
31. *Tumlirz O.*: „Die Reifejahre“. Część I: „Die seelischen Erscheinungen der Reifejahre“ (wyd. II, 1927, str. VI+176). Część II:



- „Die Bildung und Erziehung der reifenden Jugend“ (wyd. II, 1932 r., str. IV+160).
32. *Tumlirz O.*: „Jugendpsychologie der Gegenwart“ (wyd. II, 1933 str. 97).
33. *Vorwahl H.*: „Psychologie der Vorpupertät“ (r. 1929, str. 159).
34. *Winkler H.*: „Der Trotz. Sein Wesen und seine Behandlung“ (r. 1929, str. 226).
35. *Schmeing K.*: „Die mehrfache Pubertät“ (Berlin, 1930 r.).

## SZERSZE WIDOKI ROZWOJU ZNACZENIA WSTRZEMIEŻLIWOŚCI.

Tyle się mówi i pisze o wstrzemięźliwości. Pijaństwa są najrozmaitszego rodzaju, wstrzemięźliwość tylko jedna. I ona ma je zwalczyć? Ale nazwijmy ją „*silną wolą*“, a wnet zrozumiemy jej potęgę.

W książce p. t. „Indje, kraj czarnej pagody“ (India, the land of the black Pagoda) Lowell I. Thomasa, znajduje się opis zdarzenia, które doskonale oświetla jedną z najpierwotniejszych postaci pijaństwa i sposobu, w jaki je zwalczano. Historia jest bardzo dawna, sięga czasów władzy Mogołów w Azji. Oto co o tem podaje autor: (str. 114 przekładu polskiego, wydane w Warszawie).

„Ani genjusz Asoki i jego rodu, ani potęga Mogołów nie miały wytrwać. Okrutne słońce i podstępni bramini zrobili swoje. Podcięli energję i wiarę w zdobywców. Dziś cesarstwa ich leżą w pyle i ruinie. Nie był to na pewno ani brak odwagi, ani brak zdrowego rozsądku. Nie zawiniła również zła organizacja, ponieważ brak maszyn do pisania i telefonu rekompensowała szybka decyzja i wyrazistość jej wykonania. Czynów swych nie ukrywali w niebieskich księgach, a zarządzenia ich nie ulegały zwłoce z powodu debat radców. Odznaczyli się jakimś wspaniałym gestem, zrozumiałym dla całego świata. Weźmy dla przykładu Babera, pierwszego z wielkich Mogołów, który, będąc królem Kabulu, nauczył się pić wino od jednego ze swych wesołych kuzynów z Herotu. Otóż Baber, podczas swego pochodu z Kabulu na podbój Delhi, rzadko bywał trzeźwy. Dnia 16-go marca 1527 roku, w wigilję bitwy, która miała położyć mu u nóg Indje, w następujący sposób przeprowadził prohibicję. Zebrał wszystkie złote i srebrne puhary, używane podczas dworskich pijatyk, kazał je połamać i kawałki rozdać biednym. Następnie ze swoimi dworakami poprzysiągł nigdy już nie pić wina, wylewając przytem na ziemię wszystkie zapasy przywiezione ze sobą. Dając w ten sposób szczerzy i znamienny wyraz swej pokucie, Baber wezwał wszystkich otaczających go oficerów i odwołał się do ich duszy mużłmańskiej. A oto co im rzekł: Szlachetnie urodzeni i żołnierze! Wszyscy ludzie przychodzący na świat są śmiertelni. Przechodzimy przez ten świat i odchodzimy z niego, niezmiennym pozostaje tylko Bóg. Każdy człowiek, przychodzący na ucztę życia, musi przed jej zakończeniem wychylić czarę śmierci. Ten, kto zatrzymał się w zajeździe, zwanym doczesnem życiem, musi kiedyś opuścić ten dom pełny trosk, zwany światem. O ileż lepiej jest umierać z honorem, niż żyć w pogardzie. Bóg najwyższy nam sprzyja, stawiając nas w takie położenie, że jeśli padnie-

my na polu bitwy, umrzemy śmiercią męczenników; jeżeli jednak pozostaniemy przy życiu, powstaniemy jako zwycięzcy, mściciele sprawy boskiej. Przysięgajmy sobie zatem jednogłośnie, na imię Boga, że żaden z nas nie pomyśli nawet o cofnięciu się w boju i nie ucieknie od bitwy i rzezi, trwając na stanowisku, dopóki duch jego nie rozłączy się z ciałem“. I oto jednogłośnie zastępy żołnierzy Babera przysięgły zwyciężyć tego dnia, lub zginąć, jak bohaterzy. Wynik walki sprawdził słowa cesarza: „Mściciele sprawy boskiej“. Poszli na bój trzeźwi i nieugięci i odnieśli zwycięstwo. Czyn ich wodza był czynem silnej woli, mężkiej i stanowczej jak cięcie miecza. Wszelkie postanowienia poprawy „na raty“ są więcj niż niepewne.

Znakomity autor francuski Jerzy Duhamel, w dziele p. t. „Défense des lettres“, ukazuje nam inną, współczesną już, niemniej ciekawą postać pijaństwa, jak tamto, rzechy można, prymitywne pijaństwo, szukające pociechy na dnie kielicha. Oto dosłowny wyjątek przekładu odpowiedniego ustępu z książki p. Duhamel \*).

„Jady przemęczenia rozstrajają misterny ustrój duchowy. Podobnie, jak serce zmęczone bije szybko i z wysiłkiem, tak samo mózg w walce z wyczerpaniem i sennością stwarza myśli potworne, dziwaczne, bez związku i one to właśnie wywierają na umysł opętany przez nie złudne wrażenie działania genjuszu. Nadmierne naprężenie nerwów, cierpienia szczerzej namiętności wydzierają czasem istotnie z głębi najtajniejszych strun ducha dźwięki niesłychane. Młodzieniec, szukający natchnienia w pracy, odczuwa te dźwięki. W oczekiwaniu nerwowem mówi sobie, że jady znużenia nie są jedynym środkiem, że z pewnością istnieją inne podniety sroższe, potężniejsze, które z duszy osłabionej lub zdrętwiałej zdołają wyrwać siłą lżę boskiego upojenia, że trzeba tę duszę palić żywym ogniem, trwożyć, popchnąć na sam brzeg przepaści pod grozą zawrotu głowy i pewnej śmierci. Tytoń to igraszka, alkohol podnieta gwałtowna i prostacka. Ale jest opjum, jest eter, jest morfina i są jej siostry, czarownice. Mówią, że to niebezpieczne. A więc! Tem gorzej! Tem gorzej! Nasze życie, tak nasze drogie, nasze ukochane istnienie za jedną chwilę prawdziwego genialnego natchnienia!

Opowiem ostatnie widzenie się moje z poetą Walerym B..., dziś już widmem pomiędzy widmami. Przybył z drugiego końca Europy. Posiadał wykształcenie wszechstronne i wykwinne. Przyjechał do Paryża i zaprosił mnie i kilku przyjaciół do swego hotelu. Po północy, gdy zaczęliśmy się żegnać, Walery ujął moje ramię i rzekł: „Niech pan pozwoli im odejść i uda się za mną“. Zaprowadził mnie do swego pokoju, otworzył szufladę, wyjął pompkę do zastrzyków i pusty flakonik, którym potrząsnął z rozpaczą. Głos jego był zmieniony, niski, straszny. Szlochał. „Pusty!“ Flakonik jest pusty. Niema morfiny. A noc dopiero się zaczyna. Pan jesteś lekarzem, panie Duhamel. Proszę, napisz pan receptę. Błagam pana!“ A gdy słuchałem, oniemiały ze zgrozy, ten człowiek, zawsze taki dumny, dodał: „Proszę napisać, bo padnę na kolana i będę czołgać się przed panem!“

\*) Georges Duhamel: „Défense des lettres. Quatrième partie: Les Fantômes du Génie“ p. 143—153.

„Gdy przymknę oczy, widzę p. T... poetę i filozofa. Doświadczony to praktyk w krainie sztucznego raj. Zasepia się nagle, bez przyczyny, patrzy błędnym wzrokiem złowionej ryby. Rozmowę przerywa gwałtownie i śpieszy do swoich wstrętnych rozkoszy. Widzę L... W jednej ręce trzyma flaszkę z eterem, a w drugiej, naiwnie, wieczne pióro. Widzę M... człowieka o twarzy subtelnej i duszy kryształowej. Pewnego poranku znaleziono go sztywnego i zimnego w łóżku. Widzę B... jeszcze jednego poetę. Ten już oddawna nie marzył o genjuszu, dbał tylko o to, jak oszukać dozorców, przez które okno wymknąć się i jaką groźbą zniewolić drogistów. Widzę ich wszystkich, tych straceńców, którzy nie mieli genjuszu, lecz tylko rozpaczliwą tęsknotę tego cudu. I widzę również pod murami chwiejny pochód tych, którzy chorując, zwywali Villon'a, Verlaine'a i kogóż jeszcze? Musseta?

„A więc, cóż ztąd? Genjusz nie jest wynikiem przypadku, ryzyka, nadużyć, lub narkotyku. Byłoby to zanadto proste, zanadto głupie i oburzające. Natchnienie nie może przyjść z zewnątrz. Niema chemicznej recepty, lub biologicznego wskazania, któreby zdołało sprowadzić stan poetycznego uniesienia i spowodować stworzenie arcydzieła. Wielcy ludzie dotknięci jakąś straszliwą niedolą walczyli z tem złem całe życie. Uratowali swój genjusz przed trucizną lub jadem, lecz nie im zawdzięczali jego istnienie. Nie śmiem twierdzić, że genjusz jest zdrowiem, ale pewny jestem, że zawsze jest zwycięstwem nad przemocą upadku i śmierci. Nie chcę temi słowami przerażać mych młodych towarzyszków, one są tylko wyrazem głębokiego przekonania. Opjum, morfina, eter, alkohol dają tysiącom nieszczęśliwych osobiste poczucie genjuszu, ale te trucizny nie obdarzyły ludzkości ani jednym arcydziełem. Nie przytaczajcie Baudelaire'a, on wtedy jest doskonałym, gdy mózg jego jest trzeźwy i wzrok niezacmiony. Verlaine'owi też należy dać spokój. Doskonałym jest tylko naczno, a czysta woda w więzieniu dyktuje mu najpiękniejsze z jego utworów.

„Wiem, jak żywe są złudzenia pijaka. Lecz cóż pozostaje z nich po otrzeźwieniu? Doktor Charles Nicolle opowiedział mi co następuje. Przymusił jednego ze swych przyjaciół, który używał haszyszu i chwalił się, że najwznieślijsze poemata tworzy pod wpływem tej trucizny, by utrwalił na piśmie owoc swoich natchnień podczas odurzenia. Okazało się, że zdołał sklecić tylko anemiczną bujdcę: „W mózgu upojonego haszyszem, zasuszony mały ptaszek, łamie suche gałązki“.

„Powiedziano mi, że pewien, niewątpliwie zdolny poeta zachorował ciężko. Poznawszy diagnozę lekarza, zawołał radośnie: „Teraz, przez to cierpienie, dostąpię nareszcie błogosławieństwa genialnego natchnienia!“ Spokoju! o serca gorączką opanowane! Choroba nie jest przeszkodą dla genjuszu, ale go nie daje! Raczej nieraz tłumi jego rozwój. Maupassant, dotknięty chorobą, składa pióro i milczy. Czuje skon swego genjuszu. A „Horla“? powiecie? Nie, ta piękna karta pochodzi z roku 1877. Nie jest owocem szału. Maupassant napisał ją w pełni sił, w czasie życia twórczego, na prośbę Leona Hennique'a. Flaubert i Dostojewski żyli w trwodze ciągłego upadku; nie pielęgowali talentu zaiste. Podczas genialnej epoki swego życia Flaubert nie miewał ataków, wyglądał na wyleczonego. Co do tego wierzę Dumesnilowi, dobremu lekarzowi i znakomitemu uczonemu. Dużo czasu potrzeba na stworzenie

arcydzieła, podczas gdy podniecenie nerwów trwa wogóle dość krótko. Nietzsche walczył przeciw złemu, ale z niem nie współdziałał. W pewnym dniu zło zwyciężyło i po niem nastąpił jedenaście lat strasznej ciszy. Prawdziwy grób żywcem pogrzebanego ciała. Czy należy to wszystko, co można powiedzieć o truciznie i chorobie, powtórzyć także o namiętnościach, które zdają się mieć taki potężny wpływ na rozwój geniuszu? Tak, trzeba to wyrzec. Wielkie dusze przeżywają szczerą namiętność w trwodze, nie szukają jej nigdy“.

Uwagi swoje kończy autor wezwaniem do młodzieży :

„Młodzi, otwórzcie okna i wygnajcie widma!“

Tak jest, wygnajcie ułudne widma, które was wiodą na manowce i oszukują, obiecując powodzenie, wiedzę i szczęście nie na podstawie rzetelnej pracy i silnej woli, lecz srogich wszelakiego rodzaju narkotyków.

Uważam za konieczne wspomnieć tu jeszcze o trzecim rodzaju pijaństwa, czysto umysłowego, a może równie niebezpiecznego i równie trudnego do opanowania, jak pijaństwo alkoholowe i pijaństwo narkotyków. To trzecie pijaństwo jest wytworem najnowszym i nazywa się radjo. Niejeden uśmiechnie się na to z niedowierzaniem. Spróbuję się wytłumaczyć i dodam nawet do radja jeszcze drugie słowo: kino. Oba zawierają w sobie także rodzaj narkotyku, tym niebezpieczniejszego, że jest na pozór raczej niewinny, a jednak działa destruktywnie na władze ducha ludzkiego. W czemkolwiek ludzie nie umieją się opanować, ani ograniczyć, wszystko to staje się rodzajem pijaństwa. W niektórych domach radjo brzęczy od rana do ciemnej nocy. Mieszkańcy tego domu nie znają ani chwili skupienia i ciszy, ani chwili swobody umysłu. Pan spóźnia się do pracy, pani zapomina o gospodarstwie, dzieci karmią się pustą ciekawością wiadomości przedwczesnych, a często zgoła niepożądanych. Radjo jest despotycznym władcą, kusi i nęci, obiecuje, opowiada i bawi, a co daje w istocie? Czyż zebrałszy tylko programy, nie dostaje się zawrotu głowy? O czem tam nie prawią, jakiej muzyce nie otwierają mikrofonu? A jaki z tego wynik? Może z czasem ludzie nauczą się wybierać, ale obecnie chłoną wszystko bez reszty, sądząc, że tym sposobem kształcą rozum i inteligencję. W tem właśnie tkwi niebezpieczeństwo największe.

Inteligencja, wyraz szeroki, jak morze i nadużywany, jak protekcja. Wszyscy dzisiaj są inteligentni, tak sobie odrazu bez wysiłku i pracy; wszyscy, zaczawszy od dozorczy domu aż do panny służącej, kucharki, lokaja i nawet bony! Wszyscy, powtarzam. Każdy czerpie tyle uświadomienia i wiedzy przejętej zapomocą fal radja, długich lub krótkich, zapomocą pędzących obrazów kina!

Hej! hej! co za czasy! A teraz przyjrzyjmy się, czem to nakarmiają się ci inteligentni, to jest ludzie pracy i obowiązku, którzy jednak pożądają i pragną uświadomienia i wiedzy. Jak to wyżsi inteligencji gospodarują w ich głowach i sercach? W jaki sposób doprowadzają ich do niebezpiecznego pijaństwa, w jaki sposób fałszują w ich duszach pojęcie prawdziwej pracy i wiedzy? Dziś objają się o ich uszy ułamki rozmaitej wiedzy technicznej, lekcja obcego języka, przepisy kulinarne, polityka, sprawy społeczne, jutro gimnastyka, muzyka, koncepta kabaletowe, filozofja i rolnictwo, pêle-mêle, jak w przekładanym placku.

Człowiek odurzony słuca, miło mu, gdy od czasu do czasu pochwyci jakiś cień myśli, zapamięta melodję, lub dowcip. Jutro zapomni, będzie znowu coś nowego, nowy fantastyczny zlepek, jak pstry dywanik ze starych strzępków. Słuchacz uczuwa nagle, że jest inteligentny, usłyszał o tem i owem—no i dumny jest z tego i równie pusty duchowo, jak przedtem. Wszak ta cała niby wiedza została mu narzuconą, bez cienia wysiłku z jego strony: ona zyspie się z jego duszy, jak piasek ze szkła gładkiego bez śladu! A zarazem i to już jest wielkiem i ważnem złem, nabył przyzwyczajenia, które go ciągnie przemożnie ku sobie. Staje się niewolnikiem grającej i mówiącej skrzynki i wyrabia w sobie przekonanie, że można nabyć kulturę bez pracy, bez natężenia umysłu, bez rozumnego kierunku, od niechcienia, podczas posiłków, lub paląc papierosa wieczorem. Taki jest też pijakiem równym temu, który szuka energii w kielichu, lub natchnienia w dozie morfiny.

*Kazimierzowa Bruchnalska.*

Lwów, 8.IV. 1938.

## ALKOHOL A STRAJKI.

W ostatnich czasach robotnik zdobył ciężką walką wielkie prawa —prawo zrzeszania się, prawo umów zbiorowych, a nawet prawo strajku, nie mówiąc już o zabezpieczeniach od bezrobocia, na wypadek choroby, starości i t. p.

Pomimo tych zdobyczy — bardzo wiele w stosunkach robotniczych jest rzeczy, wymagających poprawy i reformy; i śmiało należy na pierwszym miejscu postawić sprawę: usunięcia z życia robotnika, zwłaszcza podczas wykonywania pracy — alkoholu.

Na ostatnim Zjeździe w Warszawie delegatów Kół Tow. „Trzeźwość“ i pokrewnych organizacji, dowiedzieliśmy się, że na Kresach, na Wołyniu przedsiębiorcy budowlani, w obawie strajków, nie przyjmują robotników pijących, wymawiają pracę tym, którzy by przyszli do pracy podchmieleni — dało to wyniki nadzwyczajne, nadszpiewane, praca odbywała się zupełnie spokojnie, bez żadnych nieporozumień, a wydajność pracy bardzo znacznie wzrosła; w tych warunkach roboty można było wykończyć przed terminem prekluzyjnym, przewidzianym w umowach, a robotnicy, z którymi umowy były zawierane na warunkach akordowych, bardzo znacznie powiększyli swoje zarobki.

Gdybyśmy mogli wpłynąć, aby tę zasadę przyjęli wszyscy pracodawcy — kto wie, czy nie wpłynęlibyśmy w ten sposób najskuteczniej na uzdrowienie stosunków w Polsce pod wieloma względami, a przede wszystkim byłby to najprostszy sposób zwalczania alkoholizmu i usunięcia bardzo wielu nieporozumień i zatargów.

Amerykański fabrykant Ford od kilkudziesięciu lat w swoich zakładach najbezwzględniej stosuje zasadę, że pijak u niego pracować nie może i sam się wypowiada, że nieprzyjmowanie do pracy robotników, używających alkoholu, to najprostszy i najskuteczniejszy sposób dla pracodawcy do powiększenia swojej fortuny — tak myśli rozumny Amerykanin, tak zaczynają myśleć przedsiębiorcy budowlani na Wo-

lyniu; może kiedyś zwiększą się kadry rozumnnych pracodawców i u nas w całej Polsce, może nam uda się do tego choć w najmniejszym stopniu przyczynić.

*Aleksander Iżycki.*

## ZE ZJAWISK LITERACKICH.

(Ewa Curie: „Marja Curie“, prof. Mysiakowski, Dr Gross: „Robotnicy piszą“).

„Uwielbiam wielkich artystów — uwielbiam więcej wielkie charaktery — poszukuję ich i czezę“.

„Pisarz spełnia zadanie społeczne wówczas, gdy pomaga zrozumieć człowieka i wszechświat“.

„Mistrzem jest ten, kto stawia człowieka przed obliczem jego własnego sumienia“.

*Georges Duhamel.*

Do twórczości pisarskiej możemy podchodzić z bardzo wielu stanowisk, rozpatrując ją i oceniając wielorakimi sprawdzianami.

Charakter naszego pisma wpływa na to, że trzeba bardzo ograniczać rozpiętość zagadnień, poruszanych w omawianych książkach, zacieśniać koło tematów i wybierać z nich tylko te, które mogą służyć pośrednio, lub bezpośrednio najogólniejszym założeniom wychowawczym, pojętym jaknajszerszej.

Książka wpływa na kształtowanie się naszej psychiki w stopniu znacznie silniejszym, niż to się powszechnie mniema, ona zapładnia naszą myśl i uczucie — jesteśmy przez nią urabiani, zawarliśmy z nią przymierze od lat najwcześniejszego dzieciństwa, gdyśmy się zaczytywali specjalnie ulubionymi autorami i z nią wiernie idziemy poprzez całe życie, wечно głodni nowych z nią znajomości, zawsze spragnieni nowych horyzontów, którymi siebie wzbogacamy i siebie stale przekształcamy.

Georges Duhamel, zastanawiając się nad rolą książki w życiu narodu i jednostki, powiada, że od dnia, w którym wychowawcy przestaną zaszczepiać młodzieży kult książki, rozpocznie się okres nowego barbarzyństwa. Mało jest jeszcze niestety ludzi, umiających naprawdę czytać, to znaczy traktujących czytanie nie jako miłe zabicie nudnie wlokącego się czasu, lecz jako proces, z jednej strony poznawczy, a z drugiej pobudzający do samodzielnego myślenia i przeżywania pewnych zasadniczych problemów. Każda książka ma swój charakter, swój własny styl i swoją własną atmosferę i z tą całą treścią wchodzi niejako w krąg indywidualnego życia czytelnika, żłobiąc czasem nieznacznie, to znów bardzo gwałtownie pewne swoiste brzoźdy, zostawiając ślady, burząc, lub wnosząc nowe wartości, wzniewając zwątpienia, wzmacniając przekonania, czy też wywołując jakieś sprzeciwy i opory, przyczyniające się do wyświetlania i precyzowania wewnętrznego oblicza danej jednostki.

Zagadnienie wpływu książki na masy czytelników jest specjalnym niezmiernie ważnym działem z zakresu przenikania i promieniowania kultury; jeżeli o nie tu zahaczam, to tylko dlatego, że postawiłam sobie jako cel stałe podkreślanie faktu, że przedewszystkiem przez książkę

możemy wychować człowieka w najpełniejszym tego słowa pojęciu i że książka w walce z alkoholizmem, która to walka jest pracą wychowującą przyszłego człowieka, gra kolosalną rolę, i czasem nawet spełnia ją bynajmniej nie ta, która specjalnie obrała sobie temat alkoholowy. Walka z alkoholizmem, mająca, jako swój cel istotny, walkę o nowego człowieka, o jego pełne wyzwolenie, nabiera właściwego sensu i głębokiej powagi, gdy, zatracając charakter sekciarskiej doktryny, staje się współczynnikiem świadomego, twórczego programu społecznej przebudowy stosunków ludzkich, uzależniając ją od sił i możliwości, przez alkoholizm niszczonych i zatracanych. Co więcej — walka z alkoholizmem w całej pełni może być odczuta, jako konieczność, tylko przez ludzi, którzy mają w sobie rozwinięte poczucie odpowiedzialności społecznej, rozbudzoną świadomość istnienia wielkich, odwiecznych krzywd społecznych, a więc przez ludzi, którzy myśla i czują, a tacy bez książek nie mogli się wychować. Niejednokrotnie daje się wyczuć owo powierzchowne, zdawkowe, ciasne podejście do zagadnienia alkoholowego (które również może być wywołane i całym szeregiem innych przyczyn), będącym w gruncie rzeczy podstawowem i szerokim, bo wyzwala psychikę i ciało człowieka z tego wszystkiego, co tamuje jego rozwój i pełnię możliwości rozkwitu do minimum ogranicza, a na te wszystkie sprawy właśnie książka otwiera oczy.

Książka, przekazująca pokoleniom to wszystko, co duch ludzki po przez długie wieki wytworzył, jako swe najwyższe bogactwo, była, jest i będzie niezbędnym i bezcennym towarzyszem i wychowawcą człowieka w jego życiowej wędrówce, dającym mu broń do ręki, aby walczył o zwycięstwo najszlachetniejszych wartości.

Ruch abstynencki, w okresie obecnych, ogólnoludzkich, niesłychanie doniosłych przeobrażeń, wychowując ludzi wolnych od czynnika demoralizującego i obniżającego pierwiastki moralne i intelektualne, znajduje w książce potężnego sprzymierzeńca, wytrącającego kieliszek z ręki każdemu, kto siebie i kraj swój od zguby pragnie uratować. I czynić to może każda dobra książka — ta również, w której niema nawet słowa o alkoholu. Trzeba tylko, by podstawowe, zasadnicze wiadomości o działaniu alkoholu na system nerwowy, na mózg, na całokształt życia emocjonalnego, docierały do wiadomości jaknajszerszych warstw społecznych i by zatargały uczuciem ludzi, pragnących przeciw dobra dla siebie i bliźnich. I tu zaczyna się pole działania dla książki o treści propagandowej przeciwalkoholowej, która, by poruszyć sumieniem, musi paść na grunt przygotowany, na głębę użyźnioną kulturą ogólną, zaszczerpaną przez dobrą książkę. Współdziałanie wpływów książek o treści ogólnej z książkami o treści specjalnie przeciwalkoholowej jest faktem bezspornym i oczywistym, one się bowiem w umyśle czytelnika doskonale uzupełniają, wytwarzając całokształt pojęć i nastawień uczuciowych o zabarwieniu wybitnie konstruktywnym.

Są pewne cechy, pewne walory życia psychicznego, których wartość jest niewątpliwa, uznana przez wszystkich. Do takich należy przede wszystkim wytrwałość, systematyczność i wogóle cały kompleks stanów uczuciowych, który obejmujemy mianem siły woli. Wszędzie tam, gdzie się usiłuje przeprowadzić jakąś robotę pozytywną na terenie społecznym, tam, gdzie mamy konkretny, realny cel przed sobą, czy to

z zakresu organizacyjnego, czy też indywidualnych prac nad własnym rozwojem, zawsze napotkamy czynnik decydujący o powodzeniu naszego przedsięwzięcia, będący niczem innym, jak właśnie ową siłą woli, ogniskującą emocjonalne życie człowieka, a objawiającą się w twórczym wysiłku, realizującym ów zamierzony cel. Cała nasza kultura, wszystko, co ludzkość spełniła we wszelakich dziedzinach myśli, sztuki, techniki, jest emanacją siły woli, wytrwałej, upartej, systematycznej woli dokonania tego, czy innego dzieła. We wszystkim, co człowiek stworzył, jest owa niespożyta energja, przy pomocy której wyładowuje on bogactwo swej natury. Rozwijanie zachwyty w szarym człowieku dla tego, co już zostało stworzone przez ludzi, jest jednoczesnem kultywowaniem objawów twórczej mocy ducha. W książkach mamy zawartą spuściznę tego dorobku, oraz bieżącą falę coraz to nowych realizowań i stawań się i dlatego to książki są niezastąpionym pomostem między szczytami twórczych umysłów, a przeciętnym człowiekiem.

Książki o życiu genialnych ludzi są częstokroć skarbnicą mądrości nie z dziedziny wiedzy, którą dany człowiek wzbogacił, bo to stanowi osobny rozdział jego wielkości, a z zakresu wartości moralnych, jakie były w jego psychice, a które on świadomie rozwijał w sobie i które się przyczyniły do zrealizowania owych wybitnych osiągnięć. Autobiografie ich, czy biografje stanowią bardzo cenny dokument wspaniałej drogi życiowej, wiodącej ich na szczyty.

Do takich biografji należy przepiękna książka o *Marji Curie-Skłodowskiej*, napisana przez jej córkę Ewę Curie<sup>1)</sup>. Przeczytanie jej będzie dla każdego głębokiem przeżyciem o cechach zdecydowanie pozytywnych. Przesunie się bowiem przed nami życie kobiety, która obok genialnych uzdolnień uosabiała wielki charakter, wykazała niezłomną wolę dokonania pewnych ściśle określonych prac, których kierunek i zasięg, wynikający z wrodzonego talentu, ujrzała już w latach młodości, a umiała pokonać wielkie i liczne przeszkody, by dopiąć celu wymarzonego i ponad wszystko ukochanego. I właśnie to jej życie codzienne, jej postawa w stosunku do rozmaitych, osobistych spraw, jej niezmordowana, wytrwała, systematyczna wola pracy — są wzorem, są przykładem, jak żyć należy; wzorem i przykładem dla każdego przeciętnego człowieka, który wyrobiwszy w sobie cechy charakteru tak bujnie i wszechwładnie panujące w psychice naszej wielkiej uczonej, może w ramach swego życia również dokonać rzeczy wartościowych indywidualnie i społecznie. Genialnym trzeba się urodzić — charakter można w sobie wykształcić.

Książka o Marji Curie-Skłodowskiej wskazuje, jak ta niezwykła kobieta umiała bohatercko stanąć wobec ogromnych przeszkód, wobec tak nieprzewyciężonych na pozór trudności, jakimi licznie usłana była droga, po której wypadło jej iść do celu. I właśnie tu jest punkt stychny między sławną uczoną, a każdym zwykłym człowiekiem, mającym również przeciwności losu do opanowania i jakieś swoje cele do zrealizowania. A cała różnica polega na tem, czy człowiek pozwoli sobą owładnąć tym złym mocom, które przeciw niemu spiskują w nim samym

1) Ewa Curie: „Marja Curie“ z 85 ilustracjami. Warszawa. Wydawnictwo Przeworskiego. 1938. Str. 448.



i w jego warunkach życiowych, czy też opanuje je, unieszkodliwi, siebie uodporni na wszelakie przeciwności i dążyć będzie nieugięcie do celu. Cele jego napewno są mniejsze, ale trudności wydają się zawsze wielkie, o wiele przewyższające wątłe siły człowiecze, ale wiemy również, że niczego się nie osiągnie bez wysiłku i pracy, a chodzi tylko o to, by każda jednostka dążyła do wyrobienia w sobie umiejętności systematycznej, planowej, skoncentrowanej w *jednym kierunku pracy*, na której stoi gmach całego naszego życia państwowego, społecznego i indywidualnego.

Biografią Marji Curie-Skłodowskiej jest książką stworzoną zwłaszcza dla młodzieży, szukającej dróg i sposobów urządzania sobie życia, i dla działaczy społecznych, prowadzących robotę na najbardziej niewdzięcznych terenach pracy, na najmniej zrozumianych odcinkach życia, gdzie jednak grozi często wielkie niebezpieczeństwo, poważnie szkodzące zdrowiu moralnemu i fizycznemu obywateli. Młodzież powinna nie tylko ją przeczytać, lecz jaknajczęściej do niej powracać, by się żyć z poziomem wewnętrznego nastawienia, z jakim młodzianka Marja Skłodowska rozpoczyna życie i by dokładnie przestudjować kolejność rozwoju zasadniczych cech charakteru, które się stały fundamentem całej jej działalności zarówno naukowej, jak i osobistej; zaś działaczy społecznych utwierdzi w przeświadczeniu, że w imię dobra sprawy wielkiej i szlachetnej nie wolno opuszczać nawet pozornie straconych placówek, bo wytrwanie na nich do końca decyduje o ostatecznej wygranej.

Genjalność Marji Curie-Skłodowskiej nie ujawniłaby się nigdy, gdyby nie jej żelazna wytrwałość w pracy, i niezmożony hart w pokonywaniu przeszkód. Cechy więc charakteru dokonały cudu wyzwolenia genialnych uzdolnień — każde załamanie, każde zatrzymanie się na linii prowadzącej do celu mogłoby spowodować katastrofalne zahamowanie biegu prac laboratoryjnych, przeszkodzić w osiągnięciu wyników ostatecznych i przekreślić tem samem dokonaną już robotę. Wytrwałość woli każe tej kobiecie stać na stanowisku, wbrew przeróżnym osobistym powodom, które dostatecznieby ją usprawiedliwiały, gdyby zeń zesła.

Z żywota Marji Curie-Skłodowskiej płynie nauka dla wszystkich, którzy pragną w zakresie własnych możliwości dokonać maksimum wysiłku płodnego, twórczego dla dobra społecznego i dla własnej potrzeby wyżycia swych uzdolnień, czy umiłowań. Dzieciństwo zaś i pierwsza młodość noszą już piętno tego niezwykłego bohaterstwa, którem późniejsze jej życie będzie przeniknięte do głębi. Niezwykłość psychiki tej w przyszłości sławnej uczzonej ujawniła się przedewszystkiem w cechach charakteru nieugiętego wobec zewnętrznych przeciwności, umiającego dźwigać ciężar niesłychanego wysiłku, którym trzeba było zwalczać przeszkody i usuwać zapory na drodze, licznie i bezlitośnie rzucające przez los i okoliczności. Niepodobna bez serdecznego wzruszenia czytać opowieść o życiu, które było wierną służbą umiłowanej Wiedzy, służbą pełną ofiar i poświęcenia bez granic.

Już w dzieciństwie Marja Curie-Skłodowska zaznała tego wszystkiego, co ją zmusiło do wyrobienia w sobie odporności, nieustępliwości i hartu. Warunki życia były ciężkie i trudne, i jak wszystkie natury

wybitne w takich wypadkach, młodziutka Mania uciekała w świat książek.

„Te chwile „nieobecności“, zaczytania się, są jedynymi, kiedy Mania odnajduje, przeżywa znów zachwyty pierwszych lat swego dzieciństwa. Dlatego też czyta mnóstwo, coraz więcej. Łatwe i trudne książki, bez wyboru, nudne i ciekawe, podręczniki, powieści, wiersze, grube tomy dzieł technicznych z biblioteki ojca... W ten sposób odpycha niejako upiory czarnych myśli. Zapomina o udręce inspekcji Hornberga, o smutnej twarzy „tatusia“, przemęczonego codzienną pracą i dręczącego śmiertelną troską o żonę. I o nieustannym, domowym „młynie“, o zimnych porankach, kiedy trzeba, skoro świt, wstawać ze ślizkiej ceratowej kanapy, z której się pościel przez całą noc ssuwała, i pościel tę czemprędzej chować, składać, bo pokój będzie za chwilę potrzebny chłopcom ze stacji, którzy zaraz przyjdą tutaj na śniadanie. Małe Skłodowskie bowiem spijają w jadalni.

„Tylko w ten sposób, tonąc w książkach, może dziewczynka uciec od wszystkiego, co ją męczy, boli i przeraża. Instynktownie przeto chowa się w te książki, szuka w nich ratunku przed tem, co jest jeszcze dla niej za ciężkie do zniesienia“.

A gdy Mania zdobyła maturę, to „pan Skłodowski wkrótce wyjdzie na emeryturę i jego dochody staną się mniejsze, niż są dzisiaj, a dziś już przecież ledwie wystarczają na skromne utrzymanie. Więc Józef, Broncia, Hela i Mania muszą się starać o zarobek.

„Pierwsza myśl, która tym dzieciom nauczyciela i nauczycielki przyjdzie do głowy, to oczywiście dawać lekcje. „Student medycyny przyjmie korepetycje“. „Maturzystka udziela arytmetyki, geometrii i francuskiego po przystępnej cenie“.

„I wkrótce młodzi Skłodowscy powiększają szeregi młodzieży, która w ten ciężki, niewdzięczny sposób zarabia na życie. Mania nie skończyła jeszcze lat siedemnastu, kiedy już jej wypadło borykać się co dzień z mnóstwem upokorzeń i przykrości, biegać z jednego końca miasta na drugi, bez względu na chłody i deszcze, znosić lekceważenie, jakie jej, może nawet czasem mimowolnie, okazują rodzice uczennic („niech panna Marja trochę poczeka, moja córka spóźni się najwyżej o kwadrans“), i walczyć z tym dziwnym ich „brakiem pamięci“, przez który się po kilka dni czeka na dawno zarobione pieniądze“.

Postanowiwszy za wszelką cenę zrealizować najgorętsze marzenia i wyjechać na studia do Paryża, Mania przyjmuje posadę nauczycielki na prowincji i po roku pracy „traciła już nadzieję“. Ten pierwszy rok dławiącego życia na prowincji podciął skrzydła młodziutkiej dziewczyny, która wprawdzie jest skłonna do marzeń i zuchwałych planów, ale bynajmniej nie skłonna do fantastycznych mrzonek i urojeń. I, rozważając „na zimno“ obecną swą sytuację, tak ją określa: w Warszawie jest ojciec, który wkrótce będzie potrzebował zapewne jej pomocy, w Paryżu — Broncia, którą jeszcze przez szereg lat trzeba utrzymywać, nim pierwszy grosz zarobi, a tutaj na wsi — jest ona, Mania Skłodowska. „Gubernantka“. Na dawny swój projekt zaoszczędzenia w ciągu stosunkowo krótkiego czasu większej sumy patrzy dziś Mania z uśmiechem pełnym goryczy i ironji. To był projekt bez sensu, dziecinny, niewykonalny! Kto raz już tu się dostał, już się stąd nie wydestanie.

„To przygnębianie Mani czyni nam ją bliższą i miłszą. Zupełnie prosta, zwykła, arcyludzka. Nic w niej niema z pewnością siebie genjuszów, z ich niewzruszonej wiary w przyszłość, która musi napewno okazać się dla nich łaskawą. To dziewiętnastoletnie dziecko cierpi i zraża się po dziecinemu. Z dziecinną przytem niekonsekwencją: bo jednocześnie bohatersko, wytrwale i uparcie walcząc, choć twierdzi, że już z wszystkiego zrezygnowała. Przemożny jakiś instynkt nie pozwala jej porzucić pracy ani na chwilę. Nocami ślęczy przy swoim biurczku, wertuje wielkie tomy, wypożyczone z biblioteki fabrycznej, studiuje socjologję i fizykę, jednocześnie drogą korespondencji z ojcem pogłębiając swe wiadomości z zakresu matematyki.

„Podziwiać trzeba siłę woli, z jaką to czyni. Bo przecież wszystko się w gruncie rzeczy przeciw niej sprzysięgło: musi się uczyć zupełnie sama, bez niczyjej pomocy, bez kierunku, błądząc, gubiąc się w labiryntach olbrzymich działów wiedzy, po omacku szukając nici przewodniej w suchych, niedokładnych, przestarzałych podręcznikach. W chwilach zwątpienia zdarza się jej odrzucać precz te książki nielitościwie, tak jak jej mali uczniowie spod strzechy odrzucają z rozpaczony swój elementarz... A jednak z istic chłopskim uporem — nie ustępuje...!”

„Bywają dni, w które od 8-mej rano do 11 i pół, a następnie od 2-giej do 7-mej i pół jestem zajęta bez przerwy, a od 9-tej zabieram się do książek i uczę się“.

Uzbierawszy tą ciężką pracą pewną sumę pieniędzy i, mając zapewnioną w Paryżu pomoc siostry, może wreszcie Marja wyjechać.

Wyjazd ten i towarzyszące mu okoliczności mają w sobie materiał legendarny i otaczają postać Marji niesłychanym urokiem.

„Rozłożyła na stole wszystkie ruble: złote, srebrne i papierowe, jakie sobie uciulać zdołała i te, które w ostatniej chwili (nie bez znacznego wysiłku, chociaż to skromna sumka), dorzucił jej ojciec. Liczy: to na paszport, to na bilet. Oczywiście, nikomu nawet na myślby nie przyszło kupować z Warszawy do Paryża bilet trzeciej klasy! Istnieją, chwalić Boga, na niemieckich kolejach znakomite wagony klasy czwartej, bez przedziałów wprawdzie, tylko z ławkami wzdłuż ścian, ale od czego mały stołeczek składany? Można go sobie postawić pośrodku, i... No, i przecież także się dojedzie!

„A teraz: nie zapomnijmy o zaleceniach praktycznej Brońci: „zabierz ze sobą wszystko, czego ci tutaj będzie potrzeba, tak, aby nie mieć żadnych niespodziewanych, nadetatowych wydatków“! Więc Mania już zawczasu wysłała za towarowym frachtem materac, poduszkę, bieliznę pościelową, ręczniki. Parę skromniutkich sukienek, bielizna z grubego mocnego płótna, obuwie, dwa kapelusze — leżą obecnie na kanapce, w oczekiwaniu aż je Mania zacznie układać starannie w dużym drewnianym kufrze o zabawnym wypukłym wieku, — jedynym sprawunku, na który się zrujnowała, i na którym, nie bez dumy, kazała wymalować swe inicjały: M. S.

„No, już kufer nadany na bagaż. Mania skrzętnie gromadzi dookoła siebie paczki i paczuszki, które pojedą z nią razem w wagonie. Nie są eleganckie i zgrabne, ale jakże się bez nich obejść? to przecież jedzenie na trzy dni podróży, stołeczek do owego niemieckiego wagonu IV klasy, parę książek, torebka karmelków, pled.

„Ułożyła to wszystko na półkach w przedziale, zajęła miejsce na

twardej, wąskiej ławce. I jeszcze wychodzi na chwilę z wagonu. Na peron do tych, którzy ją odprowadzają.

„Jakże młodziutko i świeżo wygląda w swoim grubym, trochę wytartym płaszczu syberyjnym. Jakie rumieńce ma na policzkach i jakim niezmiernym blaskiem płoną dziś jej szare oczy!

„Ale nagle wzruszona, przejęta, znów pełna skrupułów, obejmuje ojca za szyję: Nie będę tam długo! Dwa lata, trzy najwyżej! Wróć, jak tylko zdam egzamina! Znowu będziemy razem mieszkali i już nie rozstaniemy się nigdy więcej w życiu!

„Tak, Maniusiu, tak — głos ojca jest dziwnie schrypnięty. — Pracuj dzielnie i wracaj! Niech ci się dobrze powodzi.

„Przez ciemność i ciszę nocy, przerywaną tylko sapaniem pociągu i gwizdkami, pędzi wagon, szarpiąc i rzucając nierównomiernie.

„Mania przycupnęła na swoim stołeczku, nogi otuliła szalem. Niepokojnie spogląda co jakiś czas na swoje pakunki, dla pewności liczy je oczami. Jest tak szczęśliwa, że wcale nie czuje zmęczenia. Jest po prostu wniebowzięta. I próbuje wyobrazić sobie swoją przyszłość. Parę lat w obcym upragnionym mieście, a potem powrót do kraju, do Warszawy. Gdzie naturalnie będzie pracowała znów jako nauczycielka.

„Daleko, ach, jakże niezmiernie daleko jest od niej myśl, że oto, wsiadłszy do tego pociągu, odrzuciła raz na zawsze szare życie, małe sprawy, a wybrała blask, światło, wielkość, nieśmiertelne imię“.

Zakończony jeden rozdział życia Marji Skłodowskiej. Rozpocznie w Paryżu drugi, jeszcze cięższy i wymagający więcej sił i hartu. Okres już całkowitego ześrodkowania wszystkich zdolności i całej energii psychicznej na wysiłku stałym, skoncentrowanym, nieubłaganym wobec wszelkich czynników, mogących spowodować bodaj chwilowe zboczenie, bodaj chwilowe zwolnienie tempa pracy. Życie w Paryżu będzie zasadnicze cechy charakteru Marji podnosić do najwyższej skali, pozwalającej dokonać wspaniałego dzieła, nie tylko jako samego wynalazku, okrywającego jej imię nieśmiertelnością, lecz i owego osiągnięcia szczytu moralnego bohaterstwa, które było, jest i będzie dla nas przykładem i wzorem.

Marja Curie-Skłodowska staje przed nami, jako kobieta o dwu obliczach: jedno — to oblicze wielkiej uczzonej, drugie — kobiety wielkiego charakteru. Zajmując się wyłącznie Marją Skłodowską, jako niezwykłą kobietą-człowiekiem — poniekąd z konieczności mego „zawodowego“ podpatrywania wszelakich zjawisk z punktu widzenia wychowawczego w najszerszym tego słowa znaczeniu — muszę podkreślić wpływ, jaki miało środowisko domowe na małą i młodą Marję. Ciężkie i trudne warunki materialne, oraz tragiczne zmagania się z tyranją zaborcy, wywoływały atmosferę przyczajonej walki z losem, — lecz jednocześnie niesłychanie piękny nastrój głębokiego, szczerego, twórczego patriotyzmu, połączony z kultem pracy, był sferą, w której Marja nabierała własnej postawy duchowej, w której mogły w pełni się ujawnić wrodzone wartości moralne. Brak ekliwego frazesu, brak wstrętnej zakłamania, tak nagminnie u nas panującego, w imię którego tyle popełniono zbrodni w rodzinach nad młodem pokoleniem, hamując jego swobodny rozwój — pozwolił temu, mimo wszystko, szczęśliwemu dziecku, rozwinać wszystkie bogactwa natury. Bo jednak wzywając się najdokładniej

w smutki i przeciwności, które były udziałem Marji, mimo wszystkie jej bolesne doświadczenia, trzeba powiedzieć, że dzieciństwo miała szczęśliwe, gdyż nie tylko pozwolono jej być sobą, nie tylko nikt się nie ważył, w imię jakichś własnych egoistycznych zamysłów, zawsze ubieranych w pusty frazes o świętości poświęcenia się dla kogoś, hamować jej dążeń, lecz dążeniom tym, pragnieniom i potrzebom „dom“ w miarę sił i możliwości szedł na rękę. Ten fakt niewątpliwie wpływał niestychanie dobroczynnie na psychikę Marji, na jej emocjonalną stronę, wykazując bezcenną wartość takiego ogniska domowego, w którym dziecko jest traktowane, jako samodzielna jednostka, mająca prawo do rozwoju swego własnego indywidualnego życia, w myśl wrodzonych uzdolnień. Uczucie buntu, uczucie krzywdy, uczucie żalu w stosunku do rodzinnego domu, nigdy nie zjawiało się w sercu Marji i nie pacyło jej najlepszych pierwiastków, co dało możliwość kształtować się psychice w najprzychylniejszych warunkach i uwalniało ją na przyszłość od przykrego balastu wspomnień gorzkich, przygotowując do życia w sposób szlachetny i piękny.

A teraz pytanie: czy w takim domu mogło być miejsce na alkohol? Piękno tego rodzaju środowisk, dających w rezultacie ludzi tej miary, jakimi były wszystkie dzieci pp. Skłodowskich, jest najwymowniejszą propagandą na rzecz rodzin trzeźwych.

Życie w Paryżu Marji Skłodowskiej, to dalsze borykanie się z warunkami przy jednoczesnym ugruntowywaniu ściśle zarysowanego planu prac naukowych. Wykłady w Sorbonie, laboratorja, ta cała atmosfera poważnych, źródłowych badań, którą dać może tylko środowisko uniwersyteckie, odrazu zawładnęły umysłowością Marji i unaocznily istotny cel życia, wynikający z wrodzonych, genjalnych uzdolnień, nakazujący całkowite oddanie się pracy naukowej. Już w pierwszym roku studjów paryskich, Skłodowska odnalazła swoją drogę, z której nie miała nigdy zbroczyć.

Tak, jak w okresie warszawskim interesowała mię głównie jej imponująca sylwetka moralna — tak samo i w dalszych etapach życia będą zwracać uwagę nie na nieśmiertelne zdobycze z zakresu wiedzy, lecz na dalszy rozwój i dalsze tryumfy charakteru tej wielkiej kobiety.

Obok sumiennych i precyzyjnych doświadczeń z dziedziny fizyki i chemji, Marja dokonuje szereg codziennych, drobnych (a jak często trudnych i mozolnych, to każdy z nas dobrze wie), ćwiczeń z zakresu woli, nieustannych, bohaterskich wysiłków, by zredukować do minimum własne ludzkie potrzeby, i dochodzi do ascezy, w której wytrwa i zawdzięczając której, ujrzy swe ostateczne zwycięstwo. Zogniskowuje cały żar swej płomiennej duszy na jednym celu i nagina doń swe osobiste życie w sposób bezapelacyjny i despotyczny.

Oto kilka cytat, charakteryzujących jej życie w Paryżu:

„Z lekkim sercem wykreśliła z życia rozrywki i zebrania w kółku znajomych. Z równie lekkim sercem postanawia nie przywiązywać żadnej wagi do spraw materialnych w rodzaju np. „drobnej“ kwestji jedzenia. I przyjąwszy za zasadę, że o tych rzeczach wogóle myśleć nie warto, tworzy sobie jakąś dziwną, do przesady spartańską — aż nieludzką egzystencję.

„Ul. Flatters, bulwar Port-Royal, ul. des Feuillantines... Zmieniają się ulice i domy, lecz niemal wcale się nie zmieniają pokoje, w któ-

rych Marja mieszka. Wszystkie są jednakowo tanie i niewygodne. Z wyjątkiem pierwszego przy ul. Flatters, w małym hoteliku — są to mansardy, na piątym, czy szóstym piętrze wielkich czynszowych domów, takie właśnie, w jakich w Paryżu mieszka służba. Kliteczki po 15—20 franków na miesiąc, z oknem w dachu, strasznie gorące latem, strasznie zimne, gdy tylko nastaną chłody.

„Na umeblowanie takiego wspaniałego apartamentu składają się wszystkie, równie wspaniałe „ruchomości“ Marji. A więc: wąskie żelazne łóżko, materac przywieziony z Warszawy, przenośny piecyk z wielką rurą, kuchenny stolik i krzesło, miednica, dzbanek, wiadro (woda jest na korytarzu), naftowa lampa z abażurem za parę groszy, maszynka spirytusowa (mniejszej już nie można było znaleźć) dwa talerze, nóż, widelec, łyżka, łyżeczka, filiżanka, rondelak, imbryczek i — co za luksus! aż trzy szklanki: żeby można było podać herbatę, jak przyjdą Dłuscy, lub bardzo rzadko ktoś ze znajomych. W czasie takich „przyjęć“ wyjeżdża ze swego kąta słynny kufer, aby (pocziwy), będąc tu zarazem komodą i szafą, stać się jeszcze: krzesłem.

„Koszt posługaczki, nawet na godzinę dziennie, zburzyłby cały, misternie skombinowany budżet Marji, więc też obywa się ona bez usługi. Wydatki na przejazdy również skasowała i nawet w najgorszą pogodę, chodzi pieszo na wykłady, do laboratorjum i do biblioteki. Na opał przez całą zimę musi wystarczyć worek (czasem dwa worki) brykietów, które Marja kupuje sama w najbliższym składzie, po kilkanaście kilo, i sama je wnosi na swoje szóste piętro, ciężko dysząc, i co chwila, przystając ze zmęczenia. W oświetleniu też jaknajdalej posunięta oszczędność. Do dziesiątej wieczorem można przecie pracować w błogosławionym przybytku, zwanym biblioteką św. Genowefy, gdzie jest mniej więcej ciepło i gdzie się gaz mniej więcej jasno pali. Można tam, z głową wspartą na dłoniach, siedzieć przy którymś z wielkich, długich stołów, a potem wystarczy mieć już tylko trochę nafty w domu, na jakieś cztery godziny: do drugiej w nocy, do pół do trzeciej... Wtedy, z powiekami czerwonymi i piekącymi ze zmęczenia, Marja wreszcie odkłada książki i rzuca się na łóżko“.

„Do rzeźnika, a tem bardziej do restauracji wogóle nie zagląda. Całymi tygodniami żyje herbatą i chlebem z odrobiną masła, czasem tylko wstępując do mleczarni na dwa jajka, albo kupując kawałek czekolady, trochę owoców, rzodkiewek“.

Cytaty te, dotyczące zewnętrznych warunków życia Marji, mówią nam jednocześnie o jej charakterze, o pewnych wartościach moralnych, których jest ona żywym wcieleniem. A jest to dziedzina, gdzie panuje chaos i brak należytej orientacji. Zbyt jest jeszcze, niestety, rozpowszechnione mniemanie, że postęp, że radykalizm przekonań społecznych legalizuje najdalej idącą tolerancję względem wszelakiego rodzaju objawów zupełnego nieujarzmiania natury ludzkiej, dążącej do pełnego wyzycia się w niczem nieskrępowanej wolności. Hasło „wszystko wolno“ zbyt wielu ma cichych i żarliwych wyznawców, przybierających nawet często minę ludzi nadrzędnych, wyższych ponad ciasne kanony moralności, tak potrzebne według ich mniemania wyłącznie dla szarego tłumu przeciętnych obywateli.

Poruszenie tego zagadnienia z okazji książki o Marji Curie-Skłodowskiej, skąpanej w słońcu dostojnej moralności tej pięknej postaci,

samo się poniekąd narzuca i jest niezmiernie ważne dla naszego pisma, które, służąc bezpośrednio walce z alkoholizmem, jako z czynnikiem niszczącym moralność, pośrednio stawia sobie cel walkę o prawdziwą, rzetelną moralność. Nakłada ona na nas kompleks obowiązków, zarówno względem samych siebie, jak i względem społeczeństwa, a wynalezienie pewnej niezbędnej harmonji między jednostką a społeczeństwem, jest odwiecznie żywym i pasjonującym zagadnieniem, które raczej zaczyna nabierać coraz większej ostrości i narzuca się z bezwzględną koniecznością do unormowania.

Są pewne ogólne prawdy, niepodlegające wątpieniu, uznane przez wszystkich, jako wartości obowiązujące każdego bez względu na narodowość, czy wyznanie. A nasza sławna rodaczka ucieleśniała właśnie taki szczytny ideał człowieka obdarzonego charakterem wytrwałym, opanowanym, nastawionym na lanową, umiłowaną pracę, realizującą szlachetny cel.

W liście do brata Józefa, Marja wyraziła krótko i zwięźle, w jaki sposób dochodzi się do swego celu upragnionego:

„Nikommu z nas życie, zdaje się, bardzo łatwo nie idzie, ale cóż robić, trzeba mieć odwagę i głównie wiarę w siebie, w to, że się jest do czegoś zdolnym i że do tego czegoś dojść potrzeba“.

„Oczywiście, nie każdy dzień może być „doskonały“. Zdarzają się różne intermezza niemiłe i prozaiczne: chwile zmęczenia, którego już przewyciężyć niepodobna, choroba, która wymaga koniecznie czyjejś opieki i starań. Albo katastrofy w rodzaju „spadnięcia z nóg“ ostatniej pary obuwia. Trzeba natychmiast kupić nowe, i budżet pęka na długie tygodnie, w czasie których jeszcze się bardziej oszczędza na nafcie i na jedzeniu.

„Albo też zima przeciąga się złośliwie i w mansardzie jest piekielnie zimno, bo zapas węgla się skończył. Marja dygoce w łóżku i nie może zasnąć. Ale czyż warszawianka pozwoli, by zwyciężyła ją paryska zima?

Marja wstaje, zapala lampę, rozgląda się po pokoju. Otwiera kufer, wyjmuje bluzki, suknie, bieliznę. Ile się da, nakłada na siebie, resztę zaś rzuca na koldrę i ponownie wsuwa się do łóżka. Jednak jeszcze jest zimno. Więc leżąc, wyciąga rękę, chwyta krzesło, unosi je i kładzie na wierzchu na stosie ubrań, żeby je przycisnąć. Może w ten sposób będą lepiej grzały?

„I nieruchomo, by nie stracić swojej „piramidy“, czeka na sen. A tymczasem skorupka lodu tworzy się zwolna na wodzie w miednicy“.

I pomyśleć tylko, że niewiele węgla, parę butelek nafty, trochę nie wybrednego pożywienia, a nie będą się tak nieprodukcyjnie marnować jej siły i nadwerężać bezcenne zdrowie, nie będzie się marnować niespożyty, a jednak mający swe osiągalne dno, kapitał energii tej wielkiej kobiety! Trochę marnych dóbr materialnych, a organizm nie wycieńczałby się w żmudnej o nie walce!

Biografia Marji Skłodowskiej wykazuje dobitnie, że życie ludzkie (o czem zresztą każdy wie dobrze), składające się z drobnych, codziennych trudności, wymaga nie sporadycznych aktów bohaterstwa, lecz żmudnego, nieustannego przedzierania się przez gąszcz zwartych, nieustępliwych, opornych okoliczności, usiłujących opłatać wątłego człowie-

ka i powalić go w połowie jego drogi. Bolesna ironja losu tkwi w tych prozaicznych drobiazgach, w tych bagatelkach, które w ostatecznym rozrachunku odnoszą tak często nad nami zwycięstwo. Nad nami, ale nie nad nią i w tem tkwi jej wielkość, jako c z ł o w i e k a.

A jako kobieta, mimo ogromu obowiązków naukowej pracy, nie zaniedbywała obowiązków matki, żony, i samodzielnego człowieka pracy.

„W skromnem mieszkaniu pewna młoda matka prowadziła gospodarstwo, gotowała i niańczyła swą małą córeczkę — a w skromnem laboratorium Szkoły Fizycznej pewna uczona dokonywała największego z odkryć współczesnej wiedzy“.

„Osiem godzin pracy w laboratorium, dwie do trzech godzin zajęć przy gospodarstwie. To jednak okazuje się zbyt mało. Wieczorem, dokładnie wypełniwszy rubryki swego pięknego zeszytu: „wydatki pana“, „wydatki pani“, „życie“ i t. d., zasiada Marja przy „swoim“ końcu dużego stołu na „swoim“ krześle i, oparłszy głowę na rękach, tonie w przygotowaniach do egzaminu nauczycielskiego. Po drugiej stronie Piotr, z głową tak samo schyloną, opracowuje plan swych wykładów w Szkole Fizycznej. Chwilami, czując na sobie jego wzrok, pełen miłości i podziwu, Marja podnosi oczy, by spotkać się z jego pięknymi, głębokimi oczami. Przesyłają sobie nawzajem uśmiech najdoskonalszego porozumienia i najtkliwszej serdeczności. Lecz milczą nadal — i tylko słysząc w tym pokoju pianissimo przerzucanych kartek i skrzyp pióra po papierze. Co noc do drugiej, trzeciej godziny widnieje światło w ich oknie“.

„I skoro tylko małżeństwo jej zostało zdecydowane, zaczęła po ci-chutku, w wielkiej tajemnicy, zgłębiać tę mądrość (gotowania) przy pomocy Brońci i starej pani Dłuskiej. Teraz robi dobre i zdrowe obiady mężowi, który zresztą jest pod tym względem tak niewymagający i roztargniony, że nawet nie widzi jej bohaterskich wysiłków“. „Powoli różnie jej doświadczenie, a nawet zaczyna przekraczać doświadczenie kobiet, które mogą gospodarstwu poświęcać dzień cały. Jej maszynka gazowa już nie ośmiela się teraz spalać na węgiel mięsa, jak to się kilka razy zdarzyło z początku. Marja przed wyjściem przykręca płomień gazu z dokładnością fizyka, po czem, rzuciwszy ostatnie troskliwe spojrzenie na rondle, które mu powierzyła, zamyka drzwi i pędem zbiega po schodach, aby dogonić męża i razem z nim podążyć do laboratorium.“

„W kwadrans później, pochylona nad innemi „rondelkami“, będzie z tą samą starannością i precyzją regulowała płomień innego gazowego palnika“.

Do pełnego duchowego wizerunku Marji Curie-Skłodowskiej, jako człowieka, pragnę dorzucić jeszcze parę cytat, które ukazałyby nam ją od strony społecznej, narodowościowej i ogólnoludzkiej. Zobaczymy, jak te trzy dziedziny przeżyć wyrobiły w niej szarmonizowany światopogląd, któremu przez całe życie pozostała wierną.

Pisząc o wykładach tajnych Uniwersytetu Ludowego w Warszawie w czterdzieści lat później, Marja stwierdza, że „pamiętam ich miłą atmosferę koleżeństwa i współpracy intelektualnej. Nasze środki były wprawdzie bardzo skromne, a wyniki pracy również znaczne być nie mogły, mimo to jednak do dzisiaj sędzę, że idee, któremi kierowaliśmy się wówczas, są jedyną podstawą, na jakiej można budować istotny po-



stępow społeczny. Nie można bowiem mieć nadziei na skierowanie świata ku lepszym drogom, o ile się jednostek nie skieruje ku lepszemu. W tym celu każdy z nas powinien pracować nad udoskonaleniem się własnym, jednocześnie zdając sobie sprawę ze swej osobistej odpowiedzialności za całokształt tego, co się dzieje w świecie, i z tego, że obowiązkiem bezpośrednim każdego z nas jest dopomagać tym, którym możemy się stać najbardziej użyteczni“.

„Obok cudu pracy naukowej, — cud pracy nad przebudową stosunków społecznych. Marja staje się — w najczystszej znaczeniu tego słowa — socjalistką. Nigdy jednak nie zapisze się do partji. Poczucie wewnętrznej niezależności duchowej każe jej zawsze odsuwać się od stronnictw politycznych, a patrijotyzm odrzuca ją od marksizmu, od międzynarodówki. Przedewszystkiem chce Marja służyć swej własnej ojczyźnie“.

„W chwilach wolnych od nauki, pracy zarobkowej i społecznej, zamyka się w swoim pokoju i czyta, pisze i notuje“.

„Opatrnościowe stypendjum Aleksandrowiczów! Marja z chytrem i namiętym skąpstwem usiłuje jaknajpowolniej je wydawać, by jaknajdłużej móc pozostać w swoim rajku laboratorjów i sal wykładowych. W kilka lat potem będzie z równym skąpstwem zbierała grosz do grosza z pierwszych przez siebie zarobionych na bruku paryskim pieniędzy: za pracę techniczną, którą jej powierzyło Tow. Popierania Przemysłu Krajowego. I, uzbierawszy owych sześćset rubli, odeśle je zarządowi fundacji stypendjalnej, gdzie je przyjmą z najwyższym zdumieniem, bo jeszcze nie mieli takiego wypadku. „To jest stypendjum bezzwrotne“, zaznacza w swej odpowiedzi. Ale Marja, przyjmując pieniądze, uważa je za pożyczkę. Za dług honorowy, który jest jej obowiązkiem spłacić natychmiast, gdy będzie mogła — obowiązkiem tym świętym, że przyznanie stypendjum było przecie dowodem zaufania do niej. Nieuczciwością w jej pojęciu byłoby zatrzymać, choćby przez chwilę dłużej, niż koniecznie trzeba, pieniądze, które teraz znów mogą komuś dopomóc“.

„Na czym że polega interes społeczny — pisze w jednym ze swych sprawozdań — jeśli nie na popieraniu rozwoju zdolności i zamiłowań naukowych? Czy jesteśmy tak bogaci, że nam wolno je poświęcać? Sądzę raczej, że połączenie cech, składających się na prawdziwe powołanie naukowe, jest czemś niezwykle cennym i kruchym, i że głupotą i zbrodnią jest pozwalać marnować się tym rzadkim skarbowi, nad którymi trzeba czuwać najtroskliwiej, aby im dać wszystkie możliwości rozwoju“.

„Jestem z tych, którzy wierzą, iż Nauka jest czemś bardzo pięknym — mówi w czasie obrad. — Uczony jest w swoim laboratorjum nie tylko technikiem, lecz również dzieckiem, wpatrzonym w zjawiska przyrody, wzruszające, jak baśń czarodziejska. Nie powinniśmy sobie dać wmówić, że cały naukowy postęp sprowadza się do mechanizmów, maszyn i różnych kółek zębatych, które zresztą także nie są pozbawione swego piękna.“

„Nie obawiam się, aby ukochaniu Nieznanego i żądzy Wielkiej Przygody miała grozić w czasach dzisiejszych zagłada. Najżywotniejszym z wszystkiego, co widzę dokoła siebie, jest właśnie ta żądza i to

ukołowanie, nie dające się wykorzenić, a związane najściślej z ciekawością naukową“.

„Walka o międzynarodową kulturę, opartą na panowaniu narodowych odrębności kulturalnych; obrona cech i talentów indywidualnych, bez względu na to, gdzie się one przejawiają; walka o „skrzepienie wielkiej duchowej mocy nauki“, walka o „rozbrojenie moralne“ — o pokój — oto są wojny święte, które toczy pani Curie, nie ludząc się zresztą wiarą w szybkie zwycięstwo“.

Nad wszystkimi temi wypowiedzeniami Marji Curie-Skłodowskiej unosi się zasadnicza myśl odpowiedzialności indywidualnej i zbiorowej, o czem sama zresztą w jednym miejscu wyraźnie mówi, i ona jest niewątpliwie pionem jej życia duchowego, czy to myślowego, czy uczuciowego. Wniknięcie w biografię naszej wielkiej uczonej wykazuje, że od wysubtelnienia tego poczucia odpowiedzialności zależy nasza postawa praktyczna i czynna, wytwarzająca piękne formy życia osobistego, a tem samem określająca naszą rolę w procesie stawiania się i narastania nowych zjawisk. Jak niesłuchanie ważnym czynnikiem jest czynnik odpowiedzialności, wykazują sprawy i powikłania, powstające z racji jego zaniku, czy braku. Powstaje szereg komplikacji, co do których ma się pewność, że byłyby do uniknięcia, a nawet wogóle mogłyby zupełnie nie istnieć, gdyby ludzie posługiwali się hamulcami psychicznymi, działającymi sprawnie, jedynie w przyjaznej dla siebie atmosferze poczucia odpowiedzialności wobec siebie i wobec ludzi.

Mojem zdaniem, nie powinno być w Polsce człowieka, któryby tej książki nie przeczytał; ale to jeszcze mało, któryby się z nią nie zżył, nie zaprzyjaźnił i nie wyciągnął dla siebie konkretnych wniosków. Niestety, książka jest droga, nawet bardzo droga, jak na stopę przeciętnej zamożności, to też zanim rozsiani po Polsce czytelnicy „Trzeźwości“ dostaną ją do ręki, niech przynajmniej za pośrednictwem naszego pisma zapoznają się z nią i zainteresują urywkami przytoczonymi.

Czytałam ją trzykrotnie: gdy wychodziła we francuskim piśmie „Marianne“, następnie po francusku w wydaniu książkowym, a ostatnio w przekładzie Hanny Szyllerowej.

Trudno nie podkreślić, że sposób ujęcia przez Ewę Curie biografii matki jest przedziwnie piękny, poważny, chwytający za serce prostotą i głębią uczucia. Tłumaczenie zaś Hanny Szyllerowej jest tak doskonałe, że się nie czuje, czytając, iż to nie jest oryginał. Bezpośredniość, ciepło, miękość, uczucie bez sentymentalizmu, któremi przepojony jest tekst francuski, są całkowicie oddane w polskiej mowie, za co tłumaczcze należy się uznanie i serdeczna podzięka.

Każdy, kto odczyta kilkanaście wyjątków, przytoczonych wyżej z niezwyklej książki Ewy Curie, odgadnie, jak bardzo się one łączą z treścią naszej pracy, mimo, że o alkoholizmie niema w nich mowy. Każdy, kogo ta książka wzruszy, kto się uczuje za jej pośrednictwem wsparty na duchu, pokrzepiony, uszlachetniony, ten doskonale zda sobie sprawę, że jest ona przez swoją treść, przez owo zmaganie się ducha z przeciwnościami losu i przez niemilknące tętno pochodzącego do wymarzonego celu, naszym bezcennym sprzymierzeńcem, a zdecydowanym choć milczącym wrogiem alkoholizmu, dla którego niema nawet kawałeczka

miejsca w całej rozbudowie planu życiowego, tak wspaniale realizowane przez sławną uczoną i wielkiego, szlachetnego C z ł o w i e k a.

\*

\*

\*

Krakowski oddział Tow. Uniw. Robotniczego zorganizował i przeprowadził ankietę wśród robotników, mającą na celu wszechstronne zbadanie warunków bytu klasy robotniczej, a więc wkraczającą w zakres życia rodzinnego, organizacyjnego i wogóle kulturalnego. Odpowiedzi na ową ankietę tworzą ciekawy tom, wydany przez prof. U. J. Zygmunta Myślakowskiego i dr. Feliksa Grossa pod tyt.: „Robotnicy piszą“<sup>1)</sup>. Ankieta zawiera 35 punktów-pytań. Rzecz ciekawa, ale i wysoce smutna, że niema w niej osobnego pytania, dotyczącego tak powszechnie obserwowanego zjawiska alkoholizmu i tylko raz pojawia się słowo wódka w pytaniu: „do czego cię zachęcali przyjaciele, a więc do sportu, zabaw, wódki?“

Trudno zrozumieć, jak można było, badając życie robotników, wnikając w tragedję ludzi, pozbawionych nieraz najniezbędniejszych warunków istnienia, nie uwzględnić również destrukcyjnej roli, jaką alkoholizm gra, obok wielu innych czynników demoralizujących! Jest to charakterystyczny objaw powszechnie panującego niezrozumienia, a raczej *nieznajomości* zagadnienia alkoholizmu, bo nie można sobie wyobrazić, że znalazłby się człowiek, któryby poznawszy sprawę, jednocześnie nie przekonałby się o wielkiem społecznem niebezpieczeństwie, jakie ona kryje w sobie.

Istnieje bardzo rozpowszechniony pogląd, że robotnik pije z nędzy, z biedy, gdy niema nic do stracenia, gdy rozpacz pcha go do szukania zapomnienia i pocieszenia w kieliszku. Niewątpliwie w twierdzeniu tem jest część prawdy, to znaczy jest pewien procent takich ludzi, którzyby nie pili, gdyby mieli normalne, na poziomie kulturalnym utrzymane życie. Ale obok nich jak wielki odsetek jest i takich, którzy przebijają dość znaczne zarobki i tylko spowodu wódki rodzina cierpi nędzę. Albo jak często, w pracy świetlicowej, a więc w środowisku, dostarczającym wszelakiego rodzaju rozrywek kulturalnych, młodzież robotnicza uniemożliwia wszelką pozytywną działalność przez pijaństwo, które często jest objawem nałogu, od dziecka zaszczepianego przez obyczaj domowy. Rzecz jasna, że chodzi tu przedewszystkiem o uświadomienie robotnika o wielkim wrogu, jakim był i jest alkoholizm, który nawet po zniesieniu ustroju kapitalistycznego, nie przestanie go niszczyć i hamować pełni rozwoju jego sił, jeżeli sam nie stanie z nim do walki i wprowadzi przekłętą obyczaj starych czasów do nowego wymarzonego ustroju.

Bynajmniej nie jestem zdania, że z przeprowadzeniem reform społecznych należy czekać, aż robotnik nasz dorówna swym zachodnio-europejskim kolegom — obecna nędza i bezrobocie pogrążają świat pracu-

1) Prof. U. J. Zygmunt Myślakowski, Dr. Feliks Gross: „Robotnicy piszą“. Pamiętniki robotników. Studium wstępne. Kraków, 1938. Księgarnia Powszechna. Str. 361.

jący w coraz głębszą i beznadziejniejszą niedolę moralną, w grozie swej dorównywującą nędzy materialnej, lecz jestem przekonana, że jedynie trzeźwy człowiek w całej pełni wykorzysta reformy społeczne i że tylko dzięki trzeźwemu człowiekowi będą mogły one być urzeczywistnione.

Wydaje mi się, że wszelka robota społeczna wśród szerokich warstw robotniczych, bądź polityczna, bądź kulturalna, musi się opierać przede wszystkim na akcji wychowawczej, a ta ostatnia, polegając na urabianiu charakterów ludzkich, nie może pomijać i przemilczać zagadnienia alkoholizmu, bo mijałaby się z celem, któremu służy, a który polega na wytworzeniu pełnowartościowego człowieka.

Jakież szerokie pole dla podjęcia propagandy przeciwalkoholowej przedstawiałaby powyższa ankieta, gdyby obok poruszonych cennych zagadnień kulturalnych, postawiła jasno i wyraźnie pytania z zakresu alkoholizmu. A więc np.: Czy sam pijesz? Ile wydajesz na wódkę, a ile na książki? W jakim stanie znajdują się rodziny pijaków?

Zmusiłyby one do zastanowienia się nad objawami i skutkami pijactwa, wprowadzałyby w istotę zagadnienia, stworzyłyby ramy dyskusji bardzo zasadniczej, programowej, niesłychanie doniosłej, jednym słowem, postawiłyby sprawę na właściwym miejscu, a co może najważniejsze, wskazywałyby, gdzie leży trwały, mocny fundament nowego, lepszego, sprawiedliwszego ustroju. Czytamy, że „obok celu poznawczo-naukowego, spełniała też ankieta rolę eksperymentu kulturalno-wychowawczego. Zachęcano w ten sposób wielu zdolniejszych robotników do większego, głębszego, myślowego i twórczego wysiłku, a w ten sposób zmuszano ich do samodzielnej obserwacji i samodzielnego przemysłenia wielu spraw“.

Czyżby nie było równie dobrze, gdyby ankieta zmusiła do przemyślenia, przeanalizowania obyczajów pijackich, — gdyby ona ujawniła, drogą zwrócenia uwagi, kulisy wielu tragedii życiowych, kryjących właściwe oblicze złudnego uśmierzyciela trosk wszelakich i wszelakich radości zwodniczego towarzysza — gdyby tak rozciekawiała bystre i chwytny umysł, że robotnicy zaczęliby szukać literatury z zakresu alkoholologii i dowiedzieliby się z niej rzeczy najważniejszych, decydujących o stanowisku, jakie zajmą nie jutro, nie pojutrze, lecz od dziś, od zaraz. A wiadomości te będą przede wszystkim dotyczyły działania alkoholu na mózg i system nerwowy człowieka — dowie się on okrutnej prawdy o wódce, która uniemożliwia wszelki trwały, systematyczny wysiłek pracy, a więc podcina u samej podstawy wszelakie możliwości upragnionego awansu społecznego. Robotnikowi trzeba podsunąć tylko trochę elementarnych wiadomości, popartych wymowną argumentacją wypadków życiowych, na które patrzy codziennie, ale których genezy poprostu nie umie pochwycić, a sam doskonale zorientuje się w grozie niebezpieczeństwa i walkę z alkoholizmem ujmie we własne ręce. Będzie to najlepsza metoda pracy: sam przestanie pić i dzieciom zakaże — dzieciom w domu nie da alkoholu. Rzecz prosta, mam tu na myśli najzdolniejszą i najwartościowszą część robotników, tą zresztą, która na ankietę odpowiedziała, a która przykładem swym prędzej, czy później pociągnie za sobą maruderów i obojętnych.

A że się nie mylę, że nie przeceniam możliwości samodzielnego, krytycznego stosunku do alkoholizmu u robotników, dowodzi fakt, iż

nie pytani w ankiecie, sami się wypowiedzieli o pijaństwie. Z 25 wydrukowanych odpowiedzi na ankietę, 10 nie wspomina nic o wódce, 15 natomiast zawiera ciekawe i pouczające spostrzeżenia.

Z pośród tych 15 musimy wyróżnić dwie kategorie. Do jednej, liczniejszej, należą ci, którzy niejako rejestrują fakt istnienia pijaństwa i jego opłakanych skutków i na tem skonstatowaniu się zatrzymują — do drugiej zaś ci, co piętnując je surowo, pragną z niem walczyć. Można więc śmiało stwierdzić, że istnieje grunt bardzo przygotowany do planowej propagandy przeciwalkoholowej w myśl najżywotniejszych interesów klasy pracującej, spragnionej lepszej doli.

\*

\*

\*

Pomocnik szybowy z Zagłębia naftowego, opisując okropne życie swej rodziny spowodu alkoholizmu ojca, rozpoczyna od słów, że „*alcohol, ten straszliwy wróg proletariatu*”, wziął mego ojca w swoją władzę, nie pozwolił mu nigdzie długo pozostawać. Będąc w stanie nietrzeźwym, ojciec był brutalnym awanturnikiem, któremu niebezpiecznie było wówczas zastąpić drogę. Zarobek jego prawie całkowicie szedł na wódkę. Cały ciężar utrzymania i wyżywienia rodziny naszej spadał na barki mej biednej matki. A było nas dzieci czworo“. „Pożycie mych rodziców było — jak się to mówi — pod psem. Lecz wina w tym wypadku spada całkowicie na mego ojca, który przychodził w każdy dzień późno w nocy pijany i wyprawiał straszliwe awantury. Tłukł i niszczył, co wpadło mu do ręki, domagając się od matki jedzenia za cały dzień. Mięso bezwzględnie musiało być w każdy dzień dla niego. Bicie matki i mnie, jako najstarszego, było na porządku dziennym. Drżeliśmy ze strachu, gdy późno w noc rozlegały się na schodach chwiejne kroki mego ojca. Będąc małym chłopakiem, miałem taki wyrobiony słuch, że po odgłosie kroków poznawałem, w jakim stanie opilstwa znajduje się ojciec. Dnie, a przeważnie wieczory, w których ojciec przychodził do domu trzeźwy, były wielkim świętem dla nas. Trzeba podkreślić, że w stanie trzeźwym był człowiekiem spokojnym i dobrym. Lecz trzeźwość była u niego rzadkością“.

Inne życie rozpoczęło się dla piszącego te słowa, gdy ojciec wyjechał do Ameryki: „Może ktoś, czytając te słowa, posądzić mnie o brak serca i uczuć synowskich dla człowieka, który mimo wszystko był moim ojcem. Niestety, oprócz panicznego lęku w latach dziecięcych, a obecnie głębokiej pogardy, nie odczuwam nic więcej dla niego. Dostyć napłakałem się ze wstydu w szkole, kiedy koledzy, śmiejąc się ze mnie, opowiadali o tym, że widzieli mego ojca bijącego się po pijanemu. A sam ile razy spotykałem go na ulicy spitego, powalanego błotem lub pokrwanionego! Przewyciężałem wówczas swój lęk i szedłem za nim, prosząc aby poszedł do domu. Spotykały mnie za to z jego strony najordynarniejsze przekleństwa i dotkliwe razy.“

Po jego wyjeździe spokój i cisza zapanowały w naszym domu“.

Otóż człowiek, który tak głęboko cierpiał spowodu alkoholizmu ojca i który wyrobił sobie pogląd, że wódka jest wrogiem klasy robotniczej, gdyby otrzymał bodaj słabe pchnięcie „intelektualne“, któreby jego osobiste przeżycia wzmocniło argumentami naukowymi o wpływie

alkoholu na psychikę ludzką, stałby się niewątpliwie działaczem trzeźwościowym na terenie swej organizacji, propagującym hasło nie picia wśród kolegów. A wartość moralna takiego człowieka, należącego do tej, czy innej organizacji, wzrosłaby niesłychanie, stałby się on elementem pracy, ładu, karności, a jednocześnie byłby zdolny do samodzielnego myślenia i samodzielnego orjentowania się w zjawiskach życia społecznego, politycznego i państwowego.

Górnik z Zagłębia Węglowego Dąbrowskiego, pisząc z entuzjazmem o robocie kulturalno-oświatowej P. P. S., o zebraniach, na których wspólne czytanie otwierało szerokie horyzonty i kształciło serce na całe życie, dodaje jednak, że „nie podobało mi się to, że po każdym niemal takim zebraniu składano się na wódkę i pito ją. Nie było człowieka, któryby im zwrócił na to uwagę. Wszyscy byli do tego nałogu przyzwyczajeni i lubili wypić, nawet i mnie częstowano.

„Za przynoszenie z karczmy tego świństwa dawano mi po 25 kop. Brałem z chęcią, bo miałem na potrzeby szkolne, owoce, zaś resztę obracałem na kupno broszur i książek, na które nie zawsze mogłem od rodziców dostać. Do książek czułem ogromny pociąg, miałem dość dobrą pamięć, nie nudziłem się, a chciałem dużo wiedzieć i rozumieć, być czytany i tym właśnie czarnym górnikiem wszystko to opowiedzieć, bo ludzi tych szanowałem i skrycie sercem kochałem, a za co, dzisiaj mógłbym to łatwo powiedzieć, ale wtedy zapewne nie.

„Gdy byli popici, nieraz dokuczali mi słowami, lecz nie brałem im tego za złe, byłem do tych przykrości za wiele przyzwyczajony. Szkołę po 4 klasie musiałem przerwać. Rodzice nie mieli pieniędzy“.

„Za parę miesięcy wybrany byłem do komitetu dzielnicowego gdzie normowano i załatwiano bardzo poważne sprawy. Czułem się bardzo szczęśliwy, że mogę być pożyteczny dla klasy pracującej i jej wyzwolenia. W wielu wypadkach zastępowałem brata, który miał bardzo poważne funkcje do wypełnienia.

„Pijaństwo w dalszym ciągu towarzyszyło przy tych pracach. Przypominam sobie przykry fakt. U karczmarza skradziono parę skrzących wódek. Śledztwo zaplątało w tę sprawę kilku ludzi partyjnych. Sąd ich wprowadził uniewinnił, ale plama pozostała.

„Ja wprowadziłem dużo z nimi nie popijałem, ale jakoś i większą dozę tego świństwa organizm mój znosił“. „Obawiałem się tego picia ogromnie, czułem, że mogę być nałogowym, jak inni i nabyć dużych wad. By mieć atut do odmowy picia, zapisałem się do towarzystwa przeciwalkoholowego „Przyszłość“, w którym rej wodzili postępowi i inteligenci. Po złożeniu przysięgi i otrzymaniu legitymacji pić i palić zupełnie przestałem. Postanowienia tego do chwili obecnej dotrzymuję.

„Zdawałem sobie z tego sprawę, że każdy człowiek, a tem bardziej działacz robotniczy, nie może być pijakiem. Jest to wróg bardzo groźny i szkodliwy dla klasy pracującej, a dla młodzieży w szczególności. Nabyte wady z młodości pozostawiają ślady bardzo znaczne nawet prawie na całe życie. W tym wypadku trzeba młodzież od pijaństwa odciągać wszelkimi rozporządzalnymi środkami. Dodać muszę, że wielu moich kolegów stało się pijakami, los ich jest godny pożałowania, a niektórym już piasku na oczy nasypano“.

„Słabą stroną braci górniczej jest: pijaństwo, połączone z jego

przeogromnymi skutkami, dalej karty, zatem jest ciężki do pracy nad samym sobą, a co najgorsze, to to, że łatwo ulega demagogji i za mało ma poczucia godności człowieczej. Dzieci wychowują w warunkach godnych pożałowania“.

Jakżeż to wszystko jest cenne, co ten człowiek pisze sam, dobrowolnie, nie pod przymusem narzuconego pytania. Ów brak oficjalnych pytań w ankiecie ma może nawet tę dobrą stronę, że wypowiedzi na temat pijaństwa są wynikiem szczerego przejęcia się tą sprawą, istotnego zrozumienia, jak ona jest ważną i zasadniczą. Uświadomiony, inteligentny robotnik wysuwa na czoło dwa momenty najważniejsze może: brak zrozumienia zagadnienia alkoholowego wśród czynników kierowniczych w partji, a więc wśród inteligencji, oraz konieczność propagandy przeciwalkoholowej przede wszystkim między młodzieżą. Uświadomienie młodzieży, wykazanie jej, że alkoholizm podcina u samej podstawy możliwość pełnego rozwoju sił intelektualnych, moralnych i fizycznych, że w krótkim czasie pozbawia prężności i hartu, cech tak potrzebnych do walki o realizację wszelkich założeń ideologicznych, którym pragnie ona służyć, jest niewątpliwie pierwszorzędym obowiązkiem każdego działacza politycznego i społecznego wszystkich kierunków. Trudno naprawdę uwierzyć, że te tak jasne i proste prawdy, stające się oczywistymi dla robotnika, który spojrział na życie otwartymi oczami i rwie się do lepszego jutra, dla wielu, wielu inteligentów są czemś zupełnie obcem, obojętnym i bez znaczenia. Ta bezpośredniość odczuwań i konsekwencja w przemyśleniu obserwowanych następstw alkoholizmu czyni wszystko, co robotnicy piszą o pijaństwie, cennym dokumentem, podkreślającym nie tylko słuszność stanowiska, jakie zajmują organizacje walczące z alkoholizmem, ale również wykupkającym zdrowy instynkt robotnika, który, dojrawszy groźące niebezpieczeństwo, pragnie siebie ratować. On nie wchodzi w żadne kompromisy ze złem i przystępuje do walki, szukając pomocy w zreszeniu się z ludźmi, stojącymi twardo na gruncie abstynencji. Przynależność do stowarzyszenia abstynenckiego, o której górnik pisze, że była tak mu pomocną, okazuje się koniecznością, bo człowiek w każdej akcji prowadzonej na zewnątrz potrzebuje oparcia i wzmocnienia nie tylko dla siebie samego, lecz przede wszystkim dla dodania sobie autorytetu w oczach tych, których pragnie na swoją wiarę nawracać. On nie jest sam, za nim stoją zwartym szeregiem jego bracia, z którymi wspólną prowadzi robotę dla dobra bliźnich. Oparty o front organizacji, walczącej z alkoholizmem i służącej mu w każdej chwili materiałem, którym sama rozporządza, może robotnik na terenie własnej organizacji politycznej, czy oświatowej prowadzić również pracę przeciwalkoholową, która przyczyni się do podniesienia ogólnego poziomu reszty członków. Tego rodzaju współpraca jest twórczą i pozytywną walką o nowego szczęśliwego i zdrowego człowieka.

Górnik ze Śląska Cieszyńskiego, Józef Jedynek, stwierdza również, że „górnicy w niedzielę i święta pili wódkę i piwo, bo to była największa uciecha górników. Ja też szedłem tą samą drogą. Sam nigdy nie piłem, popić z kolegami lubiłem. Zarobek był mały, ale na życie i okrycie wystarczyło, co zostało — przepiłem“. „Moim zdaniem — picie wódki jest bardzo szkodliwe, nie tyle na fizyczny rozwój, co na ducho-

wy. Kto chce wychować i wpoić ideję, dać charakter silny, zdobyć młodzież, trzeba dla niej robić wykłady systematycznie z każdej dziedziny wiedzy i zwracać uwagę na moralność. Dla starszych wystarczą zgromadzenia“.

Jaka szkoda, że temu górnikowi nikt nie powie, że ani wykłady, ani zgromadzenia nie dadzą pożądaných rezultatów, jeżeli nie będzie przykładu „nie picia“, szerzonego właśnie przez tych, którzy pragną młodzież od wódki odciągnąć, że taki człowiek nie może „popijać z kolegami“, nie może towarzystwo, umiarkowanie z kieliszkiem w rękę czas wolny przepędzać, bo owo obyczajowe picie leży u samego źródła zakorzenionego z taką siłą, odwiecznego zła. Troszkę wiadomości, troszkę broszur przeciwalkoholowych. Z broszur czerpią często swe wiadomości polityczne i ekonomiczne, a niestety, nasza literatura taka bogata, zwięzła i rzeczowa nie dociera tam, gdzie jej tak potrzeba, bo... inteligencja kierująca nie dostarcza jej w odpowiedniej ilości, a nie dostarcza, gdyż nie zna zagadnienia, i stąd wytworzone błędne, zgubne koło.

Metalowiec, włóknarz i robotnik ziemny w jednej osobie opowiada swe tragiczne życie, ostatecznie złamane przez bezrobocie i kryzys. Pijaństwo ojca, następnie fatalny proceder handlu wódką, prowadzony przez matkę, by zarobić grosze na nędzne życie, nie nauczyły Zygmunta Wróbla pić. I dopiero się załamał, gdy bezrobocie stanęło przed nim nie jak widmo groźne, lecz jak rzeczywistość nieodwracalna, nieubłagana, wytwarzająca sytuację bez wyjścia.

Pisze on, że stary przyjaciel ojca opowiadał o nim, że był to „dobry chłop, tylko psiakręć ta nieszczęsna wódka, do pracy nastał później niż ja, lecz był sprytny i prędko mnie dogonił, został andryjerem, razem ze mną. Był chwat! Nie bądź, kto go zmusił, aby dał krwawo zapracowane grosze na wódkę, a mnie i innych słabszych krzywdzić nie dał. Po „gieltahu“ — prawił stary — stała gromada oprychów i na wychodzących z fabryki wymuszała datki na fundę, gdy nie dał „dobrowolnie“, tracił cały zarobek, a wzamian brał jeszcze mordobicie. Mając takie przykłady, gdy był starszy, silniejszy, pił i bił, mszcząc się za doznane nieraz krzywdy i by nie być sam bity“.

„Pozbawieni otoczenia rodziny, rodzeństwa, szukają rozrywki przy kartach, wódce i kobietach, takich, które za nieduże pieniądze dają im nie tylko miłość, ale i bardzo często choroby weneryczne. Lotne biblioteki niejednego uratowałyby od tych, niszczących zdrowie i krwawo zapracowane grosze — zabawek“.

„Po odbyciu służby w wojsku rosyjskiem i powrocie do kraju, ojciec otrzymał pracę w tejże samej fabryce, w której pracował przedtem. Wolny czas spędzał przy butelce w gronie nieodstępujących go kolegów, przepijając nie tylko swoje, ale i krwawo zapracowane w fabryce pieniądze matki“.

„Ojciec, uderzony nieszczęściem (ciężka choroba żony), otrzeźwiał, rzucił karty, kolegów od kieliszka, czas wolny od pracy poświęcił żonie, otoczył ją troskliwą opieką, przerywaną od czasu do czasu odwiedzinami współników niedawnych orgji pijackich, którzy tęsknili za dobrym kamradem, skwaszeni jednak chłodnem przyjęciem, pozostawili go żonie i obowiązkom“.

Ciekawy fakt zaprzestania picia pod wpływem silnego wstrząsu



psychicznego, niestety nie poprawił losu rodziny, bo nadeszły rozmaite niepowodzenia, choroba ojca, przedwczesna śmierć, sieroctwo — daleki ożenek, własne dzieci — u kresu bezrobocia i ostateczna nędza.

Z dzieciństwa swego opisuje Zygmunt Wróbel zdarzenie, wywołane potajemnym handlem wódką, którym matka się trudniła, gdy ojciec był już beznadziejnie chory.

„Po przyjściu ze szkoły, obowiązkiem moim było dostarczyć z mopolu wódki, ojciec leżał w łóżku, w dniu pogodnym i gdy czuł się lepiej, w obok położonym lasku Towarzystwa (Tow. Akc.: „Zawiercie“), matka zajmowała się sprzedażą, przynoszony alkohol przechowywaliśmy u życzliwych sąsiadów, w obawie, aby w razie rewizji akcyza, zabierając go, materialnie nas nie skrzywdziła.

„Rodzice złościли się na mnie, że jestem niedbały, bo gdy mnie poszła po wódkę, nie wiem — kiedy powrócić.

„Pewnego razu, ojciec, nie mogąc się na mnie doczekać, wyszedł, i zobaczył mnie wychodzącego z przeciwnej strony, w ten sposób, zdążając do domu, potrzebowałem 5 razy więcej czasu, niż normalnie.

„W tem chmara chłopców z „Domów Tow. Akc. „Zawiercie“ wybiegła z za sosen, (było to jakieś 200 kroków od domu, w którym mieszkaliśmy), waląc we mnie i kosh kamieniami — krzyczała „potłuczmy gorzałę, nie będą cholery sprzedawać!“

„Głowa broczyła krwią, z rozbitych w koszu butelek lała się wódka, dopiero, gdy moi prześladowcy zobaczyli nadchodzącego ojca i biegnących w pomoc chłopców od sąsiadów, — uciekli.

„Myłem przecięty łeb, a ojczyisko łkał strasznie! we mnie coś się stało! Nie wiem, jak i kiedy znalazłem się w objęciach ojca, — zrozumiał — dlaczego nie chciałem się tłumaczyć, gdy zarzucano mi niedbalstwo.

„Odwiedzali potajemną karcznię włókniarze, którzy niedaleko od niej mieszkali, a ich chłopcy, którzy przez to nieraz musieli zjeść mniejszy kęs chleba, — wiedząc, gdzie idą i na co pieniądze, chcieli swą krzywdę przynajmniej na mnie odbić, — pilnowali, wiedząc, że przechodzić muszę: chcąc zmylić czujność, wybierałem coraz to inną okrężną drogę.

„Podpici często przesiadywali do późna w nocy, a ja leżałem obok łóżka na sienniku, nierozebrany, aby być gotowy, gdy który zażąda przyniesienia zakąski. Nie cierpiałem ich — teraz wiem, że żyliśmy dzięki dobroci tych ludzi, którym wygodniej i milej byłoby posiedzieć w restauracji, odległej o parę kroków, aniżeli w izbie, w której leżał chory gruźlik, — chcieli nam pomóc, robili to, jak umieli.

„Lekcje odrabiałem wczesną rano, a na przeczytanie jakiej książki czasu nie było.

„W grudniu 1910 r. zmarł ojciec, pozostawiając pod opieką matki trzech chłopców: trzynasto, ośmio i trzechletniego, wraz z obowiązkiem spłacenia 60 rubli, zaciągniętych w Tow. Pożycz. Oszczędnościowym w Zawierciu, podczas jego choroby.

„Matka w dalszym ciągu sprzedawała wódkę, narażona na awantury z kobietami, którym się zdawało, że do innej karczmy ich mężowie by nie trafili, oraz nieprzyjemności ze strony policji i akcyzy, którzy coraz częściej domagali się łapówki, za co przez pewien czas zostawiali nas w spokoju.

„Dla mnie warunki, w jakich obecnie żyliśmy, wydawały się nie do zniesienia. W czasie wakacji pracowałem u murarzy, nosząc wapno i cegłę, i chociaż praca była ciężka, czułem się w niej lepiej, niż w domu.

„Obowiązek noszenia wódek przejął młodszy brat i matka“.

„Do wódki miałem niewymowny wstręt, nie piłem nigdy, mimo zachęty kolegów“.

I dalej się ciągnie opowieść o niezwykle ciężkiej udręce, którą trudno jest nawet nazwać życiem. Tyle, że prócz samego pamiętnikarza męczą się jeszcze i jego żona i troje dzieci w beznadziejnym kołatańniu o pracę, o bodaj najlichszy zarobek.

W czerwcu 1929 r. wstępuje Zygmunt Wróbel do Frakcji i

„po wstąpieniu do Frakcji, chlałem na potęgę, chcąc zagłuszyć w sobie sumienie, które mi mówiło, że idę w niewłaściwym kierunku, ja, który przedtem nie wypilem kieliszka gorzały, do której wypicia nikt mnie nie namówił, teraz nie mogłem się bez niej obejść — po częstych libacjach, wracając do domu, czułem ogarniający mnie wstyd przed żoną, dziećmi i znajomymi, którzy się na mnie patrzyli, jak na jakiego dotychczas nieznanego im człowieka“.

Nie tu miejsce na przeanalizowanie całego zespołu myślowego, który sobie wyrobił Zygmunt Wróbel, zawdzięczając bogatej i urozmaiconej lekturze, dostarczanej przez T. U. R., oraz na omówienie nastawień uczuciowych, kształtowanych przez okrutne warunki życiowe, poczynawszy od niemowlęstwa aż po deskę grobową, ale pragnę zwrócić uwagę na jedno zdanie, w którym została wypowiedziana najgłębsza tęsknota tego człowieka i jego najświętsze marzenie:

„trzeba nieść ludowi oświatę, aby gdy ujmie losy świata w swoje dłonie, przez nieuctwo i nieświadomość nie być biedniejszym niż teraz“.

Od siebie dorzucam, że całkowicie solidaryzuję się z tego rodzaju ujęciem obowiązków i zadań, ale dodać muszę, że ani nieuctwa, ani nieświadomości, ani bierności i słabości charakteru sama „oświata“ nie wypełni, o ile wraz z nią nie przeprowadzimy reformy obyczajów pijackiego, który to obyczaj oglupiał, otumaniał i w niewolników przemieniał cały naród. Lud, skoro piastuje takie ambitne i piękne marzenia „ujmowania losów świata“ w swe ręce, musi rozpocząć pracę od samej podstawy, od zrozumienia, że walka z alkoholizmem, to przede wszystkim walka o nowe, zdrowe, moralne prawa, bez których ktokolwiek będzie rządzić światem, nic lepiej na nim nie będzie. I dopomóc do tego zrozumienia, otworzyć oczy na oczywistość i ważność sprawy *charakteru człowieka* w przebudowie społecznej, mają obowiązek wszyscy ci, co idą z hasłami reform politycznych, czy społecznych. Zakłamanie i zupełne niezdawanie sobie sprawy z hierarchji zagadnień, na które należy przede wszystkim zwrócić uwagę w działalności społecznej, demagogiczne rzucanie haseł dalekich, a tem samem nierealnych, przy jednoczesnym zaniedbywaniu tego, co „dzisiaj“ można zrobić, od czego „dzisiaj“ na gwałt trzeba zacząć, jeżeli się naprawdę owe hasła pragnie „jutro“ zrealizować — było i jest, niestety, wielkim błędem inteligencji, wojującej o lepszą przyszłość całego narodu. I jeśli T. U. R. do swoich bibliotek, rozsianych po całej Polsce, nie włącza książek i broszur przeciwalkoholowych, to popełnia wielki błąd, który się będzie mścił w formie dla wszystkich najboleśniejszej, a mianowicie stałego marnowania się *człowieka*, je-

go najcenniejszych wartości. Kto naprawdę szczerze i głęboko przejęty jest losem ludu pracującego, ten powinien mu dać przede wszystkim możność wyrwania się z niewoli, w którą wieki brnął przez wódkę, niszczącą myśl, wolę, a sprzyjającą ciemnocie i bierności. Piękne idee pozostaną abstrakcjami, które nikogo nie nakarmią i nikomu szczęścia nie dadzą, książki nie usuną mroku, jeśli będą je czytać ludzie bezwolni i otumanieni. Trzeźwy, myślący, wolny, silny *człowiek* może zrealizować to, co pięknem i dobrem nazywamy i ku czemu wszyscy tęsknimy. Jestem przekonana, że cały legjon Zygmunów Wróblów, gdyby dostał do rąk uświadamiającą literaturę przeciwalkoholową, to w całej pełni zrozumiałby, że wielka prawda i mądrość w niej zawarta, nie tylko jest po to zebrana, by konstatować istniejące zło, lecz by pouczyć, jak trzeba z tem złem stanąć do walki nieubłaganej, wytrwałej i systematycznej.

I walkę tę ów legjon rozpoczęły i przeprowadził bez kompromisów, z entuzjazmem i radosną wiarą, że przybliży dzień wyzwolenia z biedy, nędzy i wszelakiego ucisku.

Idea usunięcia z życia całkowicie używania napojów alkoholowych jeszcze i dlatego zyskałaby wśród młodego elementu miejskiego i wiejskiego posłuch i zrozumienie, że ma on w pamięci i w sercu wszystkie krzywdy, jakie mu w dzieciństwie wyrządzał pijany ojciec. Robotnicy piszący swe wspomnienia, jakże często powracają myślą do dzieciństwa, omroczonego pijackimi wyczynami głowy rodziny, której nałóg pochłaniał nędzne grosze, mogące im zapewnić bodaj suchy kawałek chleba, osobne łóżko do spania, czy tak upragnioną przez wielu książkę. Wódka pozbawiała ich możności zaspakajania najniezbędniejszych potrzeb, skazywała na ciężki ucisk i przemoc fizyczną, nie mówiąc już o nieobliczalnych szkodach moralnych, jakie pociągała za sobą. Gdzie narastać poczyna najdotkliwsze poczucie krzywdy i gdy ono się przeobraża w uświadomiony protest buntu, wtedy możnaby jednym umiętnym posunięciem propagandowym wywołać oddźwięk najwyższy, który się przemieni już w stałą, zdecydowaną postawę ideologiczną, wiernie i święcie dochowywaną przez całe życie, zwłaszcza, jeśli ona służy najżywotniejszym interesom moralnym i materialnym, tak jak to ma miejsce z ideją abstynencką.

Analizując opowieść o życiu Michała Gieńka, mechanika, znajdziemy potwierdzenie wszystkiego tego, o czem działacze przeciwalkoholowi stale i wytrwale starają się społeczeństwo przekonać. Czytamy:

„Piękne były te młode chwile. W jasne, pogodne dni słoneczne: palancik, „rebus“, złodzieje i strażnicy, chowany naokoło mostu, kto zręczniejszy, a jabłka i gruszki w sadach — to pieprz? A potem wszystkim, strumień zimnej wody, — wypryskiwany na brzeg, jak pstrągi, gdy chłód w pierwszym zanurzeniu raził zimnem. Swawolne i bez troskie były to chwile. Niczem wtedy nie różniłem się od wszystkich swoich rówieśników. Byłem uśmiechnięty, swawolny, wesół i zdrów. Życie uśmiechało się do nas, a my śmialiśmy się do życia.

„Ale coraz bardziej zaczęła pod młodą czaszką dojrzewać myśl, że matka jest nieszczęśliwą.

„Ojciec pił na zabój, pracując „w drodze“, bardzo rzadko przyjeżdżał do domu, a gdy przyjechał, był zawsze pijany i robił w domu zwy-

kle grandy: tłukł talerze, miski, co mu w rękę wpadło. W takich chwilach byłem odnoszony przez matkę do dziadków. Dziadek mnie podobno lubił, wbił więc w domu do sufitu hak i zrobił mi huśtawkę, zresztą i ja lubiłem dziadka, bo pił trochę mniej od ojca i był więcej spokojny i opanowany“.

„Ojciec zaczynał wprawdzie robić, ale sławetna wódunia stała na naczelnym miejscu“.

„A w zimie, gdy ojciec był pilnowaczem od węgla, który zwożono do przetwórci, kazano mi brać koszyk, podchodzić pod wagon i „kraść“ węgiel.

„Czasem za 5 — 6 takich koszyków półwierzciowych przynosiłem matce parę „talerzy“ na chleb, sól, naftę, a ojciec pił.

„A mróz wgryzał się coraz bardziej za paznokcie.

„Kłamałem wtedy i płakałem na przemian na świat i na wszystkich.

„Jakże mi przykro musiało być, gdy moi koledzy, mieszkający na Towarowej, skąd zwykle nosiłem węgiel, ładnie ubrani, weseli i pogodni, z pogardą patrzyli na młodego małego węglarza-złodzieja!

„Zaciskałem tylko w takich razach mocniej pięść i zęby. Bywało jednak inaczej. Ojciec robił chwilowo przy odnawianiu dworca kolejowego — nosiłem więc obiad.

„Ojciec kazał mi wtedy przynosić z sobą worek i ładowałem go zwykle drzewem. Musiałem później tak wynieść, żeby mnie nikt z władzy nie widział i nie złapał. Było więc to wszystko złodziejstwem!

„W szkole uczono mnie być szlachetnym, wspaniałomyślnym; brzydzić się złodziejstwem, kłamstwem. A w życiu uczył mnie ojciec wręcz czegoś przeciwnego.

„Pracuj i dokradaj“, a jakoś żyć będziesz, inaczej zdechniesz. Wskazywał mi na straszny wyzysk, stosowany przez majstrów względem murarzy i pomocników. Żyłownikami ich nazywał.

„Jakże mogłem się wtedy przechylić po stronie tego człowieka, gdy nienawidziłem go wszystkimi trzewiami swojego jestestwa. Gdy bowiem po całodzienniej fizycznej pracy dla domu, siadałem wieczorem przy małym kopciuszku naftowym nad książką, która mnie bardzo pociągała, a takie siedzenie przeciągało się często do godz. 2-iej w nocy, wtedy zrywał się z łóżka ojciec i krzyczał: „nafty niema“. Ja zwykle kończyłem pochichu, kładąc się do łóżka, „ale na wódkę za to jest“, i znów zasypiałem z goryczą i zawziętością w sercu“.

„Czy się rodziło dziecko, czy umierało, ojciec był zawsze pijany. Dobijał po prostu biedną, chorą matkę, leżącą na łóżku.

„Miałem wtedy lat czternaście, gdy matka przeszła strasznie ciężki poród. Na świat przyszedł duży, ładny i zdrowy chłopak, wydierał się w niebogłoso.

„Ojciec w nocy wrócił schlany do domu.

„Wyczerpana matka nie mogła już patrzeć na ten obrazek moralnej nędzy. Poczulem, że i ze mną zaczyna się dzieć coś niesamowitego. Ojciec nie mógł słuchać płaczu dziecka, kłął, aż ciarki przechodziły po skórze, ja zaczynałem odcinać się. Więc zostałem zaatakowany najpierw dwoma zzutymi z nóg kamaszami, potem talerzem. Dziecko jednak krzyczeć nie przestało, wziąłem go więc owiniętego w poduszkę na rę-

kę i zacząłem nosić po mieszkaniu; ojciec klął coraz siarczyściej, a ja nie zostawałem dłużny, byłem zdenerwowany do najwyższych granic.

„W pewnej chwili ojciec chwycił miednicę i cisnął nią we mnie, zdążyłem się jednak uchylić.

„Rzuciłem dziecko na łóżko, chwyciłem ojca za ramiona i cisnąłem z taką mocą na krzesło, aż jęknęło.

„Matka zwlokła się z łóżka, a ojciec ryczał jak zwierzę ranione. Musiałem opuścić mieszkanie i spać na górcie. Leżąc na słomie, plułem na całe życie rodzinne, tak wychwalane, i zachwalane przez pobożnych księżulków.

„Jakże mogła żyć matka przez długie lata z takim zwierzęciem w ludzkiej skórze? Jakie musiały być ich stosunki rodzinne? A że były — najlepszym dowodem są — dzieci. W tych warunkach życie z kobietą musiało dla mnie stracić urok. Na takie życie patrzyłem, jak na największe świństwo. Jaki może być stosunek kobiety z mężczyzną, któremu z mordy śmierdzi gorzała, a wstrętny odór czuć w promieniu trzech kilometrów?“

„Gdy ojciec pracował gdzieś blisko w okolicy, kilkakrotnie odwiedzałem go, zanosząc często wikt, bieliznę, czasem różne wiadomości potrzebne ojcu.

„Przyjrzałem się tam niejednokrotnie życiu barakowemu, które zrobiło na mnie jaknajgorsze wrażenie. Zwykle brudne, odrapane ściany baraku, przysłowiowy barakowy brud, niechlujstwo, barłóg ze słomy, leżącej bezpośrednio na podłodze. W nocy całe roje pcheł i pluskiew, zapuszczających swoje trąbki w gorące, spocone ciała spracowanych. Wódka i karty, a jeszcze częściej wśród tego wszystkiego ciepłe ciało kobiety składały się na całość owego obrazu.

„że ludzie ci za wszelką cenę starali się oderwać od szarzyzny tego obrazu i choćby przez parę chwil zapomnieć o tem wszystkim, choćby w wodce, było dla mnie jasnym i zrozumiałym. Ale przecież nie wszyscy wśród wymienionych byli podobni do siebie. Spotykałem wśród nich także ludzi porządnych, statecznych, trzeźwych, których życie barakowe bardziej uczyło kochać i szanować rodzinę, swoje dzieci i żonę. W rozmowach z nimi, często słyszałem z ich ust, że robią wszystko, by ich dzieci nie żyły w podobnych warunkach, jak oni.

„A gdy ich pytałem, dlaczego fabrykant nie daje im lepszego mieszkania, odpowiadał ponoć, że murarzom lepszego dawać nie trzeba, gdyż nie umieją żyć po ludzku. A więc wszystko zależało od łaski pana dziedzica. A oni nie chcieli upominać się o porządne mieszkanie — widać, jak mało dbali o nie. A gdy ukończyli t. zw. głąjchę, wtedy musiał przedsiębiorca postawić wódkę. Mógłby tylko spróbować nie postawić; zaraz by rzucili robotę. Byli to ludzie bardzo mało zainteresowani w spólnej zbiorowej walce, każdy robił na „swojego Boga“, dlatego życie kulturalne stało u nich na niskim poziomie“.

W życiorysie tym uderza fakt, że najwcześniejsze dzieciństwo, mimo tak ciężkich warunków, pozostawiło wspomnienia czegoś jasnego i pięknego, a pierwszym czynnikiem niweczącym je, to — następstwa alkoholizmu ojca. Brutalność i dzikość charakteru, wyzwolone przez wódkę, były pierwszymi uderzeniami po głowie i sercu dziecka, które jeszcze nie zaznało innych przykrych wstrząsów, mimo oplakanych sto-

sunków materialnych całej rodziny. Zapewne, że bieda jest biedą, nawet gdy jej nie towarzyszy alkoholizm, ale on to wprowadza pierwiastek specjalnego upodlenia a pijącego, oraz moment niesłychanej krzywdy dziecka i kobiety. A owo zezwiercenie, oraz krzywda i bunt, złością bruzdy i nieobliczalne w następstwach swych urazy psychiczne, gmatwające i wypaczające charakter i kata, i jego ofiar. Następnie obustronna demoralizacja, uniemożliwiająca normalny rozwój i wykrzywająca właściwą linię współżycia najbliższych członków rodziny, wytwarza parodię instytucji, otaczanej teoretyczną czcią i szacunkiem. Pijaństwo narusza (co tu nawet mówić górnolotnie o „świętości“), realną podstawę rodziny, jaką jest bodaj względna harmonja pożycia, spokój, cisza, odprężenie nerwowe po gorączkowym wyścigu pracy i po żaźartej konkurencyjnej walce o byt, w której wszyscy członkowie rodziny w inny sposób biorą udział. Dziecko, nie dość, że od najmwcześniejszych lat wciągnięte jest do pracy, lecz musi jeszcze stawać do walki z ojcem pijącym, w obronie swych minimalnych potrzeb, lub w obronie nieszczęsnej matki.

Metalowiec Rom z Zagłębia Naftowego, charakteryzuje warunki swego życia w sposób wymowny, dowodzący uświadomionego, krytycznego stosunku do form ustroju, w jakich wegetuje klasa robotnicza. Alkoholizm, jak zobaczymy z cytat, jest jednym z czynników niezmiennie towarzyszącym zarówno biednemu człowiekowi, jak i temu, kto ma możność go wyzyskiwać.

„Byłem czwartym dzieckiem z rzędu, urodzonym w budynku firmowym, zamieszkałym przez kilkanaście rodzin robotniczych, w pojedynczych izbach, okopconych dymem z ropy naftowej, służącej za opał kuchenny. Ściany wilgotne, udekorowane świętymi obrazami, a spod podłogi w okolicy pieca wyruszała dość liczna brygada karakonów do spiżarki, stojącej w kącie izby.

„Siedem osób, rozłożonych na 3 łózkach do snu w nocy, stanowiło doskonały żer dla pchłów i pluskiew, które po prostu jakby drwiły z prowadzonej z nimi walki za pomocą naftaliny i gorącej wody, atakowały niemiłosiernie swych wrogów, mając doskonałą twierdzę w ścianach napełnionych trocinami. Obiektem moich zabaw dziecinnych było zaśmiecone podwórze wokoło „kasarni“, na którym spędzałem prawie dzień cały z rówieśnikami na zabawie w żandarma i złodzieja, lub w pijaka i policjanta gminnego. Miało to ten skutek, że gdy ujrzałem żandarma, wyobrażałem sobie, że to jest jedyny człowiek na ziemi, którego się trzeba naprawdę bać, a poza tym reszta ludzi ma go słuchać, chodzić do roboty, w niedzielę do kościoła, a potem w dniu wypłaty upić się, przyjąć do domu, by wytluc garnki na głowie żony i powybijać szyby u sąsiada“.

Jak doskonale ujął Rom (czyniąc to zresztą zupełnie nieświadomie), moment obyczaju pijackiego, wrośniętego w glebę życia rodzinnego i tak nierozdzielnie kojarzącego się w umyśle robotnika z całokształtem ubogich horyzontów, jakie wynosi ze swego dzieciństwa. Zabawa „w pijaka“ na codzień, tak charakterystyczne u dzieci naśladownictwo starszych—w niedzielę zaś i w święta obserwowanie tragicznych obrazów, które pozostaną wyrte w umyśle dzieci, jak koszmar rzeczy najgorszych i najcięższych.

„Największym moim wrogiem w czasie terminu — opowiada dalej Rom — był majster, którego całą duszą nienawidziłem. Napompany, jak puchacz, głupi, jak but, jechał wódką, jak gorzelnia, wiecznie gderający, każde swoje niepowodzenie odbijał na czeladnikach, o całe niebo wyżej stojących od niego pod każdym względem, i na moich uszach. Takich majstrów było kilku, tylko sami protegowani pana dyrektora, czyli jego „oczy i uszy“.

Wszędzie, gdziekolwiek się ruszy taki młody chłopiec, napotka wódkę, która zaostrza konflikty wszelakiego rodzaju, wydobywa najgorsze instynkty z człowieka i pozwala im swobodnie hulać ze szkodą i krzywdą innych.

Rom jest to człowiek, pragnący za wszelką cenę się kształcić, rozumiejący rolę samokształcenia w życiu robotnika i ożywiony szlachetnymi, społecznymi tendencjami. Pisze on, że:

„Budowa organizacji, skuteczną świadomą wykonana wolą, żeby przynajmniej innym było lepiej, oto mój cel życia nędznego“.

Otóż trzeba Romowi powiedzieć, że, z tak pięknym celem życia jego nie będzie nędzne w swej moralnej wartości, skoro rozpocznie realizować rzecz pozornie błahą, a tak trudną zarazem, jeżeli sam pić nie będzie, do domu swego pod żadnym pretekstem alkoholu nie wprowadzi — dzieci otoczy trzeźwą atmosferą i dopiero z takiego ozdrowionego środowiska sam i dzieci jego, wyszedłszy w świat, zdołają wytworzyć wartości dobra i piękna społecznego, a właściwie zaczną je stosować w życiu, bo w ideałach i hasłach są one zawarte i wspianiale ujęte, od dawien dawna.

Jaka szkoda, że Rom w swych poszukiwaniach za książką, w rozmowach z działaczami politycznymi (nie jego to, rzecz prosta, wina), nigdy i nigdzie nie natknął się na wiadomość, iż istnieje zorganizowany ruch przeciwalkoholowy, pragnący właśnie dopomóc, aby „lepiej było na świecie“, aby alkoholizmowi, tak ściśle zrośniętemu z ustrojem kapitalistycznym, wypowiedział walcę każdy, jako niewątpliwemu destruktorowi wszelkich reformatorskich najszlachetniejszych poczynań. I jeszcze jedno: z ruchem tym robotnik polski musi zawrzeć przymierze, jako ze swym wiernym sojusznikiem, który w jego poczynaniach i przedsięwzięciach doda potrzebnych sił i mocy do walki o lepsze jutro. Szkoda, że nikt Romowi nie otworzy oczu na niezaprzeczony fakt, iż alkoholizm skuwa człowieka kajdanami dzikich instynktów, kradnie mu jego największe skarby psychiczne, bez których nigdy nie odniesie skutecznego zwycięstwa nad przemocą i ciemnotą, bo do walki z temi potęgami trzeba zmobilizować ogrom sił, dać im niespożytą wytrwałość i systematyczność w realizowaniu haseł, w imię których się walczą.

Takbym chciała z każdym z pamiętnikarzy pomówić o tych sprawach i o wielu innych również, poruszanych przez nich, bo są to ludzie stworzeni na kadry pełnowartościowych działaczy społecznych, ludzie, rozumiejący wiele i głęboko przejęci niedolą ludzką, którą tak doskonale znają. A jednocześnie trudno się oprzeć uczuciu wewnętrznej irytacji, że organizacje polityczne, mające wpływ na szerokie masy, marnują w dużym stopniu cenny materiał ludzki, pomijając w swej robocie społecznej i oświatowej zagadnienie alkoholizmu. Od niego

wszak należałoby zacząć — na nim mocno stanąć — od niego iść dalej, a praca ogólna tylko na tem zyska, wyda naprawdę pozytywne rezultaty. W przeciwnym razie, to złudzenie, panowie, że wy coś zdziałacie naprawdę twórczego — snujecie tylko dalszy wątek zakłamań odwiecznych, nie docieracie do dna spraw, nie sięgacie do korzeni zła, zapominacie o roli psychologicznych czynników, działających zarówno w alkoholizmie, jak i w wielkich procesach dziejowych. Pragnąc ruchom społecznym nadać twórczy, dodatni kierunek, trzeba przedewszystkiem człowieka uwolnić od kompleksów psychicznych, które wiekami narastały pod przemożnym wpływem alkoholizmu, a wówczas można będzie mówić o lepszym urządzeniu życia. Trzeźwy, myślący, zwarty front robotniczy będzie potęgą, która nada nowe oblicze światu, ale warunek „trzeźwości“ jest fundamentem nieodzownym, gwarantującym trwałość i wielkość formom nowym, o treści dawno i wielokrotnie w najszczytniejszych ideałach wypowiedzianej przez wielkie duchy ludzkości. Dzień dzisiejszy woła do nas wielkim głosem męczonych kobiet i dzieci przez alkoholizm mężczyzn, a działacze polityczni, czy społeczni, którzy tego głosu nie słyszą, czy nie chcą słyszeć, popełniają straszliwy błąd, hamując prawdziwy postęp, choć każde ich słowo tchnie reformatorskim patosem dalekich idei. Z pamiętników robotników, jeżeli się w nie wżyje, a nie przeczyta tylko pobieżnie, wyczuje się nakaz chwili, jakim jest zwrot od abstrakcji, od szlachetnych, ale dalekich haseł, któremi jeszcze obecnie wypełnić rzeczywistości nie można, ku usuwaniu zła doraźnego, zła bezpośredniego, trwającego w czasie długim, w całym łańcuchu lat i wieków przeszłych i wciągającego konsekwentnie w orbitę swego zgubnego działania bliższą i dalszą przyszłość, a które się zwię alkoholizmem obyczajowym. I jak powiedziałam, to jest ciekawe, że nakaz z ich strony nie jest czemś narzuconem, wyrozumowanem — nie — on jest wynikiem skonstatowania sumy cierpień i łez ludzkich, ma w sobie tragiczną wymowę bólu i poniewierki trudnej do wypowiedzenia, i tak powszechnej, a tak w gruncie rzeczy lekceważonej stale i systematycznie przez czynniki, które właśnie powołane są najbardziej do czynnej współpracy z tymi, którzy walkę z klęską alkoholizmu prowadzą, a przez to samo są potrzebni wszystkim ugrupowaniom politycznym, społecznym, czy oświatowym.

Fryzjer Kaktus z Warszawy, opowiadając o sobie, z rozrzewaniem wspomina babkę, która go kochała, nigdy nie krzyczała i nie strofowała, ale lubiła popijać wódkę i tylko dziadkowi nieco dawała się we znaki.

„Babka lubiła popijać wódkę dość często, nauczona tego w okresie młodości, kiedy, sprzedając obuwie, musiała wypijać z chłopami tak zwany „litkup“, lub z sąsiadami w czasie jazdy na jarmarki, lub na targach na rozgrzewkę, w dni zimowe. To musiało wejść u niej w niewielki nałóg. Dziadek unikał alkoholu i babce, kiedy wypijała, czynił wymówki. Kiedy gderanie dziadka się przedłużało, babka ubierała się i szła „do miasta“ wypić więcej, lub mnie posyłała, bym jej przyniósł lampkę „okowity“. Kiedy wódka zaczęła działać, „rozwiązywał“ się babce język i dopiero zaczęła dziadkowi czynić najrozmaitsze wymówki. Potoku ich i treści nie pamiętam, ale wówczas dziadek nasuwał na oczy z szerokim daszkiem tuczynowską maciejówkę, jął się gorliwie pracy przy war-



sztaście, nie odzywając się. Babka, nagadawszy się, nawydziaawszy, milkła, zawijała pierzynę na łóżku i szła spać“.

Niestety, bardzo rzadko tak niewinnie się kończą rozmowy małżeńskie, gdy jedno z małżonków jest „pod gazem“. Dobry charakter kobieciny nie zdeprawował się pod wpływem wódki i wnuk nie wyniósł tragicznych wspomnień, jak jego liczniejsi koledzy. Miał wogóle szczęście w pracy, bo mimo, że kierownik biura, w którym pracował, „był niewidzianym przez nikogo pijakiem i pił tak wiele, iż wydawał z siebie na dość daleką odległość zapach wypocin alkoholowych“, to osobiście nie krzywdził specjalnie pracowników. To też nastawienie fryzjera do wódki jest obojętne, rejestracyjne.

Kolejarz z Małopolski ujawnia duże uspołecznienie, zainteresowanie szersze zagadnieniami wychowawczymi zarówno w stosunku do dzieci, jak i do starszych, to też byłby bardzo cennym członkiem Abstynenckiej Ligi Kolejowców.

„Wszedłem w towarzystwo innych kolegów. Rodzice tych kolegów i koleżanek, to przeważnie kolejarze, tak zwani podurzędnicy, ludzie posiadający swoje domki, ludzie lepiej sytuowani. Jednak wychowanie ich dzieci niczem się nie różniło od wychowania dzieci „prostych robotników“. Wychowywała tamtych i tych ulica. Rodzice pamiętali tylko, aby dziecko umiało i mówiło rano i wieczór pacierz, chodziło do kościoła, no i nic nie wiedziało o „zakazanych“ rzeczach. No i dziecko klepało pacierz rano i wieczór, szło do kościoła, bo inaczej byłoby lanie, o rzeczach „zakazanych“ mówiło, a nawet próbowało stosować w praktyce, jednym słowem, było urwisem w pełnym tego słowa znaczeniu, a rodzice cieszyli się, że na ugorze rosną „aniołki“. Tymczasem „aniołki“ próbowały się pomału „puszczać“, palić papierosy i pić wódkę, jak kiedy mogły ją w jakikolwiek sposób zdobyć. Ja pierwszy papierosy zacząłem palić mając lat 9. Papierosy przynosił kolega szkolny, syn restauratora. Kradł je ojcu w bufecie. Nie smakowały mi jednak i przestałem palić. Na stałe palę od 16 r. życia. Przestałem palić od trzech lat ze względów zdrowotnych, oszczędnościowych, no i by móc sobie kupić czasem jakąś książkę do czytania“.

Myśląc o życiu organizacyjnym, które wiele pozostawia, według jego zdania, do życzenia, powiada, że „nie lepiej jest, jeżeli członkowie zarządów ulegają nałogowi pijaństwa. Bo jeżeli my zwalczamy złe traktowanie robotnika przez kapitalistę, jak *niemniej alkoholizm* i t. p., to sami musimy, a przynajmniej powinniśmy świecić przykładem. Prawda, że na swoje wytłumaczenie mamy to, że jesteśmy wszyscy wychowankami ustroju kapitalistycznego ze wszystkimi jego wadami, a jedynie dzięki osobistym zaletom charakteru czy samowychowywaniu, możemy, musimy wad tych koniecznie się pozbyć, o ile je naturalnie posiadamy“.

Jest tu wypowiedziana cenna prawda, iż nie tylko trzeba wogóle walczyć z alkoholizmem, ale że w walce tej rola przykładu gra olbrzymie znaczenie. Życie indywidualne w rodzinie i organizacji robotnika trzeźwego, obserwowane przez otoczenie, wywiera skuteczniejszy wpływ od tego wszystkiego, co on towarzyszący swym powie w tej sprawie. Słowa są martwe, jeżeli za nimi nie narastają czyny codzienne, stałe, systematyczne, rugujące bezapelacyjnie alkohol pod wszelką postacią

wbrew pijackim obyczajom i namowom koleżków. Odmowa publiczna picia na weselu, chrzcinach, podczas wielkich uroczystości świątecznych, a dopiero w odpowiedniej chwili rzeczowe, spokojne umotywowanie swego stanowiska, będzie mieć wielką siłę wychowawczą, która powoli, stopniowo narzuci trzeźwość, jako obowiązujące przykazanie dla każdego uświadomionego robotnika.

Pracownik kolejowy pisze dalej, że „ma jedno dziecko, dziewczynkę lat 9, chodzącą do drugiej klasy. Za najgorsze objawy w dziecku uważałbym okrucieństwo i egoizm. To też wpływam na córkę i wytykam jej każdy objaw okrucieństwa, czy egoizmu, któryby się objawiał nie tylko w stosunku do ludzi, ale też w stosunku do zwierząt, ptaków, roślin, czy kwiatów“.

Zrozumiała jest rzeczą, że człowiek tak myślący i tak czujący nie może być alkoholikiem, to też łatwo można byłoby zeń uczynić uświadomionego, czynnego działacza przeciwalkoholowego, wywierającego dobroczynny wpływ dookoła. To są właściwi apostołowie idei odrodzenia moralnego, którzy powinni we własnym środowisku spełniać służbę dla dobra publicznego.

Palacz kolejowy z Małopolski Wschodniej krótko, ale dobitnie opowiada swe dzieciństwo. Oto ono:

„Ojciec pracował jako stały murarz w magistracie w S..., dom mieliśmy drewniany i liczymy dziś półtora morga pola, było nas w domu rodzeństwa ośmioro, mieszkaliśmy w jednej stacji. Ojciec zarabiał w lecie 24 koron tygodniowo, czasem więcej, a w zimie 4 korony, czasem i mniej. Z tych 24 koron dawał na utrzymanie 5 koron najwyżej na tydzień, i to takich tygodni było mało. Resztę przepijał, od rana do wieczora nie było go w domu, a w sobotę po wypłacie przychodził stale pijany. Matka i ja chodziliśmy do szynku po ojca. Jak przyprowadziliśmy go do domu pijanego, to rozpoczęła się kłótnia, tak, że my, dzieci, nieraz w obronie matki zmuszone byliśmy krzyczeć w nocy na gwałt, to dopiero podziałało na ojca, że się uspokoił“.

Cóż za kolosalny procent swego zarobku przepijał ten ojciec nieszczęsnego dziecka! Czyż nie warto już choćby tylko po to, by te pieniądze pozostały na wydatki dla licznej rodziny, walczyć o otrzeźwienie robotnika!

Tkacz z Białej filozoficznie i obojętnie notuje, że „gospodarka domowa wiele pozostawiała do życzenia, bo ojciec sobie popijał“. Najwymowniejszym argumentem, otwierającym oczy na istotną destrukcyjność alkoholu, jest osobiste doświadczenie, zakosztowanie skutków pijaństwa drugiej osoby na własnej skórze. Tam, gdzie niema uczuciowego wstrząsu, a akcja propagandowa nie dotarła, to, rzecz prosta, panuje w tej dziedzinie obojętność, ale takich wypadków jest stosunkowo niewiele.

Cieśla z Trzebini, Aleksander Bogunia, opisując okropne skutki bezrobocia, stwierdza, że „w tym małym miasteczku sklepiki ciasno przepełnione były kupującymi, dziś przepełnione wolne place bezrobotnymi. Tu, w knajpach, przepełnionych pijakami i atmosferą opary alkoholowej, pozostały gorzkie żale, pustki i nadzieja biednych knajpiarzy“.

Zdzisław Betnarski, stolarz z Krakowa, myślący i inteligentny człowiek, pisze:

„Jedno mnie martwiło i nastroczało zagadkę do rozwiązania, to to, że ci sami robotnicy, wprzagnięci do jarzma kapitalistycznego, te marne, kosztem tak ciężkiej pracy zdobyte grosze, przepuszczali w knajpach na pijatyce i kartach, co u ojców rodzin działa się z krzywdą ich żon i dzieci. U wszystkich zaś to pławienie się w bagnie nałogów składało się na krzywdę całego proletariatu, bo jak im nieraz tłumaczyłem, że te rzucone w błoto pieniądze powinni obrócić na podniesienie osobistej oświaty i kultury przez prenumerowanie czasopism, czy kupowanie książek. Z tymi rzeczami tam na Pomorzu nie mogłem się pogodzić i miałem nawet żal do robotników, że przez nałogi przedłużają własną niewolę, dźwigając na skrwawionych rękach kajdany krzywdzącego stroju“.

Betnarski sam doszedł do tego zestawienia: alkoholizm i niewola i sam widzi ratunek dla klasy pracującej w uwolnieniu się od pijaństwa, w wyzwoleniu z przemocy nałogu, hamującego tak upragnione polepszenie bytu materialnego i moralnego. Ciekawym jest fakt, że wszystkie tezy, z jakimi występują działacze przeciwalkoholowi w swych artykułach i odczytach, znajdują całkowite potwierdzenie w wypowiedziach robotników, którzy samorzutnie nawiązując do tej sprawy, swobodnie opisują własne bolesne doświadczenia, będące wiarogodnym sprawdzianem słuszności naszych obserwacji i naszych wniosków. Zyskujemy dla naszej akcji wielki autorytet słów myślących i szlachetnych przedstawicieli klasy robotniczej, których ożywia ta sama, co i nas, troska o lepsze jutro Polski.

Jest również w tym chorze męskich pamiętników głos kobiecy, Marji Musiałowej, praczki krakowskiej. Nie wnosi on jednak, niestety, nic nowego do zagadnienia, po za zarejestrowaniem, że „gdy ojciec przyszedł pijany, wszystko powywraçał do góry nogami. Matkę bił“, „a gdy umarł, to aż do góry podskoczyłam, że się już skończyło pijaństwo, że aż matka chciała mnie o to zbić“.

Wybrałam z grubego tomu „Robotnicy piszą“ niemal wszystkie ustępy, odnoszące się do alkoholizmu, bo rozproszone po całej książce, w powodzi innych ciekawych i aktualnych zagadnień, gubią się i zatracają swą właściwą wymowę. Zresztą, sądzę, że nie wszyscy nasi czytelnicy będą mieli okazję zapoznać się z tą pracą, a właśnie to wszystko, co dotyczy alkoholu, ma dla naszego ruchu dużą i cenną wartość.

Pisali swe wypowiedzi na otrzymaną ankietę ludzie, którzy w mniejszym, lub większym stopniu byli sami ofiarami skutków alkoholizmu najbliższych z otoczenia, najczęściej swych ojców, a więc tych, od których powinni byli zaznać opieki i pomocy. Mamy więc świadectwo, dokument wiarogodny, jak straszną klęską społeczną jest alkoholizm, niszczący zdrowie moralne i fizyczne całych pokoleń. W czasach, gdy się tyle mówi o kulcie zdrowego człowieka, stosunkowo za mało się uwypukla demoralizującą i degenerującą rolę alkoholizmu. A jednocześnie każda poszczególna spowiedź robotnika wykazuje, że na gwałt tych ludzi trzeba uświadomić, aby ich cenne spostrzeżenia i bolesne przeżycia wydały skutek w postaci utworzenia wielkiej, zorganizowanej armji, walczącej z pijaństwem, umieszczającej hasło do

tej walki, jako jeden z punktów programowych w całokształcie działalności społecznej. To pisał nie inteligent, „opętany“ manją walki z pijaństwem, wszędzie węszący zgubne jego skutki, lecz szczery, głęboko skrzywdzony i do żywego zbuntowany robotnik. Lekceważyć tego, co o alkoholizmie on mówi, nam nie wolno — przeciwnie, należy się mu od nas wdzięczność, za zajęcie uczuciowo wrogiego stanowiska względem pijaństwa i jego oplakanych skutków. A że niema robotnik polski jeszcze przygotowania fachowego do podjęcia planowej walki z alkoholizmem, to nie jest jego winą. Wielu z nich pisze, że czytało Marksa, Engelsa, Kautsky'ego — trudno się oprzeć pewnemu sceptycyzmowi i nie pomyśleć, czy nie potrzebniejszemi byłyby na początek wiadomości z zakresu alkoholologii? albo, czy nie dobrze byłoby, by równolegle obok takich niewątpliwie trudnych pisarzy, robotnik zaznajomił się z podstawową literaturą przeciwalkoholową? Jedno może nie wykluczać drugiego. Walkę z alkoholizmem każdy powinien prowadzić pod dwiema postaciami — nie pić samemu, to jedno — a drugie, to na terenie swojej organizacji politycznej, czy oświatowej, jawnie występować, jako abstynent, który nie tylko pracuje na trzeźwo, ale i bawi się bez kropli alkoholu. W ten sposób odrazu dom robotnika staje się wolny od wódki, jego dzieci nie zaznają już tego wszystkiego, na co się sami skarżą, wspominając własne dzieciństwo, a organizacja polityczna, do której należą, zyskuje ludzi pełnowartościowych, myślących, pewnych, rzetelnych.

Poziom życia rodzinnego, zawodowego i organizacyjnego, tych trzech środowisk, w których się wyżywa robotnik, podniesie się niesłychanie, skoro pijaństwo zacznie się zmniejszać. Wartość moralna człowieka wzrośnie ogromnie, a umysłem jasnym, bo trzeźwym, studjowany Marks, czy Engels, stanie się dostępniejszy. Robotnik zdolny, a trzeźwy, zawdzięczając samokształceniu, potrafi rozwinąć w sobie jeden bodaj z najważniejszych walorów intelektualnych, jakim jest umiejętność samodzielnego, krytycznego stosunku do wszystkiego, co go otacza. On się nie da wodzić na pasku haseł i idei, któremi mogą ci, lub tamci go uwodzić — on naprawdę może się stać wolnym człowiekiem, to znaczy, pójdzie ze szczerego, głębokiego, przekonania swoją własną drogą, kierowany myślą jasną, nie dającą się otumanić nikomu, bo nie zatrutą i nie obezwładnioną przez alkohol. Walka z ciemnotą, barbarzyństwem, obskurantyzmem, może być skutecznie prowadzoną tylko wówczas, jeżeli człowiek sam w sobie te siły przezwycięży, które alkoholizm kultywuje, umacnia, pogłębia. Kto szczerze pragnie rozproszyć mroki, tak gęste jeszcze na świecie, ten przedewszystkiem niech daje szerokim masom społecznym literaturę przeciwalkoholową, by je obudzić z letargu intelektualnego, z którego dopiero jednostki poczynają powstawać. Ani Marks, ani Engels tego nie uczynią. Niech przyjdą później, jako pewien etap w ogólnym rozwoju — po nich nadejdą zapewne i inni prorocy...

Witamy w robotniku polskim, budzącym się do pełnego, świadomego twórczego życia, naszego sojusznika i sprzymierzeńca i wierzymy, że z jego strony nasza działalność dozna poparcia i całkowitego zrozumienia.

*Hanna Nałęcz - Ostrowska Szymańska.*

## B. P. PROF. DR. MAKSYMILJAN ROSE.

Więść o nagłej i zupełnie niespodziewanej śmierci prof. Maksymiljana Rosego spadła na wszystkich, którzy Go znali, dosłownie, jak piorun z jasnego nieba. Jeszcze tak niedawno pełen, zdawało się, sił i energii, brał udział w pracach Międzynarodowego Kongresu Przeciwalkoholowego w Warszawie, wygłaszając na nim referat p. t. „Wpływ



*PROF. DR. MAKSYMILJAN ROSE.*

alkoholu na mózg“. Tak niedawno snuł plany i projekty dalszych swych prac, obiecując swój coraz czynniejszy udział w ruchu przeciwalkoholowym.

Los chciał inaczej.

I oto z uczuciem prawdziwego, głębokiego żalu i bólu pisać musimy to wspomnienie pośmiertne, poświęcone jednemu z najwybitniejszych uczonych, jednemu z najbardziej gruntownie, n a u k o w o prze-

konanych zwolenników ruchu przeciwalkoholowego, jednemu z najszlachetniejszych ludzi.

\*

\*

\*

Urodzony dn. 19 maja 1883 r. w Przemyśle, b. p. Maksymiljan Rose kształcił się na wydziale medycznym Uniwersytetu Jagiellońskiego, oraz w klinice neurologiczno-psychjatrycznej w Tübingen, poczem od 1925 r. prowadził prace badawczo-naukowe w Instytucie cesarza Wilhelma w Berlinie, specjalizując się w zakresie badań nad budową mózgu ludzkiego.

W r. 1928 powołany został na stanowisko docenta neurologji w Uniwersytecie Warszawskim, gdzie też stworzył własną placówkę naukową w postaci Polskiego Instytutu badań mózgu.

W r. 1930 powołany został przez Wydział Lekarski Uniwersytetu Wileńskiego na katedrę psychjatrii, opróżnioną po śmierci ś. p. Prof. Rafała Radziwiłłowicza. Do Wilna też został przeniesiony Instytut Badań mózgu. W tym właśnie Instytucie Prof. Rose, jako jedyny u nas specjalista, przeprowadzał badania mózgu Wskrzesiciela Wszechnicy Batorowej, Marszałka Józefa Piłsudskiego.

Pracując niezwykle intensywnie na polu naukowem, Prof. Rose był jednocześnie bardzo czynnym społecznikiem w najszlachetniejszym tego słowa znaczeniu. A w pracy społecznej, jako anatom i wyjątkowy znawca mózgu, jako neurolog i psychjatra, jako bysty obserwator stosunków społecznych, nie mógł nie zwrócić szczególnej uwagi na destrukcyjny wpływ na mózg nawet t. zw. małych dawek alkoholu. Prowadził w tym kierunku specjalne długotrwałe badania. Wynikami ich było stwierdzenie niezmierniej toksyczności dla mózgu alkoholu.

Zmarły uczony posiadał bajeczny dar popularyzacji najzawilszych zagadnień naukowych i zarazem świetną umiejętność podawania ich w najdoskonalszej postaci żywego słowa. Wymowa Jego była czarująca i w całej pełni przykuwająca uwagę słuchacza, a urok Jego słowa był tem silniejszy, że oparte ono było na niewzruszonych podstawach prawd, zdobywanych przez wiedzę badawczą, doświadczalną.

To też w dziedzinie naszych zainteresowań był on bezcennym szermierzem sprawy walki z alkoholizmem, jako śmiertelnym wrogiem samych podstaw zdrowia i rozwoju psychiki człowieka.

Wykłady Jego na Kursach Alkoholologii w Warszawie i Wilnie, na X Polskim Kongresie Przeciwalkolowym w Krakowie, na tematy: „Degeneracja i alkoholizm“, „Wpływ alkoholu na życie psychiczne“, „Zwyrodnienie psychiczne i alkoholizm“ sprawiały na słuchaczach niezatar-te i ogromne wrażenie.

Prof. Maksymiljan Rose był jednym z bardzo dotychczas nielicznych uczonych polskich, który w dziedzinie alkoholizmu przeprowadzał oryginalne, a niezwykle doniosłe badania.

Śmierć Prof. Rosego jest ciosem dla nauki polskiej i dla ruchu

przeciwalkoholowego w Polsce — ale znaczenie tej straty bolesnej wybiega daleko poza nasze granice — gdyż był to uczony o zasięgu międzynarodowym, powszechnym.

Wykład Jego na XXI Międzynarodowym Kongresie Przeciwalkoholowym w Warszawie — stanowił niewątpliwie jeden z głównych dorobków naukowych Kongresu. Niestety Zmarły mówił z pamięci, nie chciał nawet, by wykład Jego był stenografowany, gdyż miał zamiar wkrótce nadesłać go na piśmie.

W „Roczniku Psychjatrycznym“ z r. 1931 podany został referat prof. Rosego, wygłoszony na X Zjeździe Psychjatrów Polskich w Łodzi w czerwcu 1930 r. p. t. „Zmiany architektoniczne mózgu w alkoholizmie“. Jest to jedyna praca o alkoholizmie Zmarłego w druku.

\*

\*

\*

Podczas eksportacji zwłok znakomitego Uczzonego dn. 2.XII. 1937 r. na dziedzińcu Uniwersyteckim Piotra Skargi, gdzie zebrali się senat Uniwersytetu, profesorowie, młodzież akademicka i tłumy publiczności, przemówił Rektor Uniwersytetu, prof. ks. Wójcicki m. in. w słowa następujące:

„Okrutna śmierć zabrała nam nie tylko wielkiego uczonego, ale i idealnego człowieka, kolegę i wychowawcę. Zmarły był człowiekiem wyjątkowo dobrego serca, a człowiek jest wielki nie tyle przez swój talent, ile przez swe serce“. „Schylam nisko czoło przed ogromem jego dorobku naukowego, który rozślawił go w Polsce i w świecie. W nauce naszej prof. Rose był gwiazdą pierwszorzędnej wielkości, a uczelni naszej chlubą i ozdobą. Przed skarbem tak wielkim serca i umysłu składam pożegnalny od wszechnicy hołd, żegnając drogiego towarzysza pracy, niezrównanego badacza naukowego i wzorowego wychowawcę“.

Przemówienie swe ks. Rektor zakończył słowami Kochanowskiego:

„A jeśliż komu droga otwarta do nieba, to tym, co służą Ojczyźnie“.

A w służbie tej, rozumianej i spełnianej, jako służba dla dobra całej ludzkości, prof. Maksymiljan Rose spełniał swój obowiązek jak najlepiej i jak najusilniej.

*Jan Szymański.*

---

## PRZYCZYNY I SKUTKI ROZPOWSZECHNIENIA ALKOHOLIZMU, A SPOSOBY WALKI Z NIM.

(Dokończenie).

Wszystkie powyższe sposoby walki z alkoholizmem nie dały oczekiwanych wyników i wobec tego powstała kwestja zastosowania radykalnego środka zakazu używania alkoholu za pomocą prohibicji.

Sama myśl w zasadzie jest piękna i zasługuje na uznanie, lecz przede wszystkim nasuwa się pytanie, czy w chwili obecnej wykonanie jej jest możliwe. Próba walki z alkoholizmem, w ten sposób pomyślana i pociągająca za sobą niewątpliwie pewien koszt, podjęta zostanie chyba tylko po to, aby wykazać całą niemoc tak radykalnie powziętego przeciwdziałania, które się skruszy o tę głęboko zakorzoną i wszechwładnie panującą wielką klęskę społeczną.

Absolutny zakaz sprzedaży napojów alkoholowych w Stanach Zjednoczonych nie dał tych wyników, jakich się spodziewano. Potajemne pędzenie spirytusu i przemytnictwo osiągnęły tam rozmiary kolosalne. W lipcu 1930 r. w m. Burklynie agencji prohibicyjni odkryli i skonfiskowali olbrzymie składy trunków ocenionych na przeszło 1½ mil. dolarów. W jednym z doków miejskich w Nowym Yorku skonfiskowano trunki, wartości 130.000 dol., ukryte w olbrzymiej miejskiej berlinie, służącej do wywożenia śmieci. Przemytnictwem zajmowali się w tym przypadku urzędnicy miejskiego wydziału sanitarnego.

Jeżeli alkoholizm jawny stanowi wielką klęskę społeczną, to alkoholizm potajemny jest nie tylko zwiększoną klęską, lecz ponadto czynnikiem przekupstwa, obłudy, oszustwa, różnych nadużyć, masowej walki z prawem i t. d.

Z powyższego wynika, że stworzyć ustawę przeciwalkoholową odpowiednią i celową jest w chwili obecnej bardzo trudno.

Środki ustawodawcze, oparte na przemocy i przymusie, jak również czujność i troskliwość władzy publicznej są niezbędne dla utrzymania praworządności, spokoju publicznego i moralności, lecz same przez się nie posiadają cudotwórczej siły do zupełnego przezwyciężenia namiętności, zwalczania nałogów i wad, przekształcenia szkodliwych skłonności i usposobień do zmiany warunków społecznych i gospodarczych i t. p.

Obok wystąpień prawodawczych inicjatywa prywatna rozpoczęła wyprawę krzyżową przeciw alkoholizmowi, tworząc stowarzyszenia, związki i zrzeszenia, mające celu *uświadomienie społeczeństwa o groźnych skutkach, wywieranych przez alkohol na zdrowie, moralność i gospodarczy stan kraju.*

Pierwsze towarzystwo przeciwalkoholowe było założone w Szkocji w r. 1829. Obecnie ilość takich zrzeszeń i towarzystw jest kolosalna. Szkocja w r. 1912 posiadała przeszło 24.000 przeciwalkoholowych stowarzyszeń dla nieletnich. W r. 1838 znany zakonnik Mathew, z taką siłą porywał żywym słowem słuchaczy, że w m. Dublinie, gdzie w przeciągu kilku miesięcy miał odczyty i kazania, jedno więzienie zostało



zupełnie zlikwidowane z powodu braku skazanych za przestępstwa, a w drugim ilość więźniów z 3202 zmniejszyła się do 1604. Jednocześnie w Dublinie zamknięto 237 zakładów, sprzedających napoje spirytusowe, ilość zaś wkładów do kasy oszczędnościowej powiększyła się o 200%.

Jedną z najpoważniejszych przyczyn, powodujących nałóg pijaństwa, jak to słusznie twierdzi b. prezydent Belgijskiej Ligi przeciwalkoholowej Ivernesse, jest nędza, hultajstwo, brak ideowych i estetycznych dążeń.

Usunięcia nędzy łatwo żądać, lecz bardzo trudno wykonać! Całkowite usunięcie nędzy jest marzeniem, chimera, albowiem nędza istniała zawsze i wynalezienie środka ku jej zwalczeniu staje się tembardziej niemożliwe, że często nędza zależy od osobistych przymiotów człowieka, od jego zdolności, pracowitości i swoistych cech charakteru. Jednak nędzę można do pewnego stopnia złagodzić za pomocą specjalnych instytucyj, np., organizacji społecznych wzajemnej pomocy, zabezpieczenia od wypadków nieszczęśliwych, od bezrobocia, przez pomoc społeczną dzieciom, matkom, chorym i t. p.

Wiadomo powszechnie, że złe warunki mieszkaniowe są najgorszym wrogiem pod względem społecznym i moralnym, z którym należy walczyć za wszelką cenę. Niema lepszego sposobu walki ze skłonnością nałogową do kieliszka i szynku, jak troska o ognisko rodzinne robotnika, dążąca ku temu, aby było ono higieniczne i przytulne. Gdy te warunki da się osiągnąć, za pomocą budowy mieszkań, opatrzonych w odpowiednie ubikacje i komfort, gdy kobieta będzie posiadała odpowiednie wychowanie, a w szkołach powszechnych nauczy się gospodarstwa domowego, będzie utrzymywała swój dom w porządku i będzie dążyła do jego upiększenia, wówczas robotnikowi będzie przyjemnie w domu i nie będzie szukał rozrywki w szynku, lub w innych wesołych lokalach.

Należy również walczyć z hultajstwem, nudą i samotnością, a starać się zadość uczynić potrzebom towarzyskim. W tym względzie należy rozpowszechniać przemysł domowy, szczególnie u nas w Polsce, gdzie w czasie długotrwałej zimy nie można pracować na roli.

Niezbędem jest stworzenie odpowiednich rozrywek, np. teatrów i koncertów ludowych, kinematografów i czytelni, zaopatrzonych w książki o treści praktycznej i popularno-naukowej, chórów kościelnych i świeckich.

Krótko mówiąc, odbierając szynk, trzeba masom dać coś w zamian.

Wreszcie jednym z najpoważniejszych sposobów walki z alkoholizmem jest lecniectwo alkoholików. Zagadnienie powyższe dotyczy wyłącznie nauki medycyny i powinno być rozstrzygnięte przez specjalistów. Nie możemy jednak nie nadmienić, że we wszystkich kulturalnych państwach dla narkomanów i alkoholików istnieją trzy rodzaje instytucyj leczniczych: a) przychodnie przeciwalkoholowe, w których chorzy leczą się ambulatoryjnie, nie tracąc związku normalnego z rodziną i warsztatem pracy; b) zakłady otwarte, gdzie podstawą leczenia jest dobra wola pacjenta i c) zakłady zamknięte, gdzie leczy się takich pa-

cientów, u których *samokrytycyzm jest tak zniszczony*, że nie wystarczy, aby chorego można było leczyć metodami zakładu otwartego.

W Szwajcarii w r. 1925 została wydana ustawa: „Gesetz über die Versorgung von Jugendlichen, Verwahrlosten und Gewohnheits Trinkern“, na mocy której osoby, które z powodu nałogu pijaństwa, dla siebie samego, lub dla innych są niebezpieczne, albo swoje rodzinne obowiązki stale zaniedbują, lub jawne rozdrażnienie wykazują, podlegają, o ile są uleczalne, umieszczeniu w sanatorjach dla alkoholików; niepoprawnych zaś umieszcza się w zakładach przytułkowych, lub zakładach opieki.

Statystyka wyleczeń waha się na Zachodzie, gdzie lecznictwo to jest dobrze zorganizowane, od 15 do 30 procent.

W wielu państwach Zachodniej Europy (w Niemczech, Szwajcarii, Danji i t. d.), oraz w Stanach Zjednoczonych A. P., stosuje się sterylizację względem osób umysłowo chorych, lub umysłowo upośledzonych, a więc i do chronicznych alkoholików, celem zapobieżenia dziedzicznym chorobom młodego pokolenia.

Na międzynarodowym kongresie penitencjarnym w Berlinie (18 sierpnia 1935 r.) wielu przedstawicieli różnych państw wypowiedziało się przeciwko stosowaniu zabiegu sterylizacji względem ciężko umysłowo chorych i psychopatów, wychodząc z założenia, że są oni całkiem izolowani, pozostają dożywotnio w zakładach leczniczych, a przytem nie żyją długo i nie wykazują silniejszego popędu płciowego. Wreszcie tego rodzaju choroby przeważnie nie są dziedziczne, lecz nabyte. Z punktu widzenia eugeniki i walki z przestępczością, najniebezpieczniejszemi są osoby umysłowo mniej wartościowe, cierpiące na niedorozwój umysłowy (imbecillitas, debilitas, lekkie formy schizofrenji, epilepsja) i na chroniczny alkoholizm, przeważnie znajdujące się na wolności, które płodzą się obficie. Są to po większej części dzieci heterozygenów t. j. pochodzące z rodziców pozornie normalnych, lecz noszących w sobie zarodki, lub skłonności do chorób psychicznych <sup>16)</sup>.

Wobec powyższego, na mocy różnych ustaw sterylizacyjnych, obowiązujących w Ameryce, osoby umysłowo upośledzone, umieszczone w zakładach zamkniętych, w razie ich zupełnego bądź warunkowego zwolnienia, podlegają sterylizacji. Zabieg ten może być dokonany za zgodą pacjenta, lub jego opiekuna na mocy uzasadnionego wniosku naczelnego lekarza zakładu karnego, wychowawczo-poprawczego, lub leczniczego <sup>17)</sup>.

Według ustawy sterylizacyjnej niemieckiej, sprawy, dotyczące pobawienia zdolności rozrodczej, podlegają właściwości specjalnych sądów zdrowia dziedzicznego (Erbgesundheitsgericht). Zabieg sterylizacji może być dokonany za zgodą pacjenta, lub jego opiekuna, w pewnych zaś wypadkach wbrew jego woli, lecz zawsze na zasadzie prawomocnego wyroku sądu zdrowia dziedzicznego.

<sup>16)</sup> Dr. Hans von Henting: „Eugenik und Kriminalwissenschaft“.

<sup>17)</sup> Popenoe: „Effect of Vasectomy on the Sexual“. Landmann: „Sterylisierung in den Vereinigten Staaten“.

Jak wynika ze sprawozdania Harry Langhlina o eugenicznej sterylizacji, umieszczonego w biuletynie „Human Betterment Foundation“, ilość dokonanych sterylizacji podniosła się o 50% w porównaniu z ostatnim 25-letnim okresem. Tak znaczny wzrost ilości dokonanych sterylizacji świadczy, że szerokie masy ludności zaczynają rozumieć, jak ważnym zagadnieniem jest zapobieganie dziedzicznemu chorobom dla dalszego rozwoju rasy ludzkiej. W Niemczech dokonano zabiegu sterylizacji w r. 1934 w 56.244 wypadkach.

Nasze ustawodawstwo nie przewiduje ani sterylizacji, ani kastracji z punktu widzenia eugeniki. Zabiegi te są dopuszczalne, jak każdy inny zabieg chirurgiczny, wyłącznie w celu ratowania zdrowia, lub życia chorego, nie zaś ze wskazań eugenicznych.

Aczkolwiek niektórzy przedstawiciele medycyny, biologji dziedzicznej i kryminologii pokładają może zbyt wielkie nadzieje w praktycznych wynikach sterylizacji, to jednak stwierdzić należy, że stosowanie sterylizacji w przypadkach, wskazanych przez naukę, niezawodnie przyczynić się może do zapobieżenia wzrostu mniej wartościowego potomstwa, w szczególności dziedzicznie chorego potomstwa chronicznych alkoholików.

Z powyższego wynika, że dotychczas nie mamy radykalnego środka przeciwalkoholowego poza wolną wolą człowieka. Na nieszczęście są dwie przeszkody, jak to trafnie zauważył Bossuet, pozbawiające ludzi prawa być panami swojej woli, „usposobienie i nałóg“, a przeto należy przedewszystkiem kroczyć w kierunku wychowawczym, obejmującym zespół czynników kształtujących charakter człowieka w jego najszlachetniejszych przejawach.

Drugim nie mniej ważkim warunkiem skutecznej walki z alkoholizmem jest międzynarodowa organizacja tej walki. Tylko stosowanie odpowiednich i jednolitych przepisów przeciwalkoholowych we wszystkich państwach kulturalnych da możność zwyciężyć alkoholizm. Tak, jak został zwyciężony handel niewolnikami.

*Stanisław Czerwiński.*

## PRZEZ PRYZMAT SĄDU.

W ciągu kilku ostatnich lat statki, pływające pod banderą polską, były nękanie szeregami pozornie drobnych, ale złośliwych wypadków. Możliwe, że przeszłyby one bez echa, gdyż nie pociągnęły za sobą ofiar w ludziach, ani większych materialnych strat, gdyby nie doniesienie, które wpłynęło do Urzędu Morskiego po powrocie z podróży ćwiczebnej statku szkolnego „Zawisza Czarny“.

Po wyruszeniu z portu gdyńskiego towarzyszyła statkowi dobra pogoda i sprzyjające wiatry. Dopiero na wodach Morza Północnego złapał „Zawiszę Czarnego“ gwałtowny sztorm. Zapadała właśnie noc, chmury pokryły niebo, a z wielkiej ciemności, która otoczyła statek, wybiegały ciemniejsze od nocy fale, piętrzyły się przed jego dziobem i na wysokości połowy masztów wybuchały białą pianą, a wówczas cała masa wzburzonej wody waliła się z wielkim hukiem na pokład. Statek wytrwale przyjmował uderzenia fal i trzymał się wytkniętego kursu na

najbliższy port angielski, w którym mógł znaleźć schronienie przed burzą. Gdzieś około północy zauważono pierwsze światła portu, a kapitan statku, generał Zaruski, polecił zapalić rakiety sygnalizacyjne, którymi żeglarze, zbłąkani wśród nocy, wzywają pilota. Okazało się jednak, że rakiety nie działają. Zapalano jedną po drugiej, a gdy ostatnia zawiodła, zmieniono kurs i wrócono na morze. W raketach, zamiast materiałów wybuchowych, znaleziono gazety i piasek.

Ujawnienie tego zdarzenia pociągnęło za sobą cały szereg podobnych doniesień. Na wybrzeżu znalazło się wiele statków żaglowych, holowników, rybackich kutrów, na których w okresie kilku ostatnich lat wykrywano rozmaite uszkodzenia w świetlnych urządzeniach nawigacyjnych. Zwykle defekty te spostrzegano w momencie nagłego niebezpieczeństwa, zagrażającego statkowi, albo ludzkiemu życiu. Załoga żaglowca Ligi Morskiej i Kolonialnej „Elemka“ miała możliwość obserwowania wypadku, ujawniającego wielkie znaczenie tych tak często bagatelizowanych urządzeń, których brak w chwili prawdziwego niebezpieczeństwa może prowadzić do katastrofy.

„Elemka“ stała wówczas na redzie jednego z portów północnej Afryki, była noc, morze było spokojne, jak łąka. Nocne życie portowego miasta dobiegało do uszu wachtujących marynarzy przytłumionym gwarem, czasami słychać było jakieś dalekie głosy, które ledwie poruszały uśpione powietrze i zaraz mdlały z wyczerpania, pozatem cisza była zupełna. Tem głośniejsze o którejś godzinie nocy zabrzmiał ostry ludzki krzyk od strony falochronów, któremu towarzyszył plusk wody, najpierw gwałtowny, a później coraz bardziej słabnący i właśnie po tem bezradnym szamotaniu się można było poznać, że tonie człowiek zupełnie pozbawiony sił, albo nie umiejący pływać. W chwili upadku ciała do wody marynarz wachtujący na „Elemce“ zawołał: „Człowiek za burtą!“ — rozległ się tupot nóg na pokładzie, czyjeś ręce uwolniły z zaczepu koło ratunkowe i rzuciły je tonącemu. Ale sygnał świetlny na kole ratunkowym nie działał i nie było żadnej nadziei, żeby można było dostrzec jego nikły zarys w gęstej ciemności nocy.

Zdarzenie, które opisaliśmy wyżej, rozpoczęło serję wypadków, ujawnionych dzięki doniesieniu generała Zaruskiego. Nastąpiło ono w jakiś czas po wizycie, którą złożył w Urzędzie Morskim Aleksander Jacewicz, były pułkownik armji rosyjskiej, szef uzbrojenia tejże armji w okresie wielkiej wojny, wybitny pirotechnik, a w czasie, kiedy jego osobą zainteresował się Urząd Morski, emerytowany komisarz Urzędu Celnego i ekspert w jakiejś bardzo specjalnej dziedzinie, związanej z fabrykacją i przewozem materiałów wybuchowych.

Wizyta, o której wspominaliśmy, okazała się bardzo na czasie. Tendencja do zastępowania wyrobów obcego przemysłu wyrobami własnymi coraz wyraźniej określała politykę gospodarczą Gdyni, dążono do uniezależnienia się od kapitału zagranicznego, szukano kapitałów własnych, popierano polską inicjatywę prywatną i starano się stworzyć jej jaknajlepsze warunki rozwoju. To też propozycje Jacewicza spotkały się z dobrym przyjęciem. Jacewicz zwrócił uwagę Urzędu Morskiego na fakt, że wszystkie statki polskie zaopatrują się w sygnały nawigacyjne w Anglii, że wyrób tych sygnałów nie następuje większych trudności i może być przeprowadzony w kraju pod kierownictwem doświadczonego pirotechnika. On sam posiada odpowiednie kwalifikacje, drobny

kapitalik zakładowy i o ile Urząd Morski udzieli mu swego poparcia, zamawiając u niego świetlną aparaturę sygnalizacyjną, podejmie się jej wyrobu w granicach, określonych zapotrzebowaniami rynku gdyńskiego.

Niedługo po tej rozmowie Urząd Morski otrzymał od Jacewicza pierwszy transport rakiet, zapalek sztormowych, które pałą się nawet na najsilniejszym wietrze, oraz innych urządzeń sygnalizacyjnych, a po zbadaniu ich przez specjalną komisję, która w wyrobach Jacewicza nie stwierdziła widocznych braków, zakupił cały transport i zaopatrzył holowniki i statki żeglugi przybrzeżnej w nową aparaturę sygnalizacyjną.

Zamówienie Urzędu Morskiego otworzyło przed Jacewiczem duże możliwości. Wielu odbiorców znalazł wśród rybaków Wybrzeża, właścicieli prywatnych jachtów, zwracały się do niego zarządy jach-klubów z całej Polski — i wkrótce jego prywatne mieszkanie zamieniło się w prawdziwe laboratorium pirotechniczne, w składnicę materiałów wybuchowych, najrozmaitszych narzędzi o nieznanem dla laika przeznaczeniu, podręczników naukowych, planów, wykresów, modeli rakiet i t. p. rzeczy, a wśród tego pracowitego zamętu, który trwał tutaj dniem i nocą, skromniutko i na uboczu odbywało się życie rodzinne Jacewicza.

Jacewicz miał żonę i dwoje dzieci: syna i córkę. Gdy z chwilą przekroczenia granicy ustawowo przewidzianego wieku został zwolniony z zajmowanego stanowiska w Urzędzie Celnym i z jakichś bliżej nieokreślonych względów pozbawiony emerytury, ich los został poważnie zagrożony. Syn był w drugiej klasie gimnazjalnej, córka rozpoczynała szkołę powszechną, nie mieli żadnych krewnych ani przyjaciół, którzy zainteresowaliby się ich losem, a niewielki kapitalik, zaoszczędzony dzięki przezorności żony Jacewicza, nie mógł wystarczyć na długo. Musieli wyprowadzić się z mieszkania, które zajmowali przy jednej z głównych ulic śródmieścia, sprzedać część mebli i pozostawić sobie tylko rzeczy najpotrzebniejsze. Nowego mieszkania długo nie mogli znaleźć, ceny były wszędzie wygórowane i wreszcie Jacewicz rozpoczął poszukiwania w dzielnicach robotniczych.

Któregós dnia ostatecznie opuścili śródmieście. Rzeczy załadowano na dwa ręczne wózki, których dostarczyli Jacewiczowi jego nowi gospodarze, właściciele małego drewnianego domku, którego połowę wynajął. Dom ów stał na Grabówku, w bezpośrednim sąsiedztwie sosnowego lasu i łagodnych pagórków, które zielono zamykały horyzont. Szło się tam trochę pod górę wąskimi, krętymi uliczkami, które nie miały brukowanej jezdni, ani chodników. Były to właściwie ścieżki, wydeptane nogami przechodniów, tylko zamiast drzew i krzewów rosły nad nimi małe drewniane domki, wzniesione jakąś dziwną prymitywną sztuką, która nie znała ani planów, ani liczb, ani nie miała żadnych trwałych zasad, oprócz tych, które dyktował natychmiastowy pożytek i wymagania bieżącej chwili.

Ludzie zjeżdżali tutaj z rodzinami, z całym dobytkiem, który często mieścił się w jednym węzélku zarzuconym na plecy, zwabieni obiegającymi cały kraj wieściami o pracy, której jest tutaj pod dostatkiem. Praca, szczególnie w pierwszych latach rozbudowy Gdyni, często się znajdowała, ale nie zawsze było gdzie mieszkać, wszystkie hotele i bary robotnicze były przepełnione, miasto nie mogło nadążyć w rozwoju portowi i wówczas właśnie zaczęły powstawać na peryferjach miasta

drewniane, naprędce klecone domki, czasami w ciągu jednej nocy wyrastały w najmniej prawdopodobnych miejscach i zaraz skupiały koło siebie inne, już w inny sposób, zależnie od pomysłowości i potrzeb właścicieli budowane, tak, że wkrótce Gdynia została otoczona jakby drewnianą obręczą tych improwizowanych osiedli, które dawały schronienie kilkudziesięciu tysiącom ludzi, zwabionych tutaj nadzieją lepszych zarobków.

W takiej dzielnicy zamieszkał Aleksander Jacewicz z rodziną. Nie mogło to być miłe dla byłego pułkownika armji rosyjskiej, człowieka, przyzwyczajonego jeśli nie do dostatków, to przynajmniej do spokojnej i uregulowanej egzystencji urzędnika państwowego szóstej kategorii. A jednak w dniu przeprowadzki Jacewicz nie okazywał przygnębienia. Wdrapywał się po pochyłym zboczach pagórka, porośniętego domkami, ciekawie przyglądał się nowym dla siebie widokom, pozdrawiał spotykanych po drodze ludzi, przedstawiał się im jako nowy mieszkaniec osiedla i zachowywał się tak, jakgdyby chciał ich upewnić, że nie przybywa tutaj zmuszony ciężkimi warunkami materialnymi, ale z własnej nieprzymuszonej woli. Za nim toczyły się wolno wózki z rzeczami, popychane przez dwóch młodych obdartusów, których nie spuszczała z oka pani Jacewiczowa, a dzieci już dawno pobiegły naprzód i tylko z daleka słychać było ich beztrioskie krzyki.

Wspominamy tutaj o sprawach tak na pozór błahych, jak nastrój pana Jacewicza w czasie przeprowadzki, nie bez poważnej przyczyny. Wydaje się nam, że niefrasobliwość, która nie opuszczała go w tak trudnym momencie życia, niosła w sobie zarodek jego przyszłej klęski. Pertraktacje z Urzędem Morskim dopiero się zaczęły i nic nie wskazywało na pomyślne ich zakończenie, aktualna sytuacja jego i rodziny groziła szeregiem powikłań i niedostatków, które mogły tragicznie zaciążyć na przyszłym losie dzieci, nie wiadomo było, jakie zmiany przyniosą najbliższe miesiące i lata. Ale twarz Jacewicza wyrażała zupełne zadowolenie z siebie, a małe niebieskie oczka, przykryte szklami okularów, lśniły mocnym odblaskiem wspaniałych zamierzeń i planów, które w najbliższej przyszłości miały zapewnić dobrobyt jego rodzinie, a jemu przywrócić dawne znaczenie i utraconą pozycję socjalną. Na podstawie szeregu danych możemy przypuszczać, że idąc tak pod górę, czuł się jak człowiek, który u kresu długiej drogi odnajduje cel swoich wysiłków. Spojrzenie, którem obrzucał całą tę nędzną okolicę, było spojrzeniem reformatora i dobroczyńcy, człowieka, który wynosząc siebie na wysokie szczyble dostatku i społecznego uznania, które zapewni mu jego przyszła praca, wciąga w orbitę swojego powodzenia tych wszystkich wydziedziczonych i biednych, których szczęśliwy przypadek postawi na jego drodze.

Oczywiście, nie brakło tutaj ludzi, którzy chętnie ogrzaliby się w ciepłe cudzego dostatku. Obecna nędza Jacewiczów w porównaniu z warunkami, w jakich żyli tubylcy, mogła się wydać bogactwem, a wygląd byłego pułkownika armji rosyjskiej budził usprawiedliwione nadzieje na jakiś okolicznościowy poczęstunek w niedalekiej restauracyjce, która dla ludzi dobrej woli była zawsze po drodze. To też za Jacewiczem utworzyła się mała grupka, złożona z kilku bezrobotnych mieszkańców osiedla, którzy widzieli jakiś swój zysk w podtrzymywaniu tej

nowej i niespodziewanej znajomości. Słuchali oni opowiadań Jacewicza, komentowanych szerokimi gestami i wykrzyknikami. Tak doszli do wspomnianej restauracji, która położona była na samym szczycie wzgórza i dominowała nad osiedlem.

Stąd roztaczał się szeroki widok na leżącą w dole Gdynię, na port i morze, które z tej odległości wyglądało jak ciemna smuga lasów przyprószone liljową mgłą. Znacznie bliżej, u samych stóp pagórka, na którym stali, biegła szeroka tranzytowa szosa, łącząca Prusy Wschodnie z Rzeszą. Nad samą szosą, tuż przed oczami patrzących, wznosiły się wielkie bloki Domów Miejskich, pomalowane na kolor jasno brązowy. To była niejako ostatnia placówka Wielkiej Gdyni. Tu mieściły się rozmaite biura i urzędy opieki społecznej, szkoła powszechna i mieszkania urzędników. Dalej to było już życie zupełnie inne, nie unormowane żadnymi przepisami, niezmiernie ciężkie w tej swojej swobodzie i włączęgoskiem nieskrępowaniu i — jak się wydawało w tej chwili Jacewiczowi — wymagające jakiejś radykalnej poprawy, jakiejś nagłej, zupełnej zmiany.

Ta myśl, którą zapewne przyniósł Jacewiczowi widok niezwykle, leżący przed jego oczami w spokojnem wieczornem powietrzu i nagłe porównanie tej monumentalnej wspaniałości, tego dostatku kolorów i szeroko rozrzuconych budowli z nędzną tymczasowością nowego życia, w które właśnie wkraczał, wzruszyła go i napełniła postanowieniami, które jego niepozornej postaci dodały wiele splendoru. Szerokim ruchem ręki zaprosił towarzyszy do wnętrza szynku, który wydał mu się najodpowiedniejszym miejsce dla tej pierwszej rozmowy, jaką miał odbyć ze swymi przyszlými pomocnikami. Weszli tu wszyscy za nim i usiedli przy okrągłym, koślawym stoliku. Jacewicz zamówił butelkę wódki, jakieś zakąski, które musiały dość długo stać na kontuarze, gdyż codzienni klienci tego lokalu zadawali się wódką i piwem — i tak zaczęła się rozmowa.

Niestety, w odtwarzaniu tej rozmowy w dużym stopniu zdani jesteśmy na własną domyślność. Jej świadkowie i aktorzy nie stawili się na rozprawę i nie można ich było odszukać. W momencie bezpośrednio poprzedzającym upadek Jacewicza, zniknęli, odeszli, rozplynęli się w tem bezkształtnem życiu, z którego wyszli na jego spotkanie i na jego, zgubę. Bo trudno przypuścić, żeby Jacewicz nosił w sobie gotowość do czynów ryzykownych, do działań, kolidujących z ustanowionem prawem. Był przyzwyczajony do uległości i z przyzwyczajenia tego umiał wyciągnąć dla siebie sporo korzyści i trochę cichych zadowoleń. Starannie przechowywał rozmaite wspomnienia, ułożone w chronologicznym porządku. Ukazywały one drogę życiową Jacewicza we wszystkich szczegółach znamiennych, w momentach, znaczących kolejne fazy jego urzędniczej kariery. W pewnym momencie ta stale wznosząca się linja gwałtownie spadała w dół — był to upadek nieoczekiwany, kataklizm tak absurdalny w jego dobrze wymierzonym życiu, że z tych lat nie zostało nawet odrobiny materiału dla późniejszych rozmyślań i wspomnień. To była rewolucja i jeżeli kiedykolwiek miałyby się ukazać wie romanée pułkownika Jacewicza, te groźne lata znaczyłyby się w niej białymi kartami.

Możemy jednak przypuszczać, że właśnie te lata, tak starannie wy-

kreślone z pamięci, jakby ich nigdy nie było, przydały usposobieniu Jacewicza wiele cech nowych i znamiennych. Możemy oprzeć się na bogatym materiale faktów, dostarczonych Sądowi przez żonę Jacewicza i przez świadków obrony, którzy zaświadczyli wobec Sądu, stwierdzili pod przysięgą, że Aleksander Jacewicz znany był im jako człowiek dobrego serca i prawego charakteru. Świadkowie ci znali Jacewicza jeszcze z lat wojennych i w swojej obszernej pamięci zachowali obraz trzydziestokilkoletniego mężczyzny w mundurze oficera sztabowego, marżącego o czerwonych generalskich lampasach, które w tym burzliwym okresie nie wydawały się rzeczą niemożliwą do osiągnięcia.

Temi lampasami zamykała się w wyobraźni Jacewicza droga jego życiowej kariery. Rozpoczął ją w warunkach trudnych, które mniej wytrwałego człowieka potrafiłyby zniechęcić i złamać. Rodziców stracił wczesnie, tak wczesnie, że gdyby nie fotografie, które pozostały jako jedyne świadectwo ich doczesnego trwania, nie pamiętałby chyba, jak wyglądał. Wychowywał się u dalekich krewnych i widocznie nie wyniósł stamtąd dobrych wspomnień, skoro jeszcze dzisiaj potrafi mówić z goryczą o krzywdach i osamotnieniu swojego dzieciństwa.

Nie podobna nie wspomnieć tutaj o pewnym liście, raczej o fragmencie listu, który jakimś sposobem zachował się z tamtych dawnych lat i dostał się do naszych rąk za pośrednictwem pani Jacewiczowej, która wzięła na siebie rolę informatora opinii publicznej i obrońcy swego męża przed tym nieoficjalnym trybunałem. List ów pisany był przez Jacewicza, wówczas dwudziestokilkoletniego oficera, świeżo upieczonego absolwenta Akademii Wojennej, odbywającego służbę wojskową w prowincjonalnym garnizonie. Adresowany był, jak to wynika z jego treści, do osoby bardzo jeszcze młodej i nie obojętnej Jacewiczowi, skoro nazywa ją tam „drogą przyjaciółką“ i pozwala sobie na bardzo osobiste zwierzenia, które w ustach wzorowego oficera, jakim niewątpliwie był Jacewicz, wyglądają conajmniej dziwnie. O damie owej mogliśmy się dowiedzieć bardzo niewiele, tyle tylko, że mieszkała wówczas w Petersburgu i należała do grona postępowej młodzieży uniwersyteckiej. O oto fragment tego listu:

„Droga Przyjaciółko!

Jest mi bardzo miło napisać „Droga Przyjaciółko“, boć przecie mówić tak już nie wypada, skoro niedługo przekroczysz, a może nawet już przekroczyłaś tę dwudziestą wiosnę, która podobno jest wstępem do dojrzałości. Ja, chociaż przekroczyłem ją kilka lat temu, zupełnie nie czuję się dojrzały i zawsze jedną nogą tkwię w mojej piętnastej wiosnie. Prawdopodobnie tej mojej ułomności należy przypisać ów list, to znaczy ten, który piszę obecnie, jak i tyle innych czynów nierozważnych, które w swoim życiu popełniłem i — mam nadzieję — popełnię jeszcze ku przewrotnej radości tej dziecięcej połowy mojego „ja“, która dostarczała tyle zgryzot moim opiekunom, a dalszym i bliższym znajomym dała tyle świetnych sposobności do wykazania, że nadmiernie rozwinięty zmysł moralny dokładnie zabija inteligencję. Przepraszam za ten wyskok. Nie piszę przecież tego listu po to, żeby rozprawić się z moimi bliźnimi, którym dostarczyłem napewno więcej kłopotów, niż oni mnie, a to choćby dlatego, że oni jakiś czas przyjmowali mnie na serjo i poważnie, a ja ich nigdy, i zawsze dla każdej sytuacji



miałem takie łobuzerskie przymknięcie oka, które obracało w pewnym momencie całą sprawę w żart, a oni zostawali na lodzie i odpływali z głupimi minami. Widzę jeszcze w tej chwili te poczciwe twarze, te zatroskane oblicza, tak niebywale komiczne przez wytrwałe starania zachowania powagi w takiej wyjątkowej, absurdalnej sytuacji. Gdzież oni są teraz? Dokąd odpłynęli ci wieczni i niestrudzeni żeglarze po morzu pracy i codzienności? Spotykam ich czasami, ale oni omijają mnie zdaleka, jakgdyby przygotowani na jakiś nowy, niesmaczny żart. Muszę przyznać, że tęsknię czasami za ich dekoracyjną powagą, za spokojem ich dobrze wymierzonych losów. Miło jest czasami odpocząć, patrząc na pelargonje, zakwitające w doniczkach, w zielonych skrzynkach tych jednakowych na całym świecie balkonów. Siadam tam czasami na skrzypiącym, wyplatany fotelu, a zwykle jest wtedy wieczór jakiegoś młodego jeszcze, niedojrzałego lata. Siedzę tam wówczas godzinę lub dłużej, podczas gdy oni krzątają się wewnątrz mieszkanka około swoich spraw, właściwych wszystkim wieczornym godzinom tych letnich dni. Przez tę godzinę toleruję moją obecność, słodką zadumę, ten rzadki mój i potrzebny odpoczynek. Och, nie przeciągam nigdy tych wizyt poza ten czas, ustanowiony niepisaną umową. Wiem, że nie darowaliby mi ani jednej minuty, wskazałoby na odpowiedni paragraf zawartej umowy z tą zabójczą pewnością siebie ludzi, wypełniających prawo. Jakże mógłbym narazić się na taką kompromitację, na taki wielki wstyd! Więc wychodzę o oznaczonej godzinie, a oni życzą mi dobrej nocy...”

Na tych słowach list się urywał. Trudno powiedzieć, żeby czynił sprawę Jacewicza zrozumiałszą. W jego biografii nie widzimy takiego miejsca, do którego mógłby pasować. Wskakiwał, jak bezsensowna nadbudówka na budynku, utrzymanym pozatem w jednym stylu. Wśród faktów, które odślonił proces, nie znajdziemy dla niego żadnego komentarza. Pozostaje on na użytek naszych osobistych rozmyślań na marginesie rozprawy, która będzie biegła swoim torem. Zanim wejdziemy na tę oficjalną drogę, musimy zdać sprawę z wrażenia, jakie wywarł na nas ten list. Było ono dość duże, jeżeli wziąć pod uwagę nasze dotychczasowe wiadomości o osobie Jacewicza. Gdy to pierwsze wrażenie minęło, gdy wobec rzeczywistości tego listu pogodziliśmy się z jego bezsenssem w tym zespole faktów, musieliśmy zająć wobec niego pozytywne stanowisko. Widzieliśmy w nim wyraz pewnej pozy, ale co wydawało się nam specjalnie ważne, to pytanie, jak długo Jacewicz potrafiłby wytrwać w tem przybraniu i czy przypadkiem nie stałoby się ono po pewnym czasie strojem, noszonym na codzien. A jeżeli postawiliśmy już takie pytanie, to wobec tego, ile prawdy było w samym Jacewiczu, takim, jakim widzieli go jego przełożeni i podwładni, jego przyjaciele i znajomi, jakim widział sam siebie w różnych okresach życia? Czuliśmy, że ta prawda została poważnie zakwestjonowana i że wystarczyłoby może zmienić warunki i dekoracje, żeby Jacewicz ukazał się nam zupełnie inny i nieznan, ten sam chyba tylko z metryki i nazwiska. To wrażenie pogłębiło się później i utwierdziło nas w przekonaniu, że prawdziwy Jacewicz był daleko poza tem wszystkim, co o nim myślano i mówiono.

Szkolę średnią ukończył Jacewicz z wielkim trudem, zmuszany przez opiekunów do pracy zarobkowej, pozbawiony nawet zwykłych radości koleżeństwa, które sprawiają, że każda młodość, oglądana z pers-

pektywy lat, wydaje się miła i warta powtórzenia. Te serdeczne niedostatki uczuliły go ponad zwykłą miarę na wyróżnienia i życzliwość ludzką. Gdy po ukończeniu szkoły średniej otrzymał stypendjum rządowe, które pozwoliło mu na wstąpienie do Akademii Wojennej, poczuł się jak człowiek, którego spotkało szczęście nieoczekiwane i niezasłużone. To uczucie miało zadecydować o jego poglądach, zostało niejako zobjektywizowane w ideach ogólnych, które Jacewicz określał swój stosunek do świata. U podstaw tego stosunku leżała wdzięczność, zwykła ludzka wdzięczność, która czekała dość długo na swój dzień. Nie należy się dziwić, że była trochę egzaltowana, mało krytyczna, wyrosnięta ponad słuszną miarę. Układała swoje proporcje pod ciśnieniem wielu lat biedy i samotności, w żarliwym oczekiwaniu na tę pierwszą okazję. Gdyby wówczas nie nadeszła, kto wie, jak ułożyłoby się życie Jacewicza. Wybrała ostatni moment, taką chwilę, która sprzyja ostatecznym przełomom w duszy człowieka. Możliwe, że gdyby ją przeoczyła, Jacewicz przeszedłby na stronę negacji i buntu, znalazłby sprzymierzeńców wśród wszystkich wydziedziczonych i niezadowolonych z istniejącego porządku. Taka możliwość istniała jako warunkowe założenie, trwały i nieujawniony potencjał siły w duszy Jacewicza, którą rozładowały bezpieczniki owej nagłej okazji i poprowadziły ustalonymi torami.

Życie Jacewicza nie dawało tym siłom okazji do ujawnienia się. Poza listem, którego fragment podaliśmy wyżej, jego biografia nie dostarczyła nam żadnych danych, świadczących o odchyleniach w jego linii życiowej. Przeciwnie, w miarę zdobywania sukcesów w karierze wojskowej, zamykał się coraz dokładniej w systemie zadań i obowiązków, wynikających ze stanowiska, które zajmował. Nawet rewolucja niczego napozór nie zmieniła w postawie Jacewicza i już w pierwszych latach tworzenia się Państwa Polskiego znalazł dla siebie pracę w jakimś urzędzie, z biegiem lat awansował i nic nie wskazywało na to, że u samego końca jego drogi życiowej nastąpi to zupełne, tragiczne załamanie.

Może tylko nieznaczej zmianie uległ stosunek Jacewicza do spraw ogólnych, światopoglądowych. Dotąd szczerym oburzeniem napełniała go myśl o istnieniu ludzi, którzy domagają się reform i zmian w istniejącym systemie politycznym. Ich żądania i postulaty wydawały mu się absurdalne i niczem nieusprawiedliwione. Uważał, że prowadzą tylko do pożałowania godnych rozruchów i całym sercem pochwalał politykę rządu, jak ją nazywał: „politykę mocnej ręki“. Sam siebie uważał za legitymistę, przy każdej sposobności podkreślał swoje przywiązanie do tronu, do idei zachowawczych, czuł się najmocniej spokrewniony z tymi, którzy reprezentowali w jego oczach prawowitą władzę, siłę, płynącą z nadziemskich źródeł i skupiającą się bez reszty w osobie cesarza, Pomazańca Bożego.

Wprawdzie i w swojej porewolucyjnej karierze Jacewicz odznaczał się poszanowaniem dla władzy i niejako automatycznie znalazł się w szeregach tych, dla których myśl o zmianie istniejących stosunków społecznych, czy politycznych, wydawała się szczególnie niemiła, ale to poszanowanie nie było już wolne od pewnych wątpliwości i nieznaczej dozy krytycyzmu. Oczywiście, były to wątpliwości zupełnie dopuszczalne, nie mogące skompromitować nawet najbardziej wzorowego urzędnika, a jeżeli pewne ich echa dotarły aż do sali sądowej, to niewątpliwie

dlatego, że i tryb życia Jacewicza uległ wyraźnej zmianie od chwili jego przyjazdu do Polski.

Zmiana ta wyraziła się przedewszystkiem tem, że Jacewicz zaczął okazywać skłonność do życia towarzyskiego. Miał teraz sporo wolnego czasu po pracy biurowej, która ani w części nie była tak absorbująca, jak służba w pułku, lub później, już w czasie wojny, w sztabie głównym armji rosyjskiej. Ten wolny czas rozdzielił pomiędzy swoich znajomych i kolegów biurowych, chętnie brał udział w dyskusjach przy kuflu piwa, które było jego ulubionym napojem. Czasami, co zdarzało się oczywiście rzadko, Jacewicz wracał do domu z tych rozmów koleżeńskich późną nocą, na trochę niepewnych nogach. Był wówczas tak podekscytowany dyskusją i wypitemi trunkami, że jeszcze w domu, wobec sennej małżonki, która zwykle czekała na niego, kończył jakiś zawiły i przekonywujący monolog.

Te rozmowy dotyczyły przeważnie spraw publicznych, zawodowych, nierzadko mówiło się o polityce. Jacewicz miał w swoim kółku opinię człowieka o tegiej głowie, wiedziano tu o tem, że gdyby innym torem potoczyły się losy wojny, nosiłby teraz pewno czerwone lampasy generalskie, zamiast „wegetować“ — jak mówił — na skromnem urzędniczem stanowisku. Poczucie wyższości, któremu mógł się oddawać w czasie tych rozmów, nakładało na niego specjalne obowiązki, trzeba było zaznaczyć pewną odrębność swego sądu, połączoną z ostrożnością i rozważą, właściwą ludziom politycznie wyrobionym. Państwo, którego obywatelem stał się po wojnie, przyjęło go jako człowieka nowego, nie uważało za potrzebne respektować jego przedwojennej kariery, ani nie dawało mu żadnej nadziei na szybkie awanse i wysokie honory. To też w poglądach Jacewicza zaczął zaznaczać się umiarkowany krytycyzm wobec polityki wewnętrznej państwa, zarzucał rządowi brak siły, czołowym postaciom systemu karjerowiczostwo i brak zmysłu politycznego. Ów brak zmysłu politycznego widział Jacewicz przedewszystkiem w niedocenianiu przez system potęgi i znaczenia mas ludowych. Zwracał uwagę swoich rozmówców na nędzę i ciemnotę robotników i chłopów, mówił o konieczności zasadniczych reform socjalnych, które zapewniłyby większy dobrobyt masom, a tem samem unieszkodliwiły te siły destrukcyjne i zagrażające porządkowi społecznemu, którym sprzyja rosnące niezadowolenie olbrzymiej większości narodu.

Przy sposobności takich rozmów wspominał Jacewicz niejako mimochodem o swojej działalności społecznej w Rosji przed wybuchem wojny, o kontaktach, jakie utrzymywał z postępową młodzieżą nawet wówczas, gdy zajmował odpowiedzialne stanowisko w hierarchji wojskowej. Przychodziło mu wówczas na pomoc wspomnienie owej „drogiej przyjaciółki“, do której kiedyś napisał kilka listów, i w ten sposób zaczynał sam wierzyć w tę przypadkową wersję o samym sobie, sfabrykowaną na użytek przyjacielskich rozmów. Takimi drogami urobiła się o Jacewiczu opinja człowieka postępowego, który umie godzić radykalność swoich idei społecznych z ostrożnością doświadczonego polityka. Możemy przypuszczać, że ta opinja dogadzała ambicji Jacewicza w stopniu tak znacznym, że z biegiem czasu zaczął ją uważać za całkiem zrozuwalną i odpowiadającą rzeczywistości.

Gdynia.

*Michał Klimowicz.*

(Dokończenie nastąpi).

## Z Ł O T O .

Z rysunkami autora.

Mauna był posiadaczem skóry czarnej, jak heban, trzydziestu dwóch białych zębów, potężnego torsu i wielkiego szczęścia. Takiego szczęścia, jakie ma pierwotny człowiek o prymitywnych wymaganiach. Uchodził za najlepszego poławiacza pereł na Tahiti. Był faworytem wódza, a wszystkie najpiękniejsze okazy pereł w świątyni Tabu pochodziły z połowów Mauna. Wierzył gorąco w Tabu i wdzięczny był, że mu błogosławi; a najwięcej wierzył w siebie, w swoje bicepsy i płuca. Zda-



waćby się mogło, że nic nie potrafi przerwać jego szczęścia, że da sobie radę ze wszystkim, co stanie mu na drodze życia, że zgniecie wszystkie przeszkody i wyjdzie zwycięsko z każdej opresji, i że życie jego będzie jednym ciągiem pasmem powodzeń. .

Szczęście jego przerwała brutalna siła białego człowieka.

Przybyli na wyspę, oczarowali go widmem dalekiego lądu i złota. Krzyżykami podpisał kontrakt na statek nurkowy kapitana Browna, człowieka wątlego, o marnym charakterze, ale mocnej głowie. Brown wiedział o tem dobrze, że złoto nie da tego szczęścia czarnemu, co słoń-

ce Hawai, i złamie życie Mauna, ale cóż go to obchodziło; jemu były potrzebne płuca i to właśnie takie, jakie miał Mauna. Płuca, co na czterdziestu metrach pod wodą w gumowym skafandrze, mogły pracować dwie godziny, co w liczbach kapitana wyglądało, jako suma dwudziestu dolarów czystego zysku.

Mauna również nie stał źle. Zarabiał sporo i był szanowany przez kolegów; zresztą ze względów bardzo prostych, wszak miał pieniądze, no i pięści, i to jakie pięści, przy których orzech kokosowy zdawał się kurzym jajkiem. Tu też byłoby mu dobrze, gdyby nie tęsknota za wyspami. Chwilami czuł, że dłużej już nie wytrzyma, i bodaj wpływ rzuci się, by płynąć do wysp. W takich właśnie razach za namową kolegów pił, pił, aż do utraty przytomności; przyprowadzali go wtedy na okręt, kładli na prycze, a na następny dzień wstawał do pracy z bólem głowy i jeszcze większą tęsknotą. Chwilami dawało mu to ukojenie, ale myśl o wyspie wracała uporczywie i coraz częściej do jego poczciwej duszy człowieka pierwotnego.

Najpierw pił, nie kryjąc się, potem na interwencję Browna pił pokryjому. Ale pił często i przy lada okazji. Myślał biedak, że w kieliszku whisky potrafi utopić wspomnienia.

Do pierwszego ostrego starcia między nim, a kapitanem Brownem doszło w trzecim roku służby na pokładzie statku.

— Hallo, George! gdzie jest ta czarna małpa — zwrócił się kapitan do marynarza o rozciętej wardze.

George nawet nie podniósł głowy z nad bębna z linami i rzekł ospale:

— Pewnie w kubryku zdejmuję sweter po nurkowaniu.

— Dawaj mi go na pokład! — ryknął Brown.

Marynarz wyprostował się z nad lin i ruszył ciężkim krokiem w stronę kajut, potem chwycił się rękami za niskie drzwi kubryku i krzyknął do wnętrza:

— Hallo, Mauna, stary cię woła!

Po chwili w drzwiach ukazała się potężna czarna sylwetka. Brown, gdy go zobaczył, nie czekał nawet, aby Mauna podszedł bliżej. Ruszył na przeciw olbrzyma z zaciśniętymi pięściami i przekleństwem na ustach.

— Te, słuchaj, czarna małpo, jak cię jeszcze raz przychwyć na piciu, nie będę się cackał. Wyleję cię z pracy na zbitą twarz, nie myśl, że chodzi mi o twoje zdrowie i o ciebie, chodzi mi o moje interesy. Dziś znów o godzinę siedziałeś mniej pod wodą, niż zwykle.

— Ale, kapitanie...

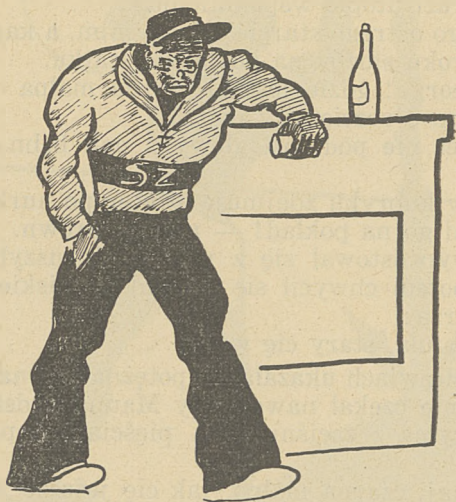
— Nie żadne, ale. Byłeś nurkiem niezastąpionym, a teraz jesteś niczem. Tak nurkować, jak ty obecnie, potrafi każdy. Dawniej byłeś nurkiem na wielką skalę, a teraz takich to na pęczki w każdym porcie. Chwilowo zmniejszam ci pensję, a potem pójdiesz na zbity łeb, rozumiesz?

I znów biedny Mauna nie mógł zebrać pieniędzy na powrót do wysp słońca.

Po trzech tygodniach statek zawinął do macierzystego portu Hull.

W kubryku marynarskim panował ruch. Każdy szykował się na

ład, do rodziny, krewnych, znajomych. Jeden Mauna stał smętnie przy bakiście i obliczał po raz szósty w tej podróży swoje malejące oszczędności. Po chwili w kubryku został sam. Cisza zaczęła mu dokuczać. Tęsknota coraz uporeczywiej, coraz natrętniej zaczęła mu przedstawiać obrazy z wysp. Czuł, że jak teraz zaraz nie ujrzy ich, to oszaleje. Zaczął coraz szybciej chodzić po kubryku, potem przystanął pod pryczą, oparł łokcie o koje wyższego piętra, nad którą czarnym okiem spoglądał obojętnie iluminator. Chwycił swą kędzierzawą czarną głowę w olbrzymie



wg.

dłonie, a z jego potężnego torsu wydobył się cichy głos, coś w rodzaju skomlenia. Po pewnym czasie podniósł powoli głowę i zaczął bezmyślnie wpatrywać się w iluminator. W ciemnej jego otchłani ujrzał światła portu. Jedno z nich przykuło jego uwagę, gasło, aby po chwili zapalić się jaskrawo i znów gasło; to się reklamował bar „Pod Kotwicą“.

Tej nocy przyprawiono go pijanego na okręt.

Już rok, jak pracuje dorywczo w porcie przy ładowaniu węgla. O powrocie na wyspy prawie już nie marzy. Zarabia tak mało, że mu ledwie wystarcza na jedzenie, mieszka najczęściej w magazynach portowych między skrzyniami, i to, jeżeli nie zauważy policja. Nie nazywają go potężnym Maunem, nazywa się — czarny szczur. Resztę pie-

niędzy, które mu pozostają z tygodniówki, skrupulatnie przepiją; wszak tyle umie liczyć, że wie o tem, iż z tak małych sum musiałby składać prawie całe swoje życie, by mózdz zdobyć bilet do upragnionych wysp.

Właśnie dziś była sobota. Czarny człowiek ładował skrzynie na okręt, który odjeżdżał w jego strony. Tęsknota znów odezwała się mocniej. Na blind-pasażera nie próbował się jednak przemycić, pamiętając dobrze, jak z twardej skóry noszą marynarze obuwie, i jak je umieją zastosować w tych wypadkach. Najlepszym tego dowodem była blizna nad lewym okiem. Po wypłacie wziął pieniądze. Nie licząc, schował do kieszeni i poszedł „Pod Kotwicę“, gdzie światło reklamy mrugało zachęcająco, prosząc w gościnne progi baru. Gdy wszedł w więcej ruchliwą dzielnicę miasta, monotony i głośny szum wielkomiejskiego życia przeciął skrzeczający głos gazeciarza...

— Dodatek nadzwyczajny! Zatonięcie transatlantyku „Wiktorii“, 60 osób utonęło... Skarb na dnie mo-o-rza!

Przystanął, popatrzył chwilę na chłopca, od którego rozchwytywali przechodnie gazety. Był ciekawy szczegółów, ale nie miał śmiałości prosić kogoś o informacje. żałował, że nie umiał czytać; wogóle żałował, że się dowiedział, że na świecie trzeba umieć czytać i znów mu przyszło do głowy — tam na wyspach nie potrzeba. Pozostał jeszcze chwilę i wszedł do baru.

W barze szumiło jak w ulu. Każdy rozprawiał na temat kraksy, jaka spotkała wielki parowiec „Wiktorii“. Przy bufecie jakiś wążal czytał na głos grupce ludzi przebieg wypadków awarji. Gdy doszedł do tytułu — skarb na dnie, Mauna przybliżył się i zaczął słuchać uważnie.

— Okręt wziął ładunek złota, obliczony na 10 milionów funtów sterlingów. Złoto leży na dnie, żaden z nurków nie podejmuje się go wydobycia ze względu na głębokość, na jakiej znajduje się wrak. Powtarzamy — głębokość wraka wynosi około 50 metrów pod poziomem wody. Dalej komunikujemy, iż statek nurkowy towarzystwa Society Zimen, pod dowództwem kapitana Browna, prawdopodobnie nie wyruszy z powodu braku ochotnika wśród nurków, któryby zaryzykował zanurzenie na tę głębokość.

Po skończonym czytaniu komunikatu, Mauna stał zamyślony, jakby coś sobie obliczał, potem uśmiechnął się pod nosem, wychylił napełniony świeżo kieliszek, wcisnął czapkę na głowę i szybkim krokiem wyszedł z baru, kierując kroki w stronę mola. Po godzinie już rozmawiał w mesie z kapitanem Brownem na jego statku.

— Kapitanie, żaden nie chce się zanurzyć, a ja zaryzykuję. Wiesz przecież, że ja chodziłem na tę głębokość.

— Chodziłeś — przerwał mu kapitan, ale wtedy byłeś nurkiem o płucach, jak miech i o sercu, jak maszyna, a teraz jesteś wykończony i nie ma o czem gadać.

— O, mister Brown, ja się zgodzę nurkować za sumę potrzebną mi na podróż do swoich.

Kapitan chwilę się zastanawiał. Przyszedł mu z pomocą drugi oficer i szepnął do ucha Browna.

— Bierz, Brown, co ci szkodzi, nie twój łeb, możesz nastawiać.

Kapitan wstał i rzekł z uśmiechem.

— Dobra, Mauna, jutro wyruszamy.

Czarny miał łzy w oczach. Chciał Browna całować po rękach. Brown dobrotliwie poklepał go po karku.

A gdy czarny szczur opuścił kajutę, kapitan odezwał się do drugiego oficera:

— Patrzyłem, czy mu mięśnie nie zwiotzczały, ale zdaje się, że są niezłe. Wyszła ta czarna małpa na szkapę, ale kawał chłopca jeszcze jest. Grunt, czy mu serce wytrzyma.

Słońce chyliło się ku zachodowi, gdy statek Browna zarzucił kotwicę na miejscu awarii. Mauna siedział na pokładzie już we wciągnię-



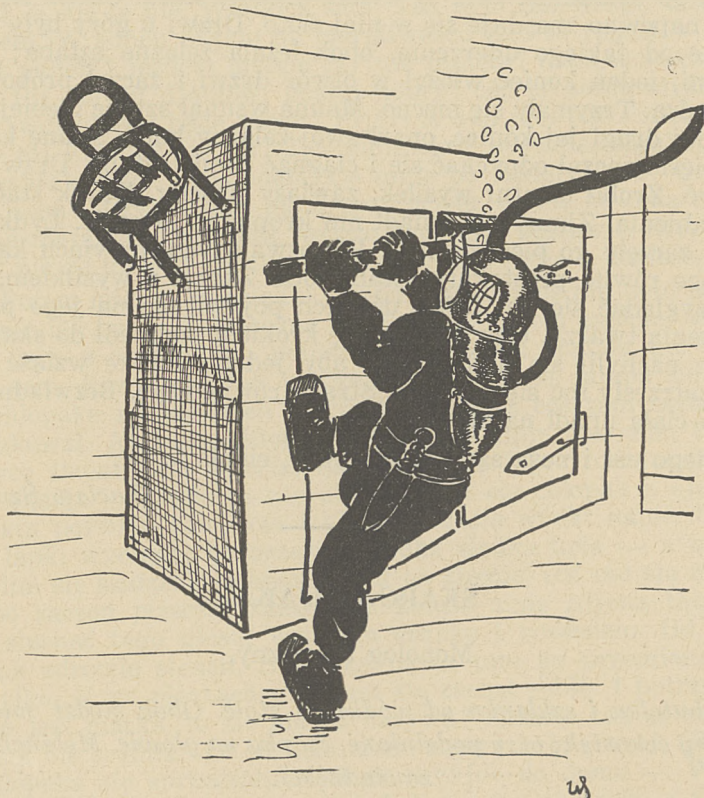
tym skafandrze na sobie. Na sygnał „gotowe“ podszedł do niego jeden z ludzi załogi z hełmem stalowym w rękach. Czarny skurczył szyję, chwytając brodę w chomonta skafandra. A gdy głowa zniknęła w czeluści hełma, Mauna wstał, i zaczął ociężałe, krok za krokiem, w swoim 80-kiłowym ubraniu, zbliżać się do burty.

Po chwili zstępował po schodkach trapu w ciemną, zielonkawą czeluść morza. Gdy zanurzył się po szyję, ostatni raz rozejrzał się przez szybkę swojej stalowej głowy po horyzoncie. Spojrzał na słońce. Na jego twarzy malował się uśmiech, a zarazem złość. Cieszył się, że po raz



ostatni widzi słońce północne, że jutro weźmie pieniądze, a najdalej za tydzień będzie patrzył w to inne słońce, w słońce Hawai. Wiedział na pewno, że ludzie mylą się, tłumacząc mu, że jest to to samo słońce, co świeci tam. Oni są głupi, tu trzeba tylko przyjrzeć się, żeby widzieć ich błąd. Tamto jego słońce jest jasne, ciepłe, prawie pieszczące, tu jest zimne, jakieś nieśmiałe i takie dziwnie nie mile, wcale go nie będzie żalował.

Mauna otrząsnął się ze swych myśli i przystąpił do zanurzenia. Zaczął schodzić niżej, już ostatni szczebel. Po chwili puścił się rękami



trapu i zawisł w wodzie między powierzchnią, a dnem morza. Powoli, metr po metrze opuszczali go na dół. Było mu z każdym metrem gorzej oddychać. Myślał, że odzwyczyił się od nurkowania. Nawet przypomniał sobie, że to zawsze jest takie wrażenie ucisku na oczy i na bębrenki uszne. Szedł w dół. Zaczął wpatrywać się uważnie w dno. Było mu coraz gorzej. Na piersi, na głowę, na całą postać olbrzymia ciążył 40-metrowy słup wody. Nareszcie ujrzał wrak. Dodało mu to otuchy. Poczul, że zaczyna się znów zanurzać, opuszczony w dół. Po chwili dotknął nogami pochylonego pod kątem wraka. Czuł się coraz gorzej. Musiał już z wysiłkiem wyteżać wzrok, aby widzieć, co się dzieje koło niego. Coś niewyraźnego robiło mu się z oczyma. Chwilami miał wrażenie, że

światło latarni go razi. Zgasił latarkę. Przez chwilę zdawało się, że bez światła oczy mniej go bolą. Dwa razy zakręciło mu się w głowie do tego stopnia, że zawiśł bezwładnie, jak wisielec na linie, która łączyła go z okrętem. Opanował go strach przed śmiercią. Chciał już krzyknąć do megafonu, żeby go wyciągnęli, ale uświadomił sobie, iż jest to ostatnia okazja. Tylko przez dno morskie i złoto prowadzi droga do jego wysp. Dodało mu to na chwilę sił. Zaczął iść w stronę luku rufowego wraka, gdzie miało się znajdować złoto. Podeszedł do drzwi, były rozwalone. Zaczął posuwać się krok za krokiem. Coraz częściej oczy zachodziły mu mgłą. Naraz zawadził nogami o jakiś wielki przedmiot. Oświetlił go dokładnie, była to wielka stalowa kasa. Chciał się przekonać, czy napewno znajduje się w niej złoto. Drzwi u góry były wygięte, widocznie od jakiego uderzenia, obok leżała żelazna sztaba; podniósł ją z ziemi, jeden koniec włożył w otwór drzwi i zaczął próbować, czy się poddadzą. Trzymały się mocno. Mauna wsunął sztabę głębiej, uchwycił mocniej drugi jej koniec, oparł swój żelazny but o ścianę kasy i całą siłą mięśni zaczął odpychać się i ciągnąć ramię sztaby. Drzwi zaczęły trzeszczyć. Zrobił ostatni wysiłek, zawiasy puściły. Nurek stał i trząsł się z osłabienia. Zimny pot osiadł mu kroplami na czole. Łydki trzęsły się, oczy zaczęły go piec mocniej. W rozwalonych drzwiach kasy zobaczył leżące równe prostokąty sztab złota. Zaczął z wysiłkiem, mrużąc oczy, przyglądać się im. Lekki uśmiech pojawił się na jego popielatej ze zmęczenia twarzy. Chwiejącym się krokiem podeszedł do skarbu. Machinalnie nachylił się nad złotem, aby jedną sztabkę wziąć w rękę. Kolana zatrzęsły mu się mocniej. Stracił równowagę. Bezwładnie całym ciężarem ciała upadł na złoto.

Z jego ust i nosa sączyła się lepka, ciepła krew.

Wacław Szulc.

---

## SKARGA PIJAKA.

Monolog tragiczny.

*(Pusta butelka i szklanka od wódki na stole. Obok siedzi młody, lecz zniszczony człowiek; oczy podsinione, czapka na głowie. Melancholja nim zawładnęła).*

A żeby cię jasny piorun trafił! A żebyś ty, jak pies, pod płótem nędznie zginęła! Za moją ciężką krzywdę! — Na wszystkie choroby ludzkie lekarstwa mają, ponoś na raka też. Ino na te moją cholera radę nima. Czego ta kobita chce ode mnie? Co ja się przez te kobite nacierpiał! Wszystkie nieszczęścia, jakie na mnie spadły — to ino bez nią. Ale dobrze mi tak, dobrze. Trza się było słuchać matki, jak mówiła: nie żeń się, Franuś, z fabryczną, nie leć na jej tygodniówkę, weź sobie kobite z majątkiem, gospodarną, ona ci jeszcze dobytku przysporzy. A ja sie na majątek nie łąszczył, ożeniłem się z fabryczną i tak na tem wyszedłem. Jeszcze mie nie chciała, jeszcze grymasiła, że niby jezdem trunkowy. Ale ja się zawzionem, bo mi się podobała: i tak moja panno

będziesz moją. Przestałem pić. Ja bez te kumedje na swoim własnym weselu wódki nie pił! Do tego mnie doprowadziła. Alem postawił na swoim, ożeniłem się z Wichłą. Myślałem sobie: kobite mam, nie? Dom swój, było nie było, jest — to gdzie będę szukał zabawy po knajpach — niech mam w domu przyjemność. Przyniożem pierwszy raz butelkę wódki do domu, nalałem la ni i la siebie i mówię: w twoje ręce, Wik-tuchna, napijmy sie na zdrowie, na powodzenie w tem nowem życiu. A ona nie i nie. Pić nie będę, mówi, i ty, Franuś, nie pij wódki. Co ja sie namolestowałem, co ja ji naprosiłem, a ona furt swoje: Nie pij, Franuś, nie pij. Nic nie pomogło, uparła się kobita i ani rusz. Ano — trudno — nie to nie. Wypiłem sam. Tak było raz, drugi, trzeci, nic nie mówiłem. W końcu brakło mi cierpliwości. Kto tu rządzi w domu? kto tu jest panem? jezdem mężem czy nie jezdem? mam żone czy nie mam żony? Pij do stu djabłów, pókim dobry! cóż ty sobie myślisz, że ja wciąż twoje fochy będę znosił? Pij!!! A ona nie. Nie i nie. I furt swoje, nie pij Franuś, nie pij! Tak mnie złość porwała, sprąłem kobite na fest, zabrałem się i poszedem. Co mnie po takim domu? Co ja w tym domu mam? Czy ja tam mam przyjaciela, co się ze mną napije? jak to inne mają, że im kobita jeszcze zagryche postawi? Nie, to nie, nie chcesz pić ze mną ty, będą pić inne. Samaś mnie z domu wygnała.

Potem mielim dzieciaka, chłopak był, Antoś mu było na imię. Ładny dzieciak był — nie można powiedzieć. Tożem częściej w domu siedział, żeby z chłopakiem pobaraszkować; nie chciała pić ze mną — piłem sam. Raz siedzielim wieczorem przy stole, lampa sie paliła. Jażem chłopaka na kolanach trzymał — Wikta coś tam szyła — Antoś baraszkował. Aż tu ci chłopak „Tata“ na mnie powiada, tak ci mnie za serce złapał, żem poleciał na przeciwo i przyniożem pół słodkiej. Taka okazja — jakże tu nie oblać, niech się chłopak z ojcem napije. A Wikta porwała dzieciaka i nie da mu się wódki napić. Chłopak sie drze, łapki wyciąga, bo przecież wódka słodka była — a ta nie i nie. Zaczęlim się szarpać, chłopak upadł na ziemie, coś mu się musiało zrobić, bo zaczon pisać żałośliwie. Żałość mnie zdjena taka, żem nie mógł słuchać tego głosu, wzionem czapkę i poszedem. Od tego czasu chłopak zdrowie stracił. Sąsiadka nasza tam go przemierzała; pomogło, tylko, że na pleckach garb mu się zaczął robić. I potrzebne to było? To jest matka, to sie matka nazywa? Sukaby tak ze swoim szczeniakiem nie zrobiła! To od tego czasu znowu było gorzej. Cięgiem o tego chłopaka się sprzeczałim. A co przyjde do domu — Wikta wciąż swoje: Nie pij, Franuś, nie pij! Tak mi już zbrzydła z tem swoim „Nie pij, Franuś“, żem słuchać tego nie mógł. Raz tożem czapkę wzion i jakim poszedł, tak trzy dni piłem ze zmartwienia.

No i stało sie nieszczęście. Trzeba trafu — kontrol we fabryce — mnie nima. Posyłali do domu — mnie nie było. Nie było jeden dzień, nie było drugi, a na trzeci mnie z fabryki wyrzucili. To jest żona? tak robi żona? Jeszcze ona ciężko za moją krzywdę odpokutuje. Żeby ją Pan Bóg ciężko pokarał! To ja bez te zaraze na pogrzebie mojego kochanego synka Antosia nie był! Ja ji tego nie daruje, póki życia mego. Bo to było tak. Jakem stracił robote, to było jeszcze gorzej, cóż miałem robić? piłem ze zmartwienia. A co przyjde do domu, Wikta do mnie: Nie pij, Franuś, nie pij, jeszcze wszystko dobrze będzie, je-

szcze robota la ciebie sie znajdzie, ino nie pij. Żeby nie sprąła po gębie, żeby mni nawymyślała — ale nie — ona nic, ino patrzy temi ślepiami i fort swoje: nie pij, nie pij. Tak mi już zbrzydła, żem raz poszedł przed siebie, gdzie oczy poniosą, byle dalej, byle w świat. I tak mnie 10 dni nie było. A jakim wrócił — mój jedyny, mój kochany syn Antoś — już na cmentarzu leżał. Moje dziecko drogie — ta ja sie nawet z tobą nie pożegnał bez te trucizne. Ona mnie jeszcze popamięta, będzie ona tego jeszcze gorzko żałowała. Już ja ją nauczę, kto tu pan!

Teraz się wyniosła do swoi matki. Myśli, że po nią pójde, że ją będę prosił, żeby wróciła. Niedoczekanie jej. Tu do moich nóg jeszcze przyjdzie i będzie sie prosiła, żebym ją chciał, jak pies będzie skamlała. Ja ji pokaże, kto tu pan, ja ci pokaże, z kim masz do czynienia! Że też to taka trucizna chodzi po świecie i nikt tego nie sprzątnie. Ady na mszę świętą dałbym z uciechy. Myśli, że po niej płacze. Akurat! Sprzedaje po trochu, co w stancji zostało, i tak pije. Wysprzedam wszystko, nie będę miał za co pić, powiesz sie. Jak już mam bez tę zarazę zginąć marnie — niech zginę.

Ale dobrze mi tak! nie słuchałem matki — taki koniec przyszedł na mnie. Ale ona mnie jeszcze popamięta. Póki życia nie daruje.

*Zofja Olszewska.*

Zduńska Wola.

SKŁADNICA WYDAWNICTW TOW. „TRZEŹWOŚĆ“

Warszawa, ul. Oboźna, 4, m. 28, tel. 5-11-07, Konto P. K. O. 270.

POLECA NOWOŚCI:

ZOFJA HERWICHOWA.

## TEN PIERWSZY TATUŚ

(N o w e l e)

Warszawa, 1938. Dom Książki Polskiej. Str. 181.

Cena 4 zł.

J. MORI.

## JEGO KARJERA

(N o w e l e)

Warszawa, 1938. Gebethner i Wolff. Str. 100.

Cena 3 zł.

## W Ś R Ó D K S I A Ź E K .

## „C l o c h e m e r l e“.

Książka „Clochemerle“ Gabriela Chevallier (Ed. Rieder, Paryż 1937 r., wydanie 31-e), jest powieścią regionalną, opisuje codzienne i ciche bytowanie małego miasteczka francuskiej prowincji Beaujolais, której winnice są wprawdzie mniej znane od szampańskich, ale dają wino doskonałe, szczególnie nadające się do spożycia na miejscu. To też mieszkańcy Clochemerle, właściciele winnic, handlarze wina, restauratorzy, drobni rzemieślnicy i robotnicy, raczą się tym winkiem o każdej porze dnia i nocy w ilościach wprost fantastycznych. Prócz wina w miasteczku piją piółunówkę i likier na czarnych porzeczkach, ten ostatni ma zwolenniczki głównie wśród osób płci mniej lub więcej nadobnej, ale liczba tych odstępców jest znikoma i może nie być brana w rachubę bez naruszenia ścisłości odpowiednich danych statystycznych.

Życie w miasteczku upływa spokojnie; oczywiście, jak gdyby pod powierzchnią, prowadzi się cichą walkę między klerykałami i liberałami, konserwatystami i postępowcami, ale jej objawy zewnętrzne są rzadkie; zresztą podział na te grupy nie jest ściśle rozgraniczony, tworzą się przedziwne kombinacje osób, które w innym klimacie doprowadziłyby niechybnie do starć zupełnie poważnych. Tu nic podobnego. Najważniejszą troską jest pogoda i jej wpływ na winną latorośl i dojrzewanie owocu, najważniejszą uroczystością jest winobranie, a obrzędkiem, odprawianym skrupulatnie przez cały rok, jest wlewanie w siebie takiej ilości spirytusu, jaką tylko wątłe ciało ludzkie może w sobie pomieścić.

Autor „Clochemerle“ utrzymuje nas w ciągu całej powieści w atmosferze alkoholu, w oparze winnym, który roztacza koło wszystkich figur działających. Alkohol jest tu wszechobecny i wszechpotężny. Ci ludzie, którzy piją, nie są zdolni do żadnej szlachetniejszej myśli, do żadnego czynu, wykraczającego poza sferę codziennych, nudnych i płaskich, przyzwyczajęń i obowiązków; nie mają oni żadnych zainteresowań, żadnych porywów.

Jeśli między nimi wyniknie awantura, np. bójka w kościele, możemy być pewni, że napastnik raczył się uprzednio obficie winem miejscowym, a napadnięty też do zupełnie trzeźwych nie należał. Chevallier nie jest moralizatorem, nie ocenia swoich bohaterów; w sposób mistrzowski pokazuje ich, jakimi są i pozwala czytelnikowi na wyrobienie sobie własnego zdania o ich wartości moralnej.

Raz jeden tylko ironja autora staje się niezmiernie wyraźna i zjadliwa, kiedy opisuje wspomnienia o przygodach ex sierżanta Tardivau podczas wojny światowej. Ten skromny podoficer wojsk kolonialnych przed wojną nie wykazał żadnych zasług, a jeżeli był znany, to jedynie z silnego pociągu do napojów alkoholowych. Przeniesiony na front francusko-niemiecki nie zmienia w niczem swoich przyzwyczajęń, zwiększa tylko dawki i to tak skutecznie, że w jednym z ataków pod Verdun w ciągu 30-u godzin przespał całą akcję: zdobycie okopu niemieckiego, kontratak, wyparcie i powrót na pierwotnie zajmowane pozycje.

dokąd po wytrzeźwieniu przyczołgał się we właściwej chwili. Niespostrzeżony przez nikogo, może swobodnie chełpić się, że uczestniczył w boju, że dokonał czynów bohaterskich w szeregach nieprzyjacielskich i że z narażeniem życia powrócił bez zadraśnięcia. Gwiazdki kapitana i odznaczenie w rozkazie armji są słuszną nagrodą dla tego, który „od samego początku przeczuł znaczenie alkoholu podczas wojny“.

„Clochemerle“ jest powieścią regionalną, mimo to rozgrywającą się tam wypadki, ściśle związane z pokrewną alkoholowi dziedziną erotyczną, odbijają się silnym echem nawet w stolicy. Klerykali i liberali sięgają swymi wpływami sfer najwyższych w Paryżu, który interesuje się prowincją w sposób specyficzny i z należytej odległości wydaje mniej lub więcej celowe nakazy i zakazy. Dzięki fatalnemu zbiegowi okoliczności, do czego przyczynia się przywyczajenie ministra podpisywania papierów bez czytania, oraz obyczaje urzędników administracyjnych, wyższych i niższych, którzy do wszelkich czynności urzędowych odnoszą się obojętnie, lub niechętnie, drobny incydent w Clochemerle trafia do najwyższych czynników wojskowych, w wyniku czego do miasteczka zjeżdża wojskowa ekspedycja karna.

Są zabici i ranni, ale o nich mówi się mało. Przecież istnieje cudowne wino, którym można zalać znacznie donioślejsze awantury, niż te, których bezpośrednią przyczyną jest nieodwzajemniona miłość prowincjonalnej piękności.

Dotychczas autor nie wychodził poza ramy epopei, pozwalając sobie jedynie na epizody komiczne. Z chwilą jednak, gdy wiadomość o niepokojach w Clochemerle przenosi się na teren genewski, epopeja zamienia się w groteskę.

W Genewie odbywa się właśnie konferencja rozbrojeniowa pod auspicjami Ligi Narodów (jesteśmy w roku 1923). Francja odgrywa tam wielką rolę i premier francuski, otoczony sztabem urzędników z ministrem spraw zagranicznych na czele, ma zamiar w płomiennym mowie przekonać uczestników konferencji, że pokój wszechświatowy jest nakazem chwili i że tylko natychmiastowe i całkowite rozbrojenie może ten pokój zapewnić. W ich ręku jest przyszłość świata, ich głosy, uchwalające powszechne rozbrojenie zarówno mocarstw, jak i krajów drugorzędnych, skutecznie zapobiegną przyszłym wojnom i klęskom.

Płomienna mowa nie dochodzi do skutku. Na wieść o rozruchach w Clochemerle prezes ministrów w trosce o losy swego gabinetu, zależne od jednej niefortunnej interpelacji polskiej, rzuca wszystko i pierwszym pociągami mknie do Paryża. Propozycję, aby na konferencji zastąpił go minister spraw zagranicznych i przemówił do zgromadzonych członków, odrzuca kategorycznie, gdyż sukces osobisty zastępcy, ewentualnego kandydata na premjera, byłby mu mocno nie na rękę. „Konferencja może poczekać“, mówi, „na rozbrojenie czekamy już pięćdziesiąt tysięcy lat“.

Sprawa jest pogrzebana, konferencja odroczone *ad calendas graecas*, uczestnicy rozjeżdżają się do domów.

Przypomina to wierszyk, jaki Strug wkłada w usta obłąkanego miedzmana floty wojennej Stiera w powieści „Złoty Krzyż“:

„— Pokój?!

Dajże Pan spokój!

Mamy czas, nam się nie śpieszy“.

Do pokoju istotnie nikomu się nie śpieszy, nikt nie myśli o rozbrojeniu, natomiast mówi się głośno i pisze coraz częściej o zbrojeniu, które niektórzy dla ścisłości nazywają dozbrojeniem.

Sierżant Tardivaux i jemu podobni zdobędą niedługo szlify pułkownikowskie, alkohol zatryumfuje, jak zawsze.

### Florence Nightingale.

(Lytton Strachey „Ludzie epoki Wiktorii“, tłum. A. Pański, Warszawa 1938 r.  
Tow. Wydawnicze „Rój“.

Florencja Nightingale należała do rodziny arystokratycznej i bogatej, która stanowczo sprzeciwiała się jej planom poświęcenia się pielęgnowaniu chorych. Nie możemy się zbyt dziwić stanowisku jej rodziców, gdyż w owych czasach (r. 1845) „było rzeczą nie do pomyślenia, aby zamożna kobieta szła jakąś własną drogą i żyła życiem niezależnym; ponadto jeszcze ten właśnie zawód, do którego czuła powołanie, miał szczególnie złą opinię. „Pielęgniarka“ była to prosta stara kobieta, zawsze ciemna, zwykle brudna, często brutalna, nieporządnie i niechlujnie ubrana, pociągająca z butelki albo pozwalająca sobie na gorsze jeszcze wykroczenia. Zwłaszcza pielęgniarki w szpitalach były znane z niemoralnego prowadzenia się; piły niemal wszystkie i trudno było powierzyć im wykonanie najprostszych zabiegów medycznych“. Autor dodaje, że „stan rzeczy uległ zmianie od tego czasu i że zmianę tę spowodowała panna Nightingale — bardziej niż ktokolwiek inny“. Nie ulega wątpliwości, że tak jest istotnie i nie tylko w Anglii. Byłoby niezmiernie ciekawe, aby osoba dobrze z przedmiotem obeznana zechciała nas pouczyć, jakie jest obecnie w Polsce ustosunkowanie sił pielęgniarskich do zagadnienia alkoholizmu w sensie czynnym i biernym, zarówno personelu pomocniczego, jak i jednostek kierowniczych.

Pamięć o Florence Nightingale jest ściśle związana z wojną krymską w r. 1854, kiedy kobieta po raz pierwszy uzyskała dostęp do angielskiego szpitala wojskowego w Skutari. Z piekła i chaosu, jaki tam panował, uczyniła przybytek ładu i spokoju dla chorych i rannych żołnierzy.

„Nie było tam (w szpitalu) łóżek, ani żadnych absolutnie mebli, a jako lichtarzy używano pustych butelek od piwa. Nie było basenów, ręczników, mydła, szczotek, mioteł, tac, talerzy, noży, widelców i łyżek. Nie było pantofli, nożyczek, szczotek do butów, szuwaksu. Nie było opału. Brakowało noszy, łupek, bandaży, nawet najzwyczajniejszych lekarstw“. „Naczelnym lekarz nie rozumiał nic, pogrążony w głupkowskim starczym optymizmie“.

„Miała w sobie cechy bohaterki“, powiada o niej Strachey, ale heroizm jej nie należał do gatunku spotykanego w powieściach i żywotach świętych, był utkany z bardziej surowego materiału. Trzeba było walczyć z niechętnymi i popierającymi lub zwalczającymi się wzajem władzami oficjalnymi, z przenikającą wszędzie nieudolnością administracyjną, z zasadniczymi błędami całego chaotycznego systemu, z partactwem niższych urzędników, ignorancją ministerstw i zabójczą

formalistyką biurokratycznej rutyny, oraz z oficerami, którzy byli zdumieni, że traktuje się żołnierzy, jakby to były ludzkie istoty. Transport chorych i rannych z Krymu był tak źle zorganizowany, że zakrawał na urągawisko; zamiast 4 dni trwał 3 tygodnie. „Na pokładzie lub między pokładami słóczeni byli ranni, chorzy i umierający — ludzie, którym dopiero co amputowano rękę lub nogę, ludzie z odmrożonymi członkami i chorzy na tyfus, ludzie w ostatniem stadjum dyzenterji i cholery, bez łóżek, bez koców, prawie bez ubrania: brakowało lekarstw i opatrunków, nie było pielęgniarek, tylko żołnierze inwalidzi, którzy pod koniec podróży sami byli ledwo żywi, a pożywienie stanowiły solone racje, przeznaczone dla załogi okrętowej. Ładowanie odbywało się w sposób fantastyczny: podpłynąć pod pomost było rzeczą bardzo trudną podczas pogody normalnej, przy burzliwem morzu — niemożliwą. Po wylądowaniu trzeba było prowadzić ludzi pod górę po stromym zboczu pół kilometra do najbliższego szpitala. Ponieważ brak było noszy, żołnierze rekonwalescenci, którzy sami trzymali się jeszcze na nogach, ciągnęli za sobą ciężko chorych.

Skutek walki, prowadzonej przez Florencję z istniejącemi nieporządkami, był zdumiewający. „Chorzy otrzymali lekarstwa, należyte pożywienie, bieliznę i pościel, ręczniki i mydło, noże i widelce, grzebienie i szczoteczki do zębów. Wprawdzie szef służby sanitarnej w Anglii pytał, parszcząc i warcząc, na co żołnierzowi szczoteczka do zębów, ale poprawa trwała nadal. Skończyło się zamieszanie i ciasnota na salach, zapanowały na nich porządek i czystość, zaopatrzenie było obfite i nadchodziło na czas, przeprowadzono szereg ulepszeń w dziedzinie sanitarnej. Żołnierze zaczęli mniej pić“.

Imię Florence Nightingale zostało w pamięci świata związane z heroicznymi i ponuremi dziejami wyprawy krymskiej. W rzeczywistości żyła ona jeszcze pół wieku zgórą po zakończeniu wojny krymskiej (zmarła w r. 1910, mając lat 90). W oczach jej samej wyprawa krymska była tylko incydentem i traktowała ją niemal wyłącznie, jako pożyteczny stopień do swej dalszej pracy. Pomimo, że przez całe miesiące nie opuszczała łóżka, a przez długie lata codziennie spodziewała się śmierci, nie odpoczywała nigdy, dyktowała, zarządzała, organizowała, walczyła. Warunki zdrowotne w armji podczas pokoju, reorganizacja departamentu sanitarnego ministerjum wojny, wyszkolenie lekarzy wojskowych, przepisy szpitalne, oto były zadania, jakie sobie postawiła. Trudności były niesłychane. „Wszak nie kierowała ministerjum wojny z bardzo prostej przyczyny: była kobietą. Kierował niem lord Panmure (przyczyny tego były jednak mniej oczywiste)“. Gdy panna Nightingale złożyła sprawozdanie o katastrofalnym stanie szpitali i wykazywała potrzebę reform sanitarnych w armji, minister uznał, że w całej tej sprawie powinien zachować się „neutralnie“.

Nie był zresztą odosobniony. „Za nim sunęła cała falanga zawodowych konserwatystów, zajadłych zwolenników rzeczy przebrzmiałych, bałwochwalców i ofiar tradycyjnej rutyny ministerjum wojny“.

Pierwszem zwycięstwem było mianowanie Komisji królewskiej dla zbadania stanu zdrowotnego, ale ustalenie składu komisji i jej kompetencji trwało przeszło pół roku. Gdy opór się przedłużał, panna Nightingale oświadczyła, że „o ile za 3 miesiące od dnia dzisiejszego nie na-



stąpią wyraźne i konkretne zapowiedzi zmian, ogłosi drukiem to, co widziała w czasie kampanji krymskiej i propozycje reform“.

Po 6-ciu miesiącach własnoręcznie napisała na 800 dużych arkuszach zasady reform, omówiła masę spornych zagadnień, podała olbrzymią ilość informacji z dziedziny wojskowości, higjenu, statystyki i architektury. Memorjał ten stał się podstawą raportu ostatecznego Komisji królewskiej i jeszcze dziś stanowi jeden z najbardziej autorytatywnych dokumentów w dziedzinie administracji sanitarnej armji.

Panna Nightingale nie weszła w skład komisji. Autor dodaje, że „w stosunkach dzisiejszych weszłaby oczywiście sama“ (nie jest to takie pewne). „W owych czasach jednak kobieta, występująca w tego rodzaju roli, byłaby czemś niesłychanem i nikomu nie przyszło nawet do głowy proponować taką nominację. Pozostawała zatem za kulisami i musiała prywatnie pouczać przewodniczącego, b. ministra wojny, i dzielić się z nim, oraz z innymi swoimi przyjaciółmi w Komisji, wielkimi zasobami swojej wiedzy fachowej. Było nawet rzeczą wątpliwą, czy p. Nightingale może, nie naruszając prawideł przyzwoitości, zeznawać przed Komisją w charakterze świadka; zgodzono się w końcu kompromisowo, że skromność pozwala tylko na udzielenie pisemnych odpowiedzi na pisemnie zadane pytania“. Prace Komisji zajęły 6 miesięcy, dalszych 6 miesięcy trwało wymuszenie na ministrze wojny zarządzeń, wprowadzających w życie zalecenia Komisji. Ostatecznie zostało to jednak osiągnięte, choć minister w ostatniej chwili zasłaniał się reumatyzmem, reumatyzmem rąk, który nie pozwalała mu pisać. „On ma zawsze swój reumatyzm pod ręką“ zauważyła zjadliwie panna Nightingale.

Charakterystyczna była sprawa budowy szpitala wojskowego w Netley. Już w planach p. Nightingale zauważyła, że „powtarzają się w nich wszystkie najgorsze błędy przestarzałego i fatalnego systemu konstrukcyj szpitalnych“. Minister nie uwzględnił uwag i budowa została rozpoczęta. P. Nightingale przekonała o konieczności przebudowy szpitala premiera, lorda Palmerstona. Pod jej wpływem wystosował on do ministra wojny, lorda Panmure, list, w którym pisał: „Wydaje mi się, że w Netley względy wygody i dobra pacjentów poświęcone zostały zaspokojeniu próżności architekta, którego jedynym celem było wzniesienie budynku, wyglądającego imponująco od strony rzeki w Southampton... Proszę więc wstrzymać wszelkie dalsze prace nad budową aż do należytego rozpatrzenia sprawy“. List był kategoryczny i pochodził od premjera, ale minister puścił w ruch całą swoją sztukę zwlekania. Lord Palmerston przestał się sprawą interesować i ostatecznie główny szpital wojskowy w Netley został tryumfalnie wzniesiony wbrew zasadom higjenu z pokojami bez wentylacji i z oknami sal, wychodzącymi na północo-wschód.

Właściwy okres reform, zapoczątkowanych przez p. Nightingale, to lata 1859 — 1861, gdy ministrem wojny został ponownie Sydney Herbert, osobisty przyjaciel Florencji i zwolennik szczerzy reform. „Koszary i szpitale zostały poprzerabiane, otrzymały po raz pierwszy należyłą wentylację, oświetlenie i ogrzewanie. Otrzymały też wodociągi, które naprawdę dostarczały wody, oraz kuchnie, w których można było gotować. Ustalono wielką i nową zasadę, że obowiązkiem władz jest nie tyl-

ko opiekowanie się chorymi, ale w niemniejszym stopniu dbanie o to, aby żołnierze nie chorowali“.

W r. 1859 p. Nightingale wydała „Uwagi o szpitalnictwie“, które zrewolucjonizowały teorię konstrukcji szpitali i ich prowadzenia. W rezultacie nie istnieje dziś w Anglii żaden wielki szpital, na którym nie byłoby znać wpływu jej indywidualności. Jako założycielka szkoły dla pielęgniarek przy szpitalu św. Tomasza (1860 r.), stała się twórczynią nowoczesnego pielęgniarstwa. „Szkoła wymagała tyle inicjatywy, nadzoru i walki, że wystarczyłaby sama jedna, aby zaabsorbować życie co najmniej dwu ludzi normalnego pokroju“.

W r. 1872 przestaje się zajmować sprawami armji, energję jej pochłaniają wyłącznie zadania natury ogólniejszej. Wykonała olbrzymią pracę w dziedzinie reformy szpitalnictwa, zdołała poprawić warunki w przytułkach i domach pracy. Jej poglądy znalazły wyraz w zaleceniach Komisji, zwołanej w r. 1909 dla zlustrowania instytucyj Prawa o ubogich.

Pracą, najbliższą jej sercu, która stanowiła jej najbardziej wyłączne i osobiste dzieło, była to praca nad szkoleniem pielęgniarek. W chwilach najgłębszej depresji, kiedy sukcesy życiowe straciły wszelką wartość, myślała o pielęgniarkach — i to sprawiało jej ulgę.

Dzięki energii, silnej woli i zdolnościom organizacyjnym, znajomości zasad higjeny i umiejętności wprowadzania ich w czyn, ta niezwykła kobieta uratowała życie tysiącom chorych i rannych żołnierzy angielskich, zmieniła również zasadniczo sposób budowy, prowadzenia i zaopatrywania szpitali wojskowych i cywilnych w sprzęt sanitarny podczas pokoju. Była pionierką zasad profilaktycznych, które od tej pory powoli zaczęto stosować w praktyce nie tylko w Anglii, ale na całym świecie.

*Marja Sokalówna.*

## OSTATNI Z RODU.

*(Dokończenie)*

### IV.

Chrzcziny odbyły się cicho, nie było gości, nie bito we dzwony, uroczystość przeszła bez rozgłosu „ze względu na zdrowie matki“ — mówiono — i na tem się skończyło. Tylko jakiś mrok zaległ pałac Czahryński, ludzie przesuwali się, jak widma, szeptano po kątach. Hrabina-matka wyjechała zgnębiona i obrażona — jakby ten mały wnuczek był temu winien...

Był on żywą zniewagą dla całego rodu Czahryńskich. Alfred chodził zniechęcony, pełen pretensji do żony, do doktorów, do całego świata... A Halszka?

Halszka nie rozumiała, o co mają do niej wszyscy urazę, czem zawiniła. Tak mijał czas. Lekarze stwierdzili, że mały jest zdrowy zupełnie, tylko powoli się rozwija, miał już dwa lata, a nie wymawiał ani jednego słowa. Jego drobne usteczka nie wypowiedziały nigdy „mama“

wydawały tylko jakieś nieartykułowane dźwięki. Był cichy, spokojny, z brzydkiej, prawie potwornej twarzyczki — patrzyły tylko piękne błękitne oczy, patrzyły z jakimś osłupiałym, smutnym wyrazem.

— Trudno, myślała nieraz Halszka, będzie nieładny, nawet bardzo, ale za to rozwinę jego umysł, dam mu żądzę wiedzy, zaszczepię inne zainteresowania w jego młody umysł. Będzie dobry, mądry, pożyteczny dla kraju, nie tak, jak jego...

Bieg myśli przerywało westchnienie...

Minął znów rok... Dziecko z trudem chwyciło dźwięki, było dziwne, nie biegało, nie bawiło się. Całymi godzinami siedziało bez ruchu, ze wzrokiem wlepionym w przestrzeń. Lekarze radzili, leczyli, medytowali, ale żaden nie mógł, czy też nie chciał, postawić djagnozy.

Wtedy Halszce przyszła pewna myśl do głowy — czuła, że nikt nie chce powiedzieć jej prawdy, że kryją coś przed nią, że niesłusznie zwalają na nią cały ciężar winy urodzenia takiego potworka, tego nieudanego dziedzica nazwiska i fortuny. Ale ona musi wiedzieć prawdę, całą prawdę!...

Obiło się jej o uszy, że w Krakowie jest słynny profesor, nie lubiany, gdyż mówi wszystko bez ogródek, brutalny, piętnujący bez pardonu fałsz, przesady, zakłamanie społeczne.

Do takiego pojedzie i jego zapyta.

I pojechała. Pojechała z dzieckiem i pielęgniarką.

\*

\*

\*

W Krakowie zapisała się na listę przyjęć, jako pani Wolska, bała się, że, usłyszawszy znane tak nazwisko, słynny lekarz będzie w kłopotcie wyznać całą prawdę, a z jakąś panią Wolską można się nie krępować. Musiała czekać trzy dni na przyjęcie — tylko trzy dni dlatego, że była przyjezdna. O oznaczonej godzinie dzwoniła z bijącym sercem do drzwi wielkiego sanatorium. Była blada i ledwie trzymała się na nogach. Panna Marja z Witeczkiem, przestraszona też i zaniepokojona, szła za nią.

W poczekalni zastała już sporo osób, zaczęła żałować, że nie wewała profesora do hotelu, ale w takim razie nie mogłaby zachować swego incognita.

Gdy wreszcie wywołano jej numer, weszła do gabinetu — z pod nastroszonych brwi wybiegło ku niej bystre, badawcze spojrzenie.

— Pani Wolska? o co chodzi? o dziecko, czy o panią?

— O dziecko, panie profesorze, chcę prosić o zbadanie mego synka.

Opowiedziała rzeczowo o ciężkim porodzie, o symptomatach, jakie ją niepokoją, o usposobieniu dziwnem chłopca, tylko o ojcu nie wspominała ani słowa. Słuchał ją uważnie, coś notował, potem rozpoczął badanie, mierzył głowę, wyciągał ręce i nogi, zaglądał pod powieki, macał, naciskał, a wielkie oczy chłopczyny patrzyły tępo przed siebie, bez żadnej myśli ani wrażenia.

Profesor zmarszczył czoło i powiedział szorstko:

— Panna może już wyjść z dzieckiem i poczekać.

— Niech panna Marja wraca do hotelu, ja niedługo przyjdę.

Gdy drzwi się za nią zamknęły, Halszka podniosła głowę i cicho zapytała:

— Więc? Panie profesorze...

— Teraz muszę zobaczyć, jak się ma sprawa z panią... proszę się rozebrać.

Po bardzo starannem i długim badaniu kazał się Halszce ubrać i powiedział swoim szorstkim i nieprzyjemnym głosem:

— Jest pani zdrowa, jak koń — ani śladu nerwów, hysterji... nie rozumiem więc, skąd u takiej kobiety wzięło się takie dziecko! Przecież pani stworzona do rodzenia co rok zdrowych, normalnych dzieci. A ten ciężki poród wywołany był zbyt dużą głową dziecka, przecież ono jest...

— zawiesił głos.

— Co jest? — zatrzęsły się jej wargi.

Profesor spojrział na nią ze współczuciem.

— Co tu owijać w bawełnę... Chce pani prawdy?

— Dlatego tu przyjechałam do pana profesora, dotąd okłamywa-  
no mnie, ja sama nic nie rozumiem.

— A więc — dziecko jest niedorozwinięte i takie już zostanie —  
kretynizm zupełny, pomiary czaszki wykazują, że...

Halszka siedziała nieruchomo z przechyloną w bok głową...

— No, no, niech pani nie zemdleje... ach, te kobiety! chcą usłyszeć  
prawdę, a potem... proszę powąchać, no — już, dobrze...

— Panie profesorze, czy na to niema ratunku, mam duże środki,  
mogę go leczyć...

— Muszę znaleźć przyczyny... ale, ale, nic mi pani nie powie-  
działa o ojcu... wiele lat? Czy obarczony dziedzicznie? Co robi? jaki za-  
wód? jaki tryb życia?...

Młoda kobieta odetchnęła głęboko.

— Ja też muszę powiedzieć wszystko... ja — skłamałam, jestem  
Czahryńską, żoną Alfreda Czahryńskiego.

— A no tak — ucieszył się profesor — teraz jestem w domu, ro-  
zumie się... ktoby o nim nie słyszał! Ach, te nasze zdegenerowane rody!  
Zepsuta krew całych pokoleń... — grzmiał dalej — a i on sam dobrze  
zarobił na takie skutki.

— Czy pije?

— Dużo, a przed ślubem nawet bardzo dużo.

— No, tak — teraz wszystko jest zrozumiałe. Typowe dziecko  
pijaka, poczęte w oparach alkoholu... Niech się pani nie gniewa, czy  
przyjdzie do mnie hrabina, czy szewcowa, z każdą jednakowo gadam.  
I wy, ludzie niby inteligentni, uczycie się Bóg wie czego, napychacie mó-  
zgi masą niepotrzebnych rzeczy, znacie pięć, sześć języków, ale nie ma-  
cie zielonego pojęcia o elementarnych zasadach medycyny, o eugenicie,  
o dziedziczności i t. d. I wydają młodą, zdrową dziewczynę za takiego  
zgnilca, który robi ją matką takich synów... To zbrodnia!... Idjotyzm,  
niemota, epilepsja — oto skutki... Niechno pani więcej nie rodzi, albo  
niech pani rzuci do diabła tego męża i wyjdzie za mocnego, zdrowego  
chłopa, a wtedy będzie miał kraj zdrowych, normalnych obywateli!

Ogłuszona Halszka słuchała potoku wymowy profesora, który  
wsiadł na swego ulubionego konika i mówił dalej o alkoholizmie, o prze-

stępczości, o tem, że państwo winno stanąć na straży zawierania małżeństw przez alkoholików, że zarówno zbrodniarzy, jak i nałogowców należy sterylizować, aby nie powiększali zastępów wykolejeńców, przestępców i kretynów.

Doktór mówił długo i przekonywująco, Halszka słuchała, w głowie jej huczało od straszliwych wywodów profesora... czuła, że załamuje się w niej wszystko, nadzieja, wiara w lepsze jutro, resztki przywiązania do Alfreda, widziała w nim teraz zbrodniarza, może bezwiednego, ale zbrodniarza. Złamana opuściła gabinet profesora.

\*

\*

\*

Po drodze kupiła kilka broszur i książek o alkoholizmie, chciała dokładnie zapoznać się z tem zagadnieniem. Gdy wróciła do hotelu, przywitała ją pielęgniarka słowami:

— Pan hrabia przyjechał.

Drgnęła.

Na progu saloniku stał Czahryński, zbliżył się szybko, chcąc ją powitać, Halszka cofnęła się przed jego pocałunkiem z nieukrywanym wstrętem.

— Co się stało, Halszko... Jak ty wyglądasz? Co powiedział profesor?...

— Co się stało? To—że cię nienawidzę, ty... ty... Dziecko—idjota, kretyn, nieuleczalny, syn alkoholika... zagadka rozwiązana, to wina twoja, tylko twoja...

— Przesadzasz — szepnął zmieszany — ten konował napłócił ci niestworzonych rzeczy...

— Ah! tak... więc masz tu książki, nazwiska sław europejskich, zdjęcia, rysunki... Przekonaj się!

Rzuciła mu pod nogi paczkę książek, które rozsypały się po podłodze.

— Ależ — Halu...

— O, jak ja cię nienawidzę!... Tylko dlatego cię nie porzucam, że to nieszczęsne dziecko nas łączy... Ale pamiętaj, od dziś nie przekroczysz nigdy progu mej sypialni, nie chcę być matką obłąkańców, lub kalek... Zrozumiałeś?... A teraz wyjdź... Chcę być sama.

Czahryński z opuszczoną głową opuścił pokój. Zamknęła drzwi na klucz i z głuchym, rozpaczliwym łkaniem rzuciła się na łóżko...

## V.

Upłynęło znów trzy lata.

Był piękny dzień majowy, stare lipy szumiały w parku, po gładkiej tafli jeziora pływały białe i czarne łabędzie... a płaczące wierzby przeglądały się w zwierciadle wód ciche, zadumane...

Wśród gałęzi trzepotały się i ćwierkały ptaki, a w krzakach bzu miłośnie wywodził trele słowik, zachłystując się uczuciem, z oddali odpowiadał mu drugi, trzeci... Park pełen był woni, śpiewu, słońca...

Na ławce, wpatrzona w daleki horyzont, siedziała młoda kobie-

ta, była blada i smutna. Ból, jak płomień, przetrawił jej duszę, czuła się samotną, opuszczoną i bezbrzeżnie nieszczęśliwą.

Radosny krzyk przyrody, rozbudzony wiosennymi promieniami do życia, nie mógł wywołać najłżejszego uśmiechu na jej usta. Nie, nie ma już sił, nie może walczyć z tą codzienną troską, nie może patrzeć na męża, sprawcę tych nieszczęść, nie może patrzeć na dziecko, biedne, bezmyślne stworzenie, które w dodatku...

Tak, spełniły się słowa krakowskiego profesora... ognistemi głoskami wyrwały się w jej pamięci; skutki alkoholizmu—obłąd, zidjocenie, epilepsja...

Mały Witold już od paru lat miewa ataki, te straszne ataki z pianą na ustach, z wywróconemi w głąb źrenicami, z niesamowitemi drgawkami całego ciała... Słyszy ciągle uderzenia głowy o ziemię, zanim zaniosą go na łóżko, słyszy chrapliwy oddech — i nie może znieść już tego widoku.

Przychodzi jej dzika myśl do głowy, czy nie byłoby lepiej, gdyby to bez winy cierpiące stworzenie Bóg zabrał... takie życie, to przecież męczarnia dla niego, dla otoczenia, dla niej zwłaszcza... I nic nie można pomódz... Napróżno jeździli zagranicę, do najslynniejszych lekarzy, do pierwszorzędných sanatorjów europejskich — nic się nie polepszyło, największe „powagi“ orzekły, że stan jest beznadziejny.

Nic, nic, tylko nie myśleć, bo każda myśl jest jadem, zatruwającym duszę, każde spojrzenie na małego męczennika potępieńczą męką, za którą czai się obłąd... Załamała ręce i duże krople zaczęły spływać po jej wybladłych policzkach... Przez mgłę łez nie zauważyła nawet wielkiego bernarda, który zbliżał się powoli i ździwionym wzrokiem wpatrywał się w panią, wreszcie wdzięcznym ruchem położył duży łeb na jej kolanach i zaczął lizać jej splecione dłonie. Ta psia pieszczoła rozżaliła jeszcze bardziej Halszkę; wtuliła twarz w miękką szerść, płacząc długo i żałośnie...

— Dobry, kochany Cezar... poczciwy piesek, ty jeden jesteś moim przyjacielem, bo ludzie są źli, źli...

Uspokoiła się trochę, płacz przyniósł jej ulgę, Cezar ułożył się u jej nóg — zaczęła robić bilans swego życia, czem zawiniła, w czem tkwił błąd?...

Tu przypomniała sobie, jak brat opowiadał jej niedawno o Jurku, z którym spotkał się w Warszawie, jak ten dopytywał się bardzo serdecznie o nią, jak bardzo się martwił jej nieudanem małżeństwem. Przez cały ten czas widzieli się zaledwie parę razy, gdy przyjeżdżała odwiedzić ojca... jaki był zawsze troskliwy, dobry... a wtedy, na werandzie o zmroku... gdy zapytała, czemu się nie żeni — tak dziwnie na nią popatrzył i odparł pośpiesnie: „Nie, Halszko, to się nigdy nie stanie“...

Tak, teraz rozumie, ten młody, dzielny chłopak kochał ją więcej niż braterską miłością, niósł jej całe swe czyste serce w darze, a ona o tem nie wiedziała, poszła za zwodniczym mirażem, który zwał się Alfredem, był miły, wytworny i nic poza tem... a ona miała lat dwadzieścia, tęsknotę za miłością... za dziećmi...

Czemu, czemu dała się opętać złudzie, czemu wpadła w sidła, zastawione przez Czahryńskich, przez tę dumną arystokratkę, pragnącą za wszelką cenę przedłużyć ród, kończący się na jej jedynaku, i on —

mąż... spotkał ją, taką inną pośród setek kobiet, taką niewinną i czystą...

Przypomniał się jej wiersz, ongiś czytany... jakaś scena balowa: zużyty, zepsuty mężczyzna spotyka taką białą dziewczynę — czuje zainteresowanie... jakto było?

„Czyżby w zamglonej duszy, w mdłym ciele  
Promień sfer wyższych zabłysnąć miał?  
Czyż ziemski ogień rozlał w popiele?  
Wszak młodych, pięknych znał już tak wiele...  
Tak!... lecz niewinnych zbyt mało znał“...

I porwała ją nagła, niepohamowana tęsknota za jasnym spojrzeniem Jurka, za jego zdrową, opaloną twarzą, za jego silnym ramieniem...

— Boże, co się ze mną dzieje? pyta z przerażeniem i czuje, że tu wszystko jest jej nienawistne i obce, że przeszła obok szczęścia, które musnęło ją swem skrzydłem, a ona tego nie zauważyła.

— Głupia, głupia, po tysiackroć głupia... — szeptała z goryczą, aż Cezar spojrział na nią pytająco i ziewnął szeroko.

— I co teraz? co dalej? Więc już do śmierci ma dźwigać to straszliwe jarzmo? Więc wiecznie będzie się błąkała po tych zamkowych salonach sama, opuszczona; Alfreda przecież nie widuje — to i lepiej, on ciągle wyjeżdża, bawi się, zalewa zmartwienie konjakiem. Ma kochanki, bo przecie nie może żyć, jak anachoreta, tak kiedyś jej powiedział po daremnych próbach prześląganania jej i powrotu do dawnych praw.

Nie, nie, raczej śmierć!... brzydzi się nim, czuje wstręt fizyczny i moralny... nigdy!...

A matka... hrabina Sylwia... rozumie teraz jej grę, ta kobieta o niesłychanej dumie, o żelaznej woli w przeprowadzaniu swoich planów — czyż nie dlatego sprowadziła tego młodego praktykanta, dalekiego kuzyna, czyż nie popychała ich ku sobie, nie ułatwiała im sam na sam? chce mieć wnuka, choćby kosztem godności i honoru swego syna, choćby kosztem jej grzechu!...

Co za ohyda! Co za bagno!...

Liczyła na to, że młoda kobieta, zdrowa i normalna, załamie się, krew upomni się o swoje prawa, młodzieniec z tego skorzysta i — ród Czahryńskich nie zaginie!...

No — i nie udało się... przerachowała się madame la comtesse...

Nagły szelest, odgłos przyspieszonych kroków.

— Pani hrabino... przepraszam... Znów Witunio zachorował...

Jak za dotknięciem iskry elektrycznej zrywa się Halszka — biegnie, bo tam męczy się jej synek, to biedactwo, które pomimo wszystko przecież kocha...

Czahryński był z matką w dziecinnym pokoju, gdy mały dostał ataku, nie mógł na to patrzeć, uciekł jaknajdalej, do galerji obrazów w najbardziej oddalony kąt pałacu, i rzucił się na fotel.

Ze ścian patrzyły nań pełne powagi oblicza przodków: kasztelanów i wojewodów, hetmanów i kanclerzy, patrzyły z pogardą na nędz-

nego potomka wielkiego rodu, który opuścił w tej chwili głowę i zatkał uszy, bo mu się zdało, że i tu słyszy bijącego się w ataku epileptycznym — ostatniego z rodu.

Z szybkością kinematograficzną przesuwano się przed nim całe życie, złożone z orgji, pijatyk, zabaw — i cały żal i rozpacz zamknął w kilku słowach, które wybiegły mu z wściekłością na usta:

— A żeby to wszyscy diabli wzięli!...

Zerwał się, poszedł szybko do swego gabinetu, zadzwonił gwałtownie i rozkazał:

— Przynieś Martela, tego, trzy gwiazdki — zaraz!...

\*

\*

\*

Atak był niezwykle długi... Doktor, pielęgniarka, dwie kobiety — babka i matka krzątały się koło chorego, który wyczerpany, bezsilny, leżał na wykoronkowanej pościeli.

Tym razem choroba się przeciągnęła.

Napróżno sprowadzano coraz to nowych lekarzy, napróżno robiono konsylja, z dnia na dzień dziecię gasło — i wreszcie w prześlicznym poranek wiosenny zamknęło powieki nazawsze.

O ile za życia tuszowano jego istnienie, trzymano zamkniętego w ciszy dziecinnych apartamentów — tylko głuche wieści chodziły o jego chorobie i niedorozwinięciu — o tyle teraz Czahryński wystąpił z całą paradą. Na pogrzeb zjechała się bliższa i dalsza rodzina, okoliczni sąsiedzi, dziesiątki księży śpiewało nad trumną dziedzica majoratu, ostatniego z Czahryńskich; gromady chłopów kupiły się na cmentarzu, gdzie we wspaniałych grobowcach rodzinnych spoczywały prochy dziadków — a teraz chowano mizerne szczątki ofiary nałogu ojca. Były mowy pełne fałszu i obłudy, w których żałowano przedwcześnie zgasłego dziedzica wielkiego imienia, który rokował tak wielkie nadzieje... A potem... potem był wspaniały obiad, podczas którego humory się poprawiły, ludzie zrzucili z siebie sztuczną boleść, jak niepotrzebny łachman, „nieszczęśliwy“ ojciec upił się do nieprzytomności, a matka w połowie obiadu oddaliła się do swoich apartamentów, tłumacząc się niezdro-  
wiem.

Nad wieczorem wszyscy się rozjechali i wielka cisza żałobnemi skrzydłami otuliła Czahryński pałac.

\*

\*

\*

Nazajutrz w południe Halszka poprosiła świekrę i męża na chwilę rozmowy.

Zaniepokoił się oboje.

A gdy weszła do gabinetu, blada, w kirach, ze stanowczym wyrazem twarzy, Alfred poczuł dreszcz i coś, jakby przecucie, podniosło się z dna duszy.

— Mam nadzieję — zaczęła Halszka — że porozumiemy się szybko i spokojnie. Tylko to nieszczęsne dziecko trzymało mię tutaj, do ostatniej chwili spełniłam swój ciężki obowiązek — teraz odejdę, odejdę nazawsze...



— Nie rozumiem, co mówisz — wycedziła hr. Sylwia — więc...

— żartujesz chyba, Halszko — przerwał matce Alfred — pomimo wszystko, pomimo, że mnie odrzuciłaś tak okrutnie, kochałem cię zawsze, byłaś jedyną kobietą, która...

— Która nie przeszkadzała ci wieść życie, do jakiego przywykłeś. Kochałeś mnie?... A czy poświęciłeś dla tej miłości jednego pokera, jeden kieliszek wina, jedną noc spędzoną na hulance? Nie, nieprawda, nie kochałeś mnie, byłam tylko wygodną żoną, potem dobrą reprezentantką twego domu, nic więcej...

— Ale o co ci właściwie chodzi?

— O co chodzi? Chcę być wolną, chcę żyć, jak normalny człowiek. Jestem młoda i zdrowa, chcę być żoną i matką prawdziwą... nie chcę w tych murach zamierać z dnia na dzień, mam prawo do życia i jego radości — a tu jest grób, pustka, noc...

— Halszko, może masz słuszość, może zawiniłem wobec ciebie, ale nie wiedziałem...

— Nie wiedziałeś?!... Wy nigdy nic nie wiecie!... Nie wiecie, że pijaństwo nie tylko zabiera wam zdrowie, przytępia umysł, zabija zdolności, ale mści się na waszych dzieciach w okrutny sposób... Miałaś chyba naoczne dowody... I dlatego proszę cię, abyś nie stawał żadnych przeszkód i zgodził się na rozwód.

— Nigdy! nigdy na to się nie zgodzę!... — zawołała hr. Sylwia — taki skandal! nazwisko nasze na ustach gawiedzi...

— Wasze nazwisko było zawsze na ustach gawiedzi, gdy Alfred przez szereg lat tracił pieniądze w krajowych i zagranicznych spelunkach, gdy przegrywał bajońskie sumy w Monte Carlo, co nazwano swego czasu tak dowcipnie „Czwartym rozbiorem Polski“. Nazwisko to szargało się po szantaniach i nocnych lokalach, a przedstawiciel jego kapał w szampanie kokoty, podczas, gdy w kraju była nędza, głód... Moje więc odejście będzie mniejszym skandalem.

— Czy do kochanka tak ci się śpieszy?... — zjadliwie spytała Czahryńska.

— Nie, pani wie dobrze, lepiej niż ktokolwiek, że nie miałam i nie będę miała kochanków. Wracam do ojca — i zapewne wyjdę za mąż, bo pragnę mieć dzieci i trochę szczęścia.

— Co za niewdzięczność!...

— Niewdzięczność?... — zaśmiała się gorzko Halszka. — Więc mam być wdzięczną pani, że raczyłaś mnie wybrać, biedną, zdrową, niedoświadczoną dziewczynę na matkę przyszłego dziedzica? O to ci tylko chodziło. Miałam być reproduktorką — nic więcej — rasowa klacz z dobrego stada! Za to daliście mi dobrobyt, pałace, niedołężnego, zapitego męża i dziecko — idjotę. Zaiste, mam za co być wdzięczną.

Czahryński siedział wciąż milczący z pochyloną głową.

— Przecież Alfred nic nie traci — ciągnęła — od lat nie jestem jego żoną... więc może się znajdzie znów jakaś młoda, głupia dziewczyna, którą olśnią wasze parantele, majoraty — i zgodzi się zostać hrabiną Czahryńską. Ale ona wkrótce zmądrzeje, dobrzy ludzie nauczą ją rozumu i wówczas da wam potomka zdrowego i normalnego, a że będzie podobny do lekarza domowego, oficjalisty, lub parobka — to przecie bagatela!... Ród Czahryńskich nie zaginie!...

— Milcz! milcz! nie poniżaj mnie tak okropnie... — zajęczał Alfred.

— Nie mogę dłużej słuchać tej bezsensownej gadaniny — podniosła się z dumą stara Czahryńska, — róbcie, co chcecie...

I nie skinąwszy nawet głową, odeszła majestatycznie.

— Więc proszę o ostatnie słowo i auto na stację, bo mogę się spóźnić na pociąg.

— Halszko, miej litość... czy tak bardzo mnie nienawidzisz? Więc to nieodwołalne?

— Tak, Alfredzie, nieodwołalne! Zbyt wiele krzywd spotkało mnie w tym domu. Teraz chodzi o to, czy dobrowolnie się zgodzisz i winę przyjmiesz na siebie?

— Zrobię wszystko, czego sobie życzysz, tylko nie odchodź stąd z tym błyskiem nienawiści w oczach... Jeszcze jedno, pozwolisz chyba, że cię zabezpieczę...

— O tem nie ma mowy, u ojca pracy i chleba mi nie zbraknie. Z tego domu zabieram tylko moją starą niańkę, Cezara, jeżeli pozwolisz; był on jedynym moim przyjacielem i powiernikiem...

— Halu, Halu... jak strasznie mię ukarałaś!... Co ja teraz będę robił?

— Co robiłeś dotychczas... a może... może zejdziesz na ciebie objawienie i zrozumiesz, że nie wolno marnować ani swego, ani cudzego życia...

— Nie podasz mi ręki na pożegnanie?

— Żegnaj! będę się starała zapomnieć i przebaczyć...

\* \* \*

Po szosie pędzi wytworna limuzyna...

Zapada zmrok...

Wśród zbóż ćwierkają polne koniki, wiatr gnie łany, a one szumią kojąco.

Młoda kobieta w żałobie wpatruje się w purpurowy zachód słońca i — oddycha głęboko z ulgą...

Nie odwraca nawet głowy za siebie...

Przed nią — nowe życie.

*J. Mori.*

## URYWKI Z PAMIĘTNIKA.

(Dokończenie).

Zaopatrywanie się w „leki“ w ilości mi potrzebnej było coraz trudniejsze, a ceny rosły...

Po roku postanowiłem spróbować jeszcze raz wyleczyć się, lecz tym razem bez pomocy lekarzy. W tym celu pojechałem do rodziców. Rodzice mieszkali wówczas na kresach, gdyż ojciec dowodził tam dywizją. Oddałem ojcu strzykawkę i cały posiadany przy sobie zapas morfiny i kokainy i pod nadzorem matki rozpocząłem kurację, zmniejszając

stopniowo dawki. Kierownikiem kuracji był znany w mieście lekarz, przyjaciel moich rodziców, wobec czego miejscowe apteki wydawały mi morfinę bez żadnych zastrzeżeń. Ten właśnie lekarz poradził mi używać większej ilości alkoholu, jako antydotum. Ponieważ nigdy nie czułem wstrętu do napojów alkoholowych, pochwyliłem skwapliwie jego radę. Natychmiast zaopatrzyłem się w większy zapas ostrej wódki (pieprzówki i piołunówki) i, przy każdym posiłku, poczynając od rannego śniadania, wypijałem dobrą porcję. Przy czterech posiłkach dziennie, używałem około 0,5 litra wódki, ku wielkiemu zgorzeniu mego ojca, który raczej należał do obozu abstynentów: pił tylko wino i to w wypadkach, gdy wymagały tego stosunki towarzyskie.

Przesiedziałem u rodziców blisko rok, lecz rezultat okazał się nie lepszy, niż po kuracji, odbytej w szpitalu, gdyż opuszczając dom rodziców, używałem już przeszło 2,0 morfiny i 1,5 kokainy, oraz około 0,75 litra wódki dziennie. Zapewniwszy rodziców, że jestem uzdrowiony, powróciłem do stolicy.

Trzymałem się stale porcji 6 — 7 zastrzyków dziennie à 0,25 — 0,30 każdy. Kokainy wstrzykiwałem około 0,5, oraz wypijałem około litra wódki dziennie, przyczem pijany nigdy nie byłem.

Apetyty moich dostawców ciągle wzrastały. Gotówka topniała niczem воск. Postanowiłem znaleźć pracę. Z nielicznego grona pozostałych znajomych, wyszukałem kogoś wpływowego i za parę dni otrzymałem bardzo przyzwoitą posadę. Po paru tygodniach, dzięki opłakanym wynikom mej pracy, przeniesiono mnie na niższe stanowisko. Wyczuwałem, że nie „wylewają“ mnie jedynie przez wzgląd na mego projektora.

Pewnego dnia wieczorem, jeden z moich „dostawców“ nie zjawił się na umówione spotkanie. Przeczekałem na niego do późnej godziny. Mój zapas był na wyczerpaniu. Następnego dnia z rana, zamiast do biura, poszedłem szukać morfiny i kokainy. Znalazłem dopiero po południu i to nie dużo. Tego dnia w pracy nie byłem. Po paru dniach powtórzyła się podobna historia. Tym razem jednak szukałem „leków“ całe dwa dni. Powróciłem do domu późno w noc. Nazajutrz wstałem o godz. 10-tej rano i wprost z łóżka zabrałem się do zastrzyku. Dopiero wstrzykiwałem pod skórę zawartość drugiej strzykawkki, gdy zapukało do drzwi mego pokoju. Przedemną zjawił się mój szef z biura; na trzeci dzień mojej nieobecności przyszedł dowiedzieć się, co się ze mną dzieje...

Niedługo straciłem posadę.

Następne dwie posady, w prywatnych instytucjach, miały podobny przebieg i zakończenie. Przy dawkach 0,25 — 0,30 każda, do biurowej pracy nie nadawałem się, ze względu na ociężałość umysłu i brak energii, oraz absolutne zatracenie poczucia wszelkiej odpowiedzialności w obliczu możliwego braku morfiny. Zdobywanie potrzebnej mi ilości „leków“, pochłaniało coraz to większe sumy. Brak gotówki dawał mi się mocno we znaki. By zaspokoić apetyty dostawców, zacząłem stopniowo sprzedawać swoją biżuterję.

\*

\*

\*

Mam przecież fach: jestem automobilistą. — Rozejrzałem się za posadą. Otrzymałem posadę starszego mechanika-szofera w jednej

z większych firm. Sprzedałem wówczas jeden ze swych cennych zegarków i zaopatrzywszy się w odpowiedni zapas „leków“, zgłosiłem się do pracy. Wolnego czasu prawie że nie miałem. Dopóki starczył mi zapas morfiny, wywiązywałem się ze swoich obowiązków zupełnie dobrze. Z chwilą jednak, gdy zapasy zaczynały topnieć, a widmo głodu morfijnego zbliżało się z nieubłaganą rzeczywistością, zaczynałem zaniedbywać się w pracy, ganiając po mieście w poszukiwaniu morfiny. Uwagi, zwracane mi przez administrację, nie odnosiły żadnego skutku. Prostu nie wyczuwałem ich, a nawet uważałem za niesłuszne. Nie widziałem, nie czułem swych błędów. Utraciłem zdolność samokrytyki. Pewnego razu, gdy zjawiłem się do pracy z kilkugodzinnym opóźnieniem, gdyż biegałem po mieście za morfiną, prokurent firmy zwrócił mi w dość ostrej formie uwagę na niewłaściwość zachowania się i zagroził, że powiadomi o tem dyrektora. Uniosłem się ambicją i tegoż dnia podziękowałem za pracę.

Sprzedałem parę przedmiotów z drobniejszej biżuterji i zaopatrzyłem się narazie w nieduży zapas „leków“. Dawkowanie ciągle wzrastało. Używałem już przeszło 2,0 morfiny i około 2,0 kokainy dziennie; wódki piłem nadal około 1-go litra. Trafiła mi się „okazja“ nabycia 25,0 kokainy. Zapłaciłem za tę porcję srebrną papierośnicą i dwoma złotymi zegarkami (H. Moser). W niedługim czasie, dostałem posadę szofera na prywatne auto, z warunkiem natychmiastowego zgłoszenia się do pracy. Po wielkich targach uzyskałem jeden dzień zwłoki, by mieć czas zaopatrzyć się w niezbędne „leki“. Zmobilizowałem całą posiadaną gotówkę, sprzedałem część z pozostałych jeszcze kosztowności i zdobyłem 30,0 morfiny. Stawiłem się na termin do pracy. Przekonałem się odrazu, że taka praca jest dla mnie najodpowiedniejsza. Będąc stale w ruchu, miałem dość sił i energii do pracy. Natomiast przy pracy spokojnej, biurowej, stawałem się ociężały i senny. Miesiąc upłynął prędko. Wyjechałem niespodzianie w dalszą drogę. Przed wyjazdem większego zapasu zrobić nie zdążyłem, toteż wkrótce zaczął mi dokuczać brak „leków“. W większych miastach, a szczególnie w miasteczkach, nabywanie potrzebnego mi „towaru“ było nader trudne. Niepunktualne podawanie maszyny doprowadzało do pasji mego pracodawcę. Pewnego razu, by dostać sobie morfiny na jeden tylko zastrzyk, zmusiłem go, bez żadnego w dodatku uprzedzenia, czekać na auto dwa dni. Wypadek ten przekonał nas, że razem pracować nie możemy... Powróciłem do domu koleją. W kilka dni po powrocie, zostałem zaangażowany na samodzielne stanowisko, do większego ośrodka gospodarczego. Otrzymałem, poza odpowiednim wynagrodzeniem, mieszkanie i całkowite utrzymanie... Spieniężyłem swoje platynowe spinki i drugą papierośnicę. Za 500 zł. zrobiłem odpowiedni zapas „leków“ i pojechałem do miejsca pracy. Przywitano mnie bardzo życzliwie. Stosunki z właścicielem i jego rodziną ułożyły się nader przyjaźnie. Praca była zajmująca i ruchliwa; stale prawie siedziałem przy kierownicy, objeżdżając okazały obszar 6-ciu dużych folwarków, lub pożerając przestrzenie — do odległych miast i miasteczek. Jeździłem prawie zawsze sam, bez szofera, to też z zastrzykami nie miałem kłopotu, robiąc je w aucie. Nawiązałem utartym zwyczajem znowu kontakt z okolicznymi aptekami, oprócz tej oczywiście, która obsługiwała dwór, a za tem była w stałym kontakcie z właścicielami majątku. Odwiedzając stale bliższe i dalsze okolice, zabez-

pieczałem się każdorazowo w odpowiednią porcję „leków“ i wódki. W listach pocieszałem swoich kochanych rodziców, że jestem już zupełnie uzdrowiony i recydywa mi nie grozi. Stałe prośby o pomoc materialną tłumaczyłem swoją skromną pensją, która miała wystarczać mi zaledwie na papierosy. Tymczasem, tak lwią część mojej, wcale okazałej pensji, jak również i kilkuset-złotowy perjuryczny zasiłek rodzicielski, pożerały bezdenne kieszenie mych stałych lub przygodnych dostawców białej trucizny. W pewnym okresie, nie mogąc dostać morfiny, zmuszony byłem zastąpić ją pantoponem. Była to bardzo niekorzystna zamiana, ponieważ pantopon, będąc też pochodną makowca, zawiera co prawda duży % morfiny, lecz działanie go na organizm jest daleko słabsze, niż morfiny, natomiast cena 1,0 pantoponu była dwa razy wyższa, niż morfiny, to też, aby otrzymać równoznaczną reakcję, musiałem wstrzykiwać dwa razy więcej pantoponu. Mobilizując gotówkę, wyzbywałem się posiadanych przez siebie kosztowności i bombardowałem rodziców prośbami o zapomogi, wymyślając oczywiście coraz to nowe, niezbędne i pilne potrzeby. Setki topniały, jak wosk. Pewnego razu, będąc w towarzystwie swego pracodawcy, w jednym z większych miast, miałem zaledwie trzy godziny wolnego czasu. Przedewszystkiem więc udałem się do swego stałego punktu zaopatrywania w tem mieście—do jednej z aptek. Kierownik apteki, dotychczas zawsze chętnie zaopatrujący mnie w potrzebne mi „leki“, tym razem odmówił kategorycznie. Tłumaczył się odrazu brakiem na składzie morfiny i kokainy, później zaś obawą odpowiedzialności. Ponieważ śpieszyło mi się, i zaczynał mi dawać się we znaki brak morfiny, nie dałem przeto za wygrane i uporczywie nacierałem nań, pokazując gotówkę i podbijając cenę. Magister zaproponował mi udać się do znajomego mi lekarza po receptę. Podał mi przytem nazwisko i adres doktora, oraz zapewnił, że nie spotkam się z odmową.

Wskoczyłem do auta i za kilka minut stanąłem przed bramą wskazanego mi domu. Lekarz spotkał mnie w przedpokoju i po krótkim przywitaniu się weszliśmy do jego gabinetu. Widząc moje podniecenie, spowodowane rozpoczynającym się głodem morfinowym, oraz brakiem czasu, doktor poprosił, bym usiadł.

Po kilku nic nie znaczących pytaniach, ten młody człowiek kategorycznie odmówił mi wydania recepty, jak się wyraził, dla „przyjemności“. Natomiast, skłonny był „uleczyć mnie“ i zapisać „specjalną“ receptę. Upewnił mnie przy tem, że „odrazu“ nie pozbawi mnie morfiny i że kurować się mogę w domu. Mając zatem pewność, że recepta będzie za morfiną, wyraziłem zgodę na przeprowadzenie kuracji. Pan doktor zapisał mi 1,5 3% morfiny, pro iniectione, pozatem recepta zawierała T-ra Valeriani i Natr. Bromati, oraz Cofeini natr. benz. z dioniną, polecając natychmiast powrócić z tą „skomplikowaną“ receptą do znajomego nam magistra, przytem zażądał 100 zł. honorarjum.

Ponieważ miałem przy sobie wszystkiego 100 zł. gotówki, tłumaczyłem się więc, że zabraknie mi pieniędzy na zapłacenie recepty. Po krótkich targach „pocziwy“ lekarz zbonifikował 20 zł. Zapłaciwszy więc za prawo nabycia 1,5 gr. morfiny okrągłe 80 zł., pogoniłem czempredzej do apteki.

Mój magister uśmieł się szczerze z „naiwności“ lekarza, który

„uwziął się“ mnie wyleczyć, schował do kieszeni 10 zł. 95 gr., jako należność za jedną receptę i wydał mi jeden 1,5 gr. morfiny w proszku.

Niezwłocznie, w pokoju, gdzie mieści się laboratorjum apteki, rozpuściłem zdobyte 1,5 gr. morfiny w 30,0 wody destylowanej i zrobiłem zastrzyk. Był to najkosztowniejszy zastrzyk w ciągu 17 lat mego życia narkomana. Zastrzyk ten kosztował mnie okrągłe 6 zł. 62 gr., gdyż zastrzyknęłam sobie wówczas 0,2 gr.

Na drogę magister poczęstował mnie setką dobrze dobranego spirytusu. Pożegnałem „życzliwego“ magistrą i odjechałem.

Następnego dnia po południu, byłem w mieście sam. Znalazłem inne źródło, w którym 1,0 morfiny kosztował mnie „zaledwie“ 7 zł.; w każdym razie nie wynosiło to 60 zł. 62 gr.

Ani magistrą, ani usłużnego doktora więcej nie odwiedziłem.

\*

\*

\*

Było to pewnego wieczora w końcu lata. Zawiadomiono mnie, że jutro o 7-mej rano mam jechać z panią domu w bardzo ważnej sprawie do miasta. Lubiłem wyjeżdżać z panią, ponieważ zawsze miałem dużo czasu dla siebie. Osobiście więc sprawdziłem i przygotowałem do 150 klm. drogi maszynę i około 11-tej wieczorem wyszedłem z garażu. Przed pójściem do łóżka, poszedłem do łazienki i utartym zwyczajem zabrałem się do zastrzyku. Zacząłem już wciągać płyn do swego 5,0 Record'a, raptem 100,0 flaszka 5% roztworu morfiny wyslizgnęła mi się z ręki i rozprysnęła się z trzaskiem o żelazną kratę ścieku. Nie mogło być mowy o uratowaniu, nawet kropli drogocennego płynu.

Morfiny w zapasie nie miałem. Sytuacja wytworzyła się fatalna. Nie mogłem więc rano jechać w drogę, gdyż w stanie głodu morfinowego byłem absolutnie nie zdolny do kierowania autem. Ciągłe konwulsyjne skurcze w całym ciele, raptowne zaburzenia żołądkowe, oraz rozdwojenie wzroku, wykluczały możliwość należytego operowania kierownicą.

Czem prędzej udałem się do garażu. Wskoczyłem już do auta, aby pędzić 13 klm. do pobliskiego miasteczka. Tam poczciwy staruszek-aptekarz nie jednokrotnie już ratował mnie w podobnych, rozpaczliwych wypadkach.

Siedziałem już przy kierownicy... w tem, zastanowiłem się! Wybiła właśnie północ. Piękna, letnia noc. Wszystkie okna pałacu otwarte na roścież. Garaż, a co najważniejsze, droga wyjazdowa leży obok pałacu. Więc warkot motoru samochodowego może obudzić śpiących już gospodarzy. Co oni pomyślą? Dokąd mogę wyjeżdżać o tak późnej godzinie?...

Na przełaj, przez pola, dzieliło mnie od miasteczka niecałe 8 klm. Wyruszyłem więc w drogę pieszo... W niespełna dwie godziny stanęłem przed upragnioną apteką. Zaszedłem od tyłu i zapukałem nieśmiało do drzwi. Niczem niezmacona cisza była mi odpowiedzią. Dopiero po kilku natarczywych kołataniach, w uchylonych drzwiach ukazał się jakiś wystraszony młodzieniec i oświadczył mi, że dziadek wczoraj umarł, apteka zamknięta; on zaś nie jest aptekarzem, a zatem w niczem pomóc mi nie może.

Zacząłem odczuwać objawy głodu morfinowego. Chwilę stałem bezradny przy szosie. W tem przypomniałem sobie, że jeden z miejscowych młodzieńców posiada motocykl. Udałem się więc niezwłocznie do niego, a za chwilę pędziłem szosą do odległego o 12 klm. innego miasteczka. Przybyłem na miejsce już przy blaskach wschodzącego słońca. Lecz niestety i tu spotkał mnie zawód. Po uciążliwych staraniach, dopiero o 5-ej rano zdobyłem zaledwie cztery ampułki pantoponu, à 0,2. Było to dla mnie zero.

Zwróciłem więc pożyczony motocykl i... najbliższym pociągiem odjechałem do stolicy.

Nie miałem odwagi powrócić do miejsca pracy. Bałem się panicznie, że swym wyglądem i nienormalnym zachowaniem zdradzę moją tajemnicę.

Po dzień dzisiejszy nie wiem, kto zastąpił mnie przy kierownicy w drodze do miasta z panią domu... a może tego dnia podróż wogóle została odwołana?...

\*

\*

\*

Koniec lata 1929 r. dał się napewno we znaki wszystkim narkomanom. Był to przełomowy rok, kiedy w Genewie została zawarta międzynarodowa konwencja, regulująca światowy obrót narkotykami.

Wprowadzenie kontroli w aptekach i inne środki zapobiegawcze nie zmieniły właściwie w niczem istniejącego od lat systemu handlu pokątnego. Zwiększyła się li tylko ostrożność handlarzy tego rodzaju towarem, a ceny podniosły się odrazu o 100% i zwyżkowały stale.

Po powrocie do stolicy, zamieszkałem na razie u rodziców. Nawiązałem natychmiast kontakt z moimi dawnymi dostawcami i znów zacząłem szukać pracy.

Zbyt wysokie ceny na potrzebne mi artykuły pożerały, i to nie byle jakie, sumy. Resztki osobistej gotówki, oraz pozostałe kosztowności szybko pochłonęła paszcza rekinów-handlarzy.

Nie mając odwagi zwracać się do ojca po większą pomoc materialną, zacząłem pokryjomu wynosić z domu rodziców i sprzedawać co cenniejsze drobne przedmioty. Przy sprzedaży, wcale się nie troszczyłem o osiągnięcie korzystniejszej ceny, a uważałem li tylko na to, by otrzymać sumę niezbędną mi do zaspokojenia natychmiastowej potrzeby.

Zarobki szofera taksówkowego stanowiły znikomą pozycję przy ciągle wzrastających cenach narkotyków. Wkrótce swój rodowy kosztowny sygnet oddałem jednemu z aptekarzy w zamian za 5,0 morfiny.

Zmuszony więc zostałem zaprzestać używania kokainy. Przyszło mi to stosunkowo łatwo. Przez kilka dni z rzędu ogarniała mnie cprawa niepowstrzymana senność i apatja, lecz wkrótce doszedłem znów do „normalnego“ stanu.

Zredukowanie kilkunastozłotowej pozycji w wydatkach nie mogło uratować mego budżetu. Deficyt rósł w zastraszającym tempie.

Cena jednego grama morfiny na t. zw. „czarnej giełdzie“ doszła do 15—20 zł. Płacić takich cen nie byłem w stanie. Musiałem więc zerwać z dostawcami i szukać tańszych źródeł.

Najtaniej wypadła cena apteczna-receptowa; tu 1,0 morfiny kalkulował się w granicach 5—6 zł.

Zacząłem odwiedzać lekarzy. Na pierwszy ogień znajomych.

By wyostać potrzebne mi na dobę 2,5 gr. morfiny, trzeba było odwiedzić conajmniej trzech, a nieraz i więcej lekarzy. Strata czasu na ciągle odwiedzania lekarzy uszczuplała poważnie moje zarobki.

Lekarze na razie ulegali moim prośbom i wydawali mi grzecznościowe recepty, lub też zaopatrywali mnie z własnych, albo szpitalnych zapasów. Wyświadcza mi jednak tę grzeczność coraz niechętniej, aż wreszcie zaczęli wręcz odmawiać.

Zwróciłem się wówczas frontem do lekarzy wogóle. Próbowałem szczęścia u wszystkich, bez różnicy płci, wieku i narodowości.

W tej, jakże nieraz upokarzającej, wędrówce po gabinetach uzdrowicieli ludzkiego ciała i duszy, napatrzyłem się na różnego rodzaju typy, a nierazdko okazy charakterów; poczynając od rodzicielskiego niemal współczucia i tolerancji, do nieludzkiego sadyzmu i okrucieństwa, lub wprost zwyczajnego chamstwa.

Z całego szeregu mniej lub więcej zasługujących na uwagę przykładów, pozwolę sobie przytoczyć kilka najwięcej jaskrawych:

Ktoregoś dżdżystego, jesiennego wieczora, biały szyldzik przy bramie domu zaprowadził mnie do gabinetu pewnego lekarza. Spotkał mnie starszy, siwy już, lecz czerstwy jeszcze jegomość, w ciemnych złotych okularach. Spojrzał na mnie z pod szkieł badawczym wzrokiem i prosił usiąść, częstując przy tem papierosem. Podziękowawszy za papierosa, usiadłem. Wilgoć w nosie, kichanie i ziewota — były to nieomyślne objawy rozpoczynającego się głodu morfinowego.

Lekarz, stojąc obok i nadal z pod szkieł obserwując mnie, wysłuchał cierpliwie mego przerywanego częstym kichaniem opowiadania, zakończonego prośbą o receptę na morfinę. Po chwili namysłu, doktor kazał mi rozebrać się z płaszcza, podszedł do swej szafki aptecznej i odwróciwszy się, podał mi pudełko, w którym było 5 szt. ampulek sol. morph. à 0,02, zapytując, czy posiadam przy sobie strzykawkę. Po twierdzącej odpowiedzi, lekarz pozwolił mi, bym zrobił zastrzyk z 2-ch ampulek.

Zaniepokoił się zatem mocno, gdy zwróciłem mu puste pudełko i wymawiał mi przy tem, że nadużyłem jego zaufania, a tak horendalna dawka grozi mi otruciem. Szybko podbiegł znowu do swej podręcznej apteczki, szukając odtrutki.

Z niemałym trudem udało mi się wreszcie upewnić poczciwca, że nic mi nie grozi, gdyż zastrzyknięte 5 amp. morfiny stanowi zaledwie połowę normalnej mej jednorazowej dawki i że właśnie teraz, po zastrzyku, mam wielką ochotę zapalić. Natychmiast podał mi papierośnicę. Przy papierosie opowiedziałem mu prawie całą swoją biografję, zatrzymując się dłużej na przyczynach i rozwoju mego nałogu. Następnie lekarz wypisał mi receptę na 0,9 gr. morfiny, a przy pożegnaniu, nie chciał nawet słuchać o przyjęciu jakiegokolwiek zapłaty.

Innym razem, zgłosiłem się do pewnego internisty. Spotkał mnie wysoki w średnim wieku szatyn o nieprzyjemnem spojrzeniu. Gdy wyluszczyłem mu cel swej wizyty, spojrzał na mnie badawczo i zapytał, czem się zajmuję. Jestem szoferem, — odpowiedziałem. Po namyśle,



lekarz kazał mi poczekać w przedpokoju, sam zaś udał się do swego gabinetu. Gdy po kilku minutach oczekiwania, doktor wręczył mi receptę na 0,5 gr. morfiny, zapłaciłem żądane 15 zł.

Przy pożegnaniu lekarz życzył mi dobrego kursu, abym zwrócił sobie koszt recepty.

W niespełna dwie godziny przekonałem się o potwornej złośliwości lekarza, który tak podstępnie życzył mi dobrego kursu. Recepta co prawda wypisana była na morfinę, lecz z atropiną, o czym ów doktor nie raczył mnie uprzedzić. Niestety, dopiero po zastrzyku spojrzałem na sygnaturkę.

Z wielkim trudem pół przytomny i prawie ślepy przebrnąłem ulicami miasta do garażu. Ślepotą pozbawiła mnie przez całe dwa dni pracy.

W Niemniej tragicznej sytuacji znalazłem się, gdy pewien młody lekarz zapisał mi w receptce morfinę ze skopolaminą. Wówczas, na moje nieszczęście, rzeczywiście dostałem dobry kurs na miasto, byłem zmuszony jednak pozbyć się pasażerów dla snu, który mnie po zastrzyku niemiłosiernie zmorzył. Nie mając innej morfiny, ani apteki w pobliżu, przez całą powrotną drogę (około 100 klm.), nie mogłem jeść, pić, ani też mówić. Te dwa wypadki wyrafinowanego cynizmu lekarzy pozostają po dziś dzień w mej pamięci.

Nie mogę również uważać za poważne następujące postępowanie doktora:

Gdy zgłosiłem się do lekarza, zaspokoił mnie natychmiast, dając mi 0,15 morfiny i proponując zrobić zastrzyk na miejscu. Zapłaciłem mu żądane 10 zł. Gdy robiłem zastrzyk, doktor pisał list.

Gdy zrobiłem zastrzyk, lekarz polecił mi zawieść list pod wskazany adres i przywieść odpowiedź. Po moim powrocie obiecał mi zapisać receptę na 1,5 gr. morfiny.

Powróciłem z odpowiedzią w naturze, przywożąc młodą, przystojną blondynkę. Uroczą tą parą jeździła ze mną parę godzin po mieście, a nawet i po za miasto. Gdy około północy stanęłem przed mieszkaniem lekarza, licznik wskazywał 36 zł. 60 gr. Doktor kazał skasować licznik i podając mi 1 pudełko (12) amp. morfiny à 0,03 i 1 pudełko (6) amp. à 0,02, uważał sprawę zapłaty za załatwioną.

Z wyraźnymi objawami głodu morfinowego zgłosiłem się któregoś razu do wenerologa. Ten pan przedewszystkiem zażądał zapłacenia mu 15 zł., co i uczyniłem. Po schowaniu gotówki, lekarz zapisał receptę, włożył ją do koperty i polecił mi udać się z tą receptą do wskazanej przez niego apteki...

Recepta opiewała na T-ra Valeriani i Natr. Bromati. Gdy natychmiast powróciłem do doktora z prośbą o wyjaśnienie, lekarz powiedział mi, że zapisał receptę taką, jaką uważał za potrzebną i zatrzasnął przedemną drzwi.

Miałem i takie zdarzenie, gdy po uiszczeniu 15 zł. honorarjum otrzymałem receptę na 0,8 morfiny, bez pieczętka lekarza. Na zwróconą przezemnie uwagę, że brak pieczętka, lekarz wyjaśnił mi, że w pobliskich aptekach podpis jego jest znany, a zatem nie będę miał trudności z odebraniem lekarstwa. Natomiast aptekarz zażądał pieczętka i dopiero na moją prośbę zgodził się sprawdzić autentyczność recepty telefo-

nicznie. Lekarz zaprzeczył wypisania recepty, polecając przy tem aptekarzowi zatrzymać takową. Bezpośrednio z apteki udałem się do doktora, lecz ten nie raczył mnie przyjąć, oświadczając przez pokojówkę, że drugiej recepty nie zapisze. Ponieważ ostatnie pieniądze zapłaciłem lekarzowi, powróciłem zrozpaczony do apteki. Na szczęście, aptekarz był znajomy, więc wydał mi morfinę i jednocześnie ostrzegł, bym zaniechał zwracać się w potrzebie do tego właśnie lekarza, gdyż zna go z podobnych „kawałów“.

Kiedyś też spotkałem w swej wędrowce lekarza narkomana. Napotkałem też lekarza-kobietę, wybitną erotomanę.

Z tej ciernistej, przeszło dwuletniej podróży po labiryncie ludzkich charakterów, odniosłem wrażenie następujące: kobieta-lekarz jest najbardziej tolerancyjna, współczująca, uległa i bezinteresowna. Lekarze starsi — wyrozumiali, pobłażliwi, w przeważnej większości mało interesowni (przeciętne honorarja — 5 - 10 zł.). Lekarze młodzi — mniej ustępliwi, zarozumiali w wyższości swej inteligencji, arbitralni i bardziej, niż tamci, interesowni (przeciętne honorarja — 10 - 25 zł.).

Lekarze Żydzi w przeważnej większości wydanie recepty uzależniają od wysokości honorarjum.

Nie potrzebuję chyba dodawać, że na pokrycie kosztów wizyt u kilku lekarzy dziennie, skromne zarobki kierowcy taksówki stanowiły zaledwie część potrzebnej sumy. A zatem, brakującą lwią część trzeba było dołożyć, zaś skarbcem był dom rodziców, z którego nadal wyciągałem po-kryjomu, co się dało. Powynosiłem prawie wszystko, co było cenniejsze, nie wyłączając ozdobnej porcelany i starego srebra.

Aby co dnia zdobyć 3,0 morfiny, musiałem dostać kilka recept lekarskich, co wraz z kosztami wykonania tych recept, stanowiło wydatków 30—40 zł. dziennie. A i na wódkę trzeba było mieć około 5-ciu zł.

Sumę tę musiałem mieć za wszelką cenę i dla zdobycia jej nie przebierałem, tak w sposobach, jak i drogach.

Zdobywanie recept stawało się coraz trudniejsze, zasoby rodzicielskiego domu wyczerpywały się w zastraszającym tempie. Zacząłem sięgać po biżuterję matki. Na opłacenie wizyt u lekarzy brakowało pieniędzy. Musiałem wreszcie zrezygnować z recept legalnych.

Zacząłem wypisywać recepty „własnego wyrobu“. Zrzadka posługiwałem się gratisowemi receptami znajomych lekarzy. Zaznaczyć muszę przy tem, że od roku 1931 zauważyłem, iż lekarze niechętnie zapisywali recepty na morfinę do iniekcji, zapisując natomiast łatwiej morfinę w połączeniu z innymi lekami do użytku wewnętrznego, lub też w czopkach. Recepty te poza tem służyły mi, jako szablon do sporządzania recept „własnych“.

Oprócz recept, korzystałem z każdej okazji dla zdobycia morfiny, lub środków zastępczych, jak heroína, pantopon, T-ra. opii smpl., albo extr. opii. Na receptach przezemnie wypisywanych, nigdy nie naśladowałem (podrabiałem) podpisu lekarza, — podpisywałem natomiast cudze nazwisko własnym charakterem pisma.

Wypisywane przeze mnie recepty realizowałem zawsze w aptekach odległych od dzielnicy, w której zamieszkuje podpisany przeze mnie lekarz; natomiast recepty oryginalne stałowałem w aptekach po-

bliskich mieszkania lekarza, gdzie podpisy okolicznych lekarzy są zazwyczaj znane. Dłuższy czas cieszyłem się zatem opinią „solidnego narkomana“.

Aptekarze ufali moim receptom i dla tego honorowali je bez zbytnich formalności.

Nie potrzebuję podkreślać, że prawie we wszystkich aptekach byłem osobą znaną. Większość aptek robiła mi nawet ułatwienia, wydając li tylko zapisaną w receptcie ilość narkotyków, pomijając natomiast inne towarzyszące im leki. Najtrudniejsze do realizacji były recepty na czopki morfinowe. Realizować je musiałem w dobrze znanych i przychylnych mi aptekach.

Z końcem roku 1931, zacząłem używać prawie wyłącznie heroinę. Przeszedłem na używanie heroiny z powodów materialnych, gdyż przy nieznacznej różnicy w cenie, wystarczało mi na dobę zamiast 3,0 morfiny, tylko 2,0 heroiny.

Wkrótce porzuciłem pracę szofera i wyjechałem na prowincję, jako kierownik szkoły samochodowej.

Recepty na blankietach stołecznych lekarzy były bez zastrzeżeń honorowane przez prowincjonalne apteki, a poparte niekiedy autentyczną receptą miejscowego lekarza, nie wzbudzały najmniejszych podejrzeń. Jeżdżąc często po okolicy, korzystałem z każdej sposobności, aby zaopatrzyć się w narkotyki, grubo zbaczając nieraz z drogi, by odwiedzić aptekę.

Wkraczający w życie społeczne coraz większy kryzys gospodarczy zlikwidował i moją szkołę. Powróciłem więc do stolicy.

Tymczasem, na rynku narkotycznym, zaszło wiele niekorzystnych dla narkomanów zmian. Kontrola zaostrzyła się. Apteki „nie lubiły“ honorować recept na narkotyki wogóle, a specjalnie w większych dawkach. Nieraz spotykałem się z odmową wykonania autentycznej, a nawet sprawdzonej przez aptekarza recepty.

Zacząłem „fabrykować“ recepty, nie przekraczając dawek 0,4 gr. narkotyku i to w połączeniu z innymi lekami do użytku wewnętrznego.

Oprócz tego, trzeba było „operować“ receptami na pantopon, T-ra. Opii smpl., lub Extr. Opii.

O jakiegokolwiek pracy stałej nie mogłem nawet myśleć, ponieważ, aby zdobyć potrzebne mi 3,0 narkotyku, musiałem cały dzień poświęcać na wędrowki po aptekach i wyszukanie gotówki.

Przy każdym posiłku towarzyszyła mi nieodzownie wódka. Próby zastąpienia wymienionych wyżej pochodnych makowca, zdawałoby się im pokrewnych, jak np.: dionina, godeina, a nawet papaverina, nie dawały najmniejszego efektu. Zastrzyknięcie nieraz 1,0 dioniny, lub też codeiny, wywoływało li tylko miejscowy stan zapalny, nie dając poza tem żadnego innego efektu.

Wobec zastrzykiwania pod skórę narkotyków, w połączeniu z innymi lekami, j. np. validol, coffeini natr. benz. albo też extr. opii (nie filtrowane), zaczęły mi się w miejscach zastrzyku wytwarzać wrzody. Ponieważ zastrzykiwałem przeważnie w uda, perjodycznie więc zjawiała się na nich serja męczących abscesów. Co kilka miesięcy na udzie, albo nawet na obydwóch naraz, tworzyło się jednocześnie po kilka rop-

ni, przyczem po jednych przychodziły następne i tak kilkanaście pod rząd. Ostatnią serję miałem 34 wrzody. Każdy z tych wrzodów był okazały, a niektóre okazy dochodziły do potwornej wielkości (średniego jabłka), wywołując nieraz poważną nawet temperaturę.

Największy nawet ból, ani temperatura, nie powstrzymywały mnie, gdy trzeba było iść po „towa”. Nieraz potwornej wielkości wrzód pękł mi na ulicy, zalewając cuchnącą ropą całą bieliznę, albo wyciekał zielono-rdzawym lepkiem strumieniem z rękawa marynarki na chodnik. Najgrubszy opatrunek, ani specjalnie włożona wata, nie był w stanie wchłonąć olbrzymiej ilości ropy, która zazwyczaj wytryskiwała nieomal fontanną.

\*

\*

\*

„Puszczając“ w obieg 5 - 6 szt. recept dziennie, zaczęło mi się robić ciasno na terenie blisko 200 aptek stolicy; po kilku wypadkach spotkania się w aptece z granatowym mundurem stróża bezpieczeństwa, otrzymałem potem zaproszenie do biura Urzędu Śledczego.

Zawsze jednak umiałem przekonać władzę, że się leczę, — jestem już przy kończeniu kuracji i że na przyszłość będę się posługiwał wyłącznie legalnymi receptami lekarzy. Pozostawiano więc mnie przez dłuższy czas w spokoju, nie robiąc użytku z mych fałszowanych recept.

Zacząłem robić wycieczki do aptek prowincjonalnych. Odwiedziłem nie jeden raz każdą, najmniejszą nawet aptekę w promieniu 60—70 klm. od stolicy.

Zaniechałem poza tem wystawianie recept „ludzkich“ (to zn. dla ludzi), zastępując je receptami weterynaryjnymi.

Ponieważ heroina mało jest znana w praktyce weterynaryjnej, powróciłem do morfiny i pantoponu. Wypisywałem recepty dla psów, a przeważnie dla koni. Zrealizowanie 2-ch szt. recept dla „4-ch koni“ wystarczało na zaspokojenie codziennego mojego zapotrzebowania.

Podróże swoje odbywałem według ustalonego planu: zależnie od ilości posiadanej gotówki obliczałem, jaką ilość aptek mogę odwiedzić. Obierałem sobie najodpowiedniejszą linię kolejową, obliczając miejscowości, posiadające apteki. Jechałem pierwszym rannym pociągami do upatrzonej naprzód stacji. Powrotną zaś drogę, zazwyczaj odbywałem pieszo, idąc od apteki do apteki. Podobne wycieczki w lecie trwały nieraz po kilka dni.

Zmuszany coraz częściej posługiwać się, czy to z braku gotówki, czy też wobec trudności innej natury, środkami zastępującymi morfinę, wyrobiłem sobie następującą proporcję potrzebnej mi ilości alkaloidów makuwca na dobę:

*Do zastrzyków. Do użytku wewnętrznego.*

Morfina	3,0	5,0—6,0
Heroina	2,0	nie używałem
Pantopon	5,0	7,0—8,0
T-ra opii smpl. nie używałem		80,0
Extr. opii	4,0	nie używałem
Opii pulv.	—	10,0—12,0

\*

\*

\*

Po śmierci ojca mieszkałem nadal z matką. Resztę znajomych i przyjaciół straciłem dawno, od czasu, kiedy z niezależnego i wesołego kompana przeistoczyłem się w człowieka, potrzebującego pomocy.

Wdowia emerytura matki i ogołocony przeze mnie z wszelkich cenniejszych przedmiotów dom, stwarzały bardzo ciężką dla nas sytuację materjalną. Coraz trudniej było z nabywaniem narkotyków. Brak gotówki dokuczał dotkliwie. Codzień, od wczesnego rana do późnego wieczora, zajęty byłem poszukiwaniem gotówki i morfiny. Aby zdobyć pieniądze na morfinę, wyprzedawałem wszystko, co się dało (wieczne pióra, cygarniczki, automatyczny ołówek i t. p., niewyprzedane dotąd resztki przedmiotów pamiątkowych).

Blankiety receptowe zawsze nosiłem przy sobie. W zależności więc od ilości zdobytej gotówki, zapisywałem receptę na odpowiednią ilość narkotyku i natychmiast ją realizowałem.

Matkę, jedyną bliską mi osobę, stale okłamywałem, zapewniając, że się leczę i niedługo będę już zdrowy. Kochające serce matki, niestety, wierzyło w możliwość takiego cudu.

Czy zastanawiałem się nad swoim losem? Czy czułem, że staczam się w otchłań? — Nie! Nie czułem i nie widziałem swego upadku. Pochłonięty byłem całkowicie jedynie myślą o konieczności zdobycia trucizny, nic poza tem nie obchodziło i nie interesowało mnie. Życie szło poza mną; nie widziałem zmian jego form i warunków, prosto nie brałem w otaczającym mnie życiu udziału. Właściwie nie miałem kiedy, gdyż cały mój czas i uwagę pochłaniała troska o wyszukanie środków i sposobów zdobycia narkotyku.

Ktoregoś letniego ranka naładowałem wszystkie kieszenie drobnymi przedmiotami, mającemi jakąkolwiek wartość, zarzuciłem płaszcz na rękę i w sportowym berecie wyruszyłem za miasto, na poszukiwanie pieniędzy i narkotyków. Za drobne sumy, otrzymywane po stopniowej sprzedaży rzeczy, mogłem nabyć małe ilości narkotyku, które zaspakały mnie zaledwie na kilka godzin. Wędrując po osadach i miasteczkach, od apteki do apteki, wysprzedalem stopniowo cały posiadany przy sobie inwentarz, do płaszcza i beretu włącznie.

Wieczorem szóstego dnia włóczęgi, przemoknięty do nitki, dowlokłem się wreszcie do stolicy. Zmęczony, mokry i brudny, z objawami głodu morfinowego, ruszyłem w obchód znajomych aptek. Do późnego wieczora odwiedzałem apteki, błagając o drobne ilości alkaloidów makowca. Późna noc zastała mnie na ulicy. O śnie nie mogłem nawet marzyć. Wałęsałem się więc ulicami miasta, czekając cierpliwie na ósmą godzinę rano, kiedy otworzą się znowu podwoje aptek.

Dopiero minęła 6-ta rano. Idąc ulicą, zauważyłem tuż przed sobą leżące na chodniku dwa złote. Skwapliwie podniosłem monetę. W kieszeni miałem jeszcze zaledwie kilkadziesiąt groszy. Na klatce schodowej pobliskiego domu napisałem receptę na odpowiednią do moich zasobów ilość morfiny i czempredzej udałem się do najbliższej dyżurnej apteki. Była to jedna z większych aptek w centrum miasta. Drzwi stały otworem...

Dyżurny magister przeczytał receptę i bez słowa udał się z nią w głąb apteki. Zachowanie się aptekarza odrazu wzbudziło we mnie nie-

pokój, lecz byłem tak zmęczony i zmordowany dokuczliwym głodem narkotycznym, że postanowiłem poczekać na rezultat.

Po kilkunastu minutach oczekiwania, wszedł do apteki policjant z paskiem pod brodą. W mgnieniu oka zorjentowałem się w sytuacji. Zrozumiałem i odczułem boleśnie tylko jedno: — morfiny nie dostanę.

Do jakiegokolwiek walki, tak fizycznej, jak i słownej, nie miałem już ani siły, ani ochoty.

\*

\*

\*

Po raz nie wiem już który, stanąłem przed obliczem sędziego śledczego, lecz tym razem w stanie oplakany; wymizerowany, zmęczony, brudny, z wyraźnymi objawami głodu morfinowego. Dokuczały mi nudności, katar, niepohamowane kichanie, oraz bóle w żołądku i skurcze gardła, pozbawiały mnie możliwości logicznego odpowiadania na zadawane pytania. Jedyne pragnienie, jedyna myśl, nurtująca pod czaszką mózgową, było zaspokojenie gwałtownej potrzeby narkotyku. Z trudem odpowiadając na pytania sędziego, siedziałem jak na szpilkach, więc zgodziłem się chętnie na jego propozycje umieszczenia mnie w szpitalu. Nie przeczuwając czyhającej na mnie przykřej rzeczywistości, podziękowałem mu nawet i wyszedłem z pokoju.

Załatwianie formalności, związanych z odesłaniem mnie do rzekomego szpitala, trwało długo. Przedewszystkiem, odmówiono mej prośbie wysłania pocztówki do matki z zawiadomieniem, że udaję się do szpitala i do jakiego. Następnie, ciągnano mnie po różnych piętrach do fotografii i daktyloskopji włącznie. Nareszcie, kiedy już przeszedłem przez wszystkie niezbędne do największego poszarpania nerwów działy, zakwalifikowano mnie na zdecydowanego fałszerza i z tym paszportem, pod opieką „pielęgniarszą,” w granatowym mundurze, dopiero przed wieczorem, dotarłem do zwykłego więzienia.

Administracja tego osobliwego „szpitala“ dopiero po długich namysłach przydzieliła mnie do Izby Chorych. Umieszczono mnie w dostatecznie brudnej, ponurej północnej celi, w towarzystwie osobnika, który odbywał karę 6-cio letniego więzienia za zabójstwo swej żony.

O pomocy lekarskiej do dnia następnego nie można było nawet myśleć. Poza Panem Oddziałowym, zwykłym strażnikiem więziennym, innego „naczalstwa“ nie było.

Pogarszający się stale stan fizyczny, potęgowany ostatnimi przeżyciami natury psychicznej i moralnej, oraz jakiś kwaśny zaduch, w nader skąpo oświetlonej celi, wszystko to razem wzięte, tworzyło warunki nie do zniesienia.

Z miejsca zacząłem walić w obite żelazną blachą drzwi celi, niczem w bęben, domagając się jakiegokolwiek pomocy lekarskiej. O blachę drzwi poobijałem sobie ręce do krwi. Pragnąłem papierosa, prosiłem o zwrot odebranych mi kilku sztuk papierosów. Odpowiedziano mi, że dopiero po paru dniach, gdy otrzymam zezwolenie od naczelnika, wolno mi będzie palić.

Moje zachowanie się mocno gniewało Pana Oddziałowego, gdyż nawet zagroził mi kajdankami, o ile się nie uspokoję. Lecz nawet tak

zachęcająca obietnica nie powstrzymała mnie od znęcania się nad drzwiami celi.

Tej nocy cała Izba Chorych nie spała.

Nazajutrz z rana zgrzytnął klucz w zamku i w otwartych drzwiach celi stanął jegomość, ubrany w mundur koloru nadziei. W pierwszej chwili pomyślałem, że to lekarz. Lecz wnet złudzenie przysło: przybyły oświadczył mi ostrym tonem, że jest Naczelnikiem i że jeżeli nie będę zachowywał się spokojnie, nie przestanę co chwila stukać we drzwi i wychodzić ciągle do ubikacji (męczyły mnie wówczas niepohamowane torsje i biegunka), oraz nie zacznę jeść podawanych mi pokarmów, on potrafi zrobić ze mną porządek! — Co rzekłszy, wyszedł, nie czekając wcale na moją odpowiedź.

Około południa zaprowadzono mnie do lekarza. Ponieważ byłem tak silnie zdenerwowany i zmordowany przeżyciami ostatnich dni, że nie mogłem prawie mówić, lekarz dał mi kilkadziesiąt kropli T-ra opii, które przywróciły mnie do względnej równowagi, a następnie poczęstował upragnionym papierosem.

Opowiedziałem mu w krótkich słowach historję swej choroby, prosząc o umieszczenie mnie w szpitalu. Doktor okazał dla mnie dużo współczucia, lecz będąc związany przepisami, nie mógł niestety przyjść mi z pomocą. Zapisał jedynie gorące kąpiele, proszki nasenne, brom i dał mi kilka papierosów. Powędrowałem znowu do celi.

Korzystając z chwilowej ulgi (po zażyciu opjum), poprosiłem o pozwolenie wysłania zawiadomienia do matki, gdzie jestem. Z okazał mi wielkiej niechęci, Pan Oddziałowy udzielił mi wreszcie zezwolenia. Skwapliwie zabrałem się do napisania pocztówki, ciesząc się nadzieją, że nazajutrz zobaczę się z matką.

Monotonne, pełne nieludzkiej męki dni i noce wlokły się jak żółwie. Zdany na łaskę losu i Pana Oddziałowego (do którego właściwie nie mogę mieć żalu, gdyż był on tylko sumiennym wykonawcą obowiązujących przepisów), waliłem nadal we drzwi celi, pogryzłem z bólu blat stoliku, podarłem na sobie ubranie, pokaleczyłem się. Traciłem kilka razy przytomność, wymiotowałem, kichałem, smarkałem, biegałem co chwila do ubikacji. Bolały mnie i łzawiły oczy, obrzękły i bolały wszystkie stawy i ciało, oraz dokuczał okresowy ostry ból i bicie serca. Pociłem się przy tem obficie zimnym potem. Nie mogłem przyjmować żadnych pokarmów. Absolutny brak snu i ogólny niepokój dopełniały całości mego stanu. Nieprzewyciężony wstręt do zimnej wody uniemożliwiał umycie się. (Od wczesnej młodości i obecnie w ciągu całego roku myję się zimną wodą). Zaordynowanej przez lekarza gorącej kąpiei nie otrzymałem z powodu rzekomego braku gorącej wody. Dopiero po upływie tygodnia i po kilkakrotnej interwencji lekarza, zrobiono mi pierwszą, nawpół zimną kąpiel. Tymczasem przykre objawy głodu morfinowego zaczęły bardzo powoli ustępować. Dopiero przy końcu drugiego tygodnia „kuracji“ zacząłem przyjmować pokarmy. Snu nadal nie było. Dokuczał dotkliwy brak papierosa. Przeszło trzy tygodnie nie zmieniana bielizna, przy ciągłym poceniu się, była nieopisanie brudna, podarta i cuchnąca.

W jakże od moich lepszych, i godnych pozazdroszczenia, warunkach znajdował się każdy zwyczajny rzezimieszek, lub nawet groźny

bandyta, którym szczęśliwy los pozwolił zachorować chociażby na lekką grypę, albo na zwykłą, dobrze odegraną, symulację jakiegokolwiek choroby. Osobnik taki umieszczony był w szpitalu, mieszczącym się w tym samym, co i Izba Chorych, korytarzu. Chodził zatem w czystej białej, flanelowym szlafroku i pantoflach, jak również wylegiwał się w siatkowym łóżku z mięką poduszką pod głowę, w jasnej, wywietrzonej i dobrze opalonej sali szpitalnej, a jedzenie podawano mu w odpowiednich naczyniach, z potrzebnym do jego spożycia sprzętem.

Do wszystkich tych „przyjemności“ dołączał się niepokój, z powodu braku wiadomości od matki. Zapytywałem niejednokrotnie o losy mojej pocztówki. Odpowiadano mi, że w swoim czasie została wysłana. Mojej prośby o pozwolenie powtórnego zawiadomienia matki nie uwzględniono.

Dopiero po upływie trzech tygodni otrzymałem pierwszą wiadomość od matki, w postaci paczki żywnościowej, tak zw. „wałówki“, czystą bieliznę i upragniony tytoń. Zobaczyć się z matką osobiście nie pozwolono mi.

Od miesiąca mego tu pobytu, był to pierwszy kontakt z domem. Jak się później okazało, moja niewinna pocztówka do matki była przez trzy tygodnie cenzurowana, aż przez pana prokuratora. Prawdopodobnie było to niezbędne dla „dobrej sprawy“?

A tymczasem moja starszka matka odchodziła od zmysłów, głowiąc się nad rozwiązaniem zagadki zaginięcia jej marnotrawnego syna. Dzięki tak gorliwemu biurokracyzmowi przedstawiciela sprawiedliwości, nie jeden siwy włos przybył na jej stroskanej głowie.

„Kuracja“ robiła postępy. Bóle całego ciała i kości ustępowały stopniowo. Natomiast pozostawało uporczywe pocenie się, niepokój, nadmierna lęklliwość, ogólne osłabienie i brak snu. Proszek nasenny, podawany mi raz dziennie, nie odnosił żadnego skutku. Zjawiał się coraz lepszy apetyt i pragnienie.

Przysłanych z domu pomarańczy nie wydano mi, gdyż owoc ten nie jest przewidziany w wykazie smakołyków więziennych.

Ktoregoś dnia rano, bez żadnego przytem tłumaczenia, kazano mi natychmiast zejść na dół. Tam, przy rewizji, odebrano mi wszystkie papierosy i zapalki i w grupie więźniów pojechałem autem więziennym na miasto. Zakratowany samochód wędrował po różnych ulicach, zatrzymując się coraz to przed inną bramą, aby wysadzić jednego lub kilku z mych towarzyszy podróży. Wreszcie, po przeszło godzinnej wędrowce po mieście, dotarłem do celu podróży. Przywieźli mnie na przesłuchanie do sędziego śledczego.

W towarzystwie „granatowego pielęgniarza“ wszedłem do poczekalni dla więźniów. Cały byłem spocony zimnym potem; dokuczał mi głód i osłabienie. Pragnąłem papierosa. Znajdujący się już w poczekalni więźniowie palili papierosy i zaczęli kpić z „fajera“, że nie umiałem przemyścić „fajki“ podczas rewizji. Po paru soczystych dowcipach jeden z obecnych poczęstował mnie „fajką“ z machorki.

Było jeszcze daleko do południa.

Sędzia zawezwał mnie dopiero o godzinie 2-iej popołudniu.

Przesłuchanie trwało zaledwie kilka minut, gdyż do złożonego już



zeznania, z całkowitem przyznaniem się do winy fałszowania recept, n i c n o w e g o dodać nie mogłem. Wróciłem do poczekalni.

Zakratowana „limuzyna“ zajęła po nas dopiero po godzinie 6-ej wieczorem. Powróciłem do „zakładu“ zmordowany i głodny, a ponieważ było to już po kolacji, połknąłem własną ślinę i czekałem na jutrzejsze śniadanie.

Postępami kuracji byłem jednak zadowolony. Po upływie 6-ciu tygodni zanikły już prawie wszystkie objawy głodu morfinowego. Pozostało tylko pocenie się, osłabienie, oraz pociąg do zrobienia zastrzyku. Czułem się, jak po przebyciu jakiejś ciężkiej, wyczerpującej choroby.

Mój lekarz starał się w czem mógł ulżyć mi warunki życia. Zapiisał mi tak zw. szpitalną porcję, mleko i biały chleb. Niestety, ten wysoce inteligentny i humanitarny człowiek w niedługim czasie został przeniesiony na inne stanowisko. Następcą zaś jego, zwykły dyplomowany rzemieślnik, który poza suchą literą regulaminu nic nie chciał widzieć, odebrał mi natychmiast porcję szpitalną i wszystkie „luksusy“. Dostawać więc zacząłem beźmięsną kartoflankę z kapuśniakiem i gotowaną, suchą fasolę.

Apetyt coraz wzmagał się. Stale byłem głodny. Moje ponure i duszne locum o przestrzeni 8 mtr. kw., ze sklepieniem zamiast sufitu, a także świadomość, iż stale jestem w zamknięciu, gnębiło psychikę i drażniło nerwy. Półgodzinne przymusowe spaceru, ćwiczebny krok, wokoło podwórka, były stanowczo niewystarczające, a jednocześnie męczyły mnie, gdyż czułem się jeszcze słaby.

Pewnego dnia wsadzono mnie znowu do zakratowanej „limuzyny“ i odstawiono do sądu. Tu wyłuszczone całą potworność inkryminowanego mi czynu fałszowania recept, oraz misternie zbadano najodleglejsze nawet gałęzie mego drzewa genealogicznego, do dziadka mej oddawna już nieżyjącej niestety prababki włącznie. Na zakończenie zagrano kilka akordów na najbardziej czułych strunach ambicji „kryminalisty“, poczem, po naradzie, areopag wymiaru sprawiedliwości orzekł, że sprawa moja zostaje u m o r z o n a. Pan prokurator „na szczęście“ nie apelował!

Nie patrząc jednak na tak, zdawałoby się, pomyślny dla mnie obrót sprawy, z więzienia mnie nie zwolniono. Nadal więc pozostawałem zwykłym więźniem.

Byłem bezradny, tak chciało Prawo.

Trzeci miesiąc „kuracji“ dobiegał końca. Siły stopniowo powracały. Coraz rzadziej przychodziła na myśl strzykawka. Natomiast ciągle przebywanie pod kluczem i przymusowa bezczynność doprowadzały mnie nieraz do rozpacz. Na podania i prośby o wyeliminowanie mnie z grona przestępców i przeniesienie do zakładu leczniczego, nie otrzymywałem odpowiedzi. Wielokrotne, natarczywe prośby o zatrudnienie mnie przy jakiegokolwiek pracy tutejsza administracja nie raczyła uwzględnić. Odmówiono mi również pozwolenia na posiadanie materiałów piśmiennych. Jedyną rozrywką i przyjacielem pozostała książka z miejscowej, nota bene, dość obszernej biblioteki.

Czułem się fizycznie coraz silniejszy. Przerażająco wzrastający apetyt zaspakajałem, pożerając otrzymywane z domu i suto zaopatrzo-

ne „wałówki“. W ciągu następnych trzech miesięcy utylęm, a na wadze przybyło mi około 15-tu kilogramów.

Pociąg do narkotyków już zanikł zupełnie. Nie opuszczało mnie tylko pocenie się i ogólne osłabienie. Brak odpowiedniego towarzystwa, a w szczególności towarzystwa obojętnej mi dotychczas już od lat 12-tu, płci odmiennej, zaczynałem odczuwać dotkliwie.

Z nastaniem wiosny pozwolono mi wreszcie pracować w tutejszym ogrodzie. Po ośmiu miesiącach torturowania się w dusznej klatce, od-dychałem pełną piersią, zcinając suche gałęzie, lub przekopując rabatki do kwiatów.

Z wiosennego powietrza, jak z bezdennej krynicy, piłem siły fizyczne. Po dwóch tygodniach pracy ogrodniczej, nabrałem całkowitej pewnością, że już nigdy do strzykawki nie powrócę. Widmo możliwości powrotu do nałogu przestało dla mnie istnieć. To, co tak jeszcze niedawno uważałem za niemożliwe, stało się rzeczywistością. Najcięższa, najpotworniejsza zmora najlepszych lat mego życia przestała wreszcie mnie gnębić. Byłem wówczas naprawdę szczęśliwy, radując się jak dziecko. Chciało mi się krzyczeć, całować cały świat, w każdym człowieku widziałem przyjaciela.

Zdaje mi się, że nie popełnię błędu, gdy porównam ówczesny swój stan duchowy z uczuciem nowonarodzenia się. Po siedemnastu latach narkozy, powróciłem do życia.

Trzeci tydzień pracy w ogrodzie dobiegał końca, gdy zawezwano mnie do kancelarii i oznajmiono, że za godzinę zostanie przewieziony do innego „zakładu leczniczego“.

\*

\*

\*

Każdy szpital psychiatryczny z reguły jest zakładem zamkniętym. Cóż dopiero mówić o szpitalu psychiatrycznym więziennym, do którego przywieziono mnie, zdrowego już na ciele, a tembardziej na umyśle. Bynajmniej nie zdradzałem jakichkolwiek objawów zaburzeń natury psychicznej. Umieszczenie mnie zatem pośród przestępców - warjatów wpłynęło nader deprymująco na cały mój ustrój psychiczny. Rozgoryczenie i żal na podobne traktowanie zdrowego na umyśle człowieka pozostaną mi przez cały czas dalszego mego żywota.

Z wielką natomiast satysfakcją (uważam nawet za swój obowiązek), muszę podkreślić to przychylne i przyjazne spotkanie, oraz ustosunkowanie się do narkomanów, tak Naczelnego lekarza szpitala, jak również i administracji tego więzienia.

Spotkałem w tym szpitalu narkomanów (morfynistów), których rzucił tu ten, co i mnie, los. Była to moja pierwsza znajomość z narkomanami wogóle, gdyż dotychczas, ukrywając skrupulatnie przed otoczeniem swój nałóg, nie szukałem sposobności zapoznania się z narkomanami. Dopiero tu, wszechwładny los zetknął mnie z gronem tych osobników.

Naczelnny lekarz szpitala interesował się zagadnieniem narkomanji, a zatem ustosunkował się do morfinistów bardzo życzliwie, umieszczając nas kilku w obszernej i jasnej sali. Wydał przytem specjalne za-

rządzenie, aby sala nasza nie była zamykana, a nieodzowna w więzieniach żelazna siatka okienna była stale otwarta. Poza tem wolno nam było mieć na swojej sali różne gry towarzyskie, oraz prenumerować dzienniki i czasopisma. Oprócz tego pan doktor wyjednał zgodę administracji na udzielenie chętnym z nas pracy i prawo wolnego przebywania na powietrzu w ciągu całego dnia. Jednem słowem, lekarz starał się stworzyć nam możliwe warunki życia.

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności, pośród nielicznych podówczas pacjentów szpitala, nie było zdecydowanych warjatów. Komplet chorych składał się z kilku melancholijnych psychopatów, oraz z pewnej liczby będących na obserwacji alkoholików. Dzięki temu, panowały tu czystość, spokój i porządek.

Natychmiast zgłosiłem się do administracji i zostałem zatrudniony w kancelarji. Przy tej pracy pozostawałem przez całe sześć miesięcy pobytu mego w tym szpitalu. Praca wpływała na mnie dobroczynnie. Nie ustępowało nadal obfite pocenie się pod pachami, lecz jestem przekonany, że przyczyna tego objawu tkwiła raczej w rozklekotanych nerwach, a nie działo się to na skutek osłabienia pomorfinowego. Do tego ogromnie męczyła mnie świadomość, że jestem w szpitalu psychiatrycznym, w dodatku więziennym, oderwany od ludzi i świata, do którego garnąłem się już całym swem jestestwem.

Przebywając stale pośród towarzyszy niedoli, nie jeden raz miałem możność przedyskutować z „fachowcami“ sprawę narkomanji wogóle, a specjalnie morfinizmu. Zagadnienie narkomanji, a w szczególności morfinizmu, interesuje mnie oddawna, wobec czego, korzystając z niecodziennej okazji, dysputowałem z moimi kompanami, tak ze wszystkimi razem, jak i z każdym z osobna. Na sali narkomanów wszyscy byli to ludzie mniej lub więcej inteligentni, w wieku od 30 - 50 lat.

W stosunku do długości czasu używania morfiny i wielkości stosowanych dziennie dawek, byłem najpoważniejszy. Przeważająca większość morfinistów, bo 80%, zawdzięczało chorobę skutkom ran, odniesionych na froncie podczas wojny. Wszyscy byliśmy już dawno po okresie bolesnych objawów abstynencji morfinowej, a zatem reagowaliśmy na zjawiska życiowe zupełnie normalnie, według swych indywidualnych zapatrywań. Większość uważała ten nałóg za chorobę nader uciążliwą i „niewygodną“, nie widząc jednak w nim tego tragizmu życiowego, który nieuchronnie czeka każdego morfinistę. Niektórzy lekkomyślni akcentowali specjalną niechęć do pozbycia się nałogu, przemyślając nad środkami i sposobami zdobycia narkotyku, nawet tu, w szpitalu, zapowiadając, iż z dniem opuszczenia murów szpitalnych, natychmiast powrócą chętnie do morfiny. Dowiedziałem się obecnie, że niektórzy dotrzymali słowa i morfinizują się nadal. Zaznaczyć przytem wypada, że osobnicy ci zapewniali, iż każdy zastrzyk morfiny wprowadza ich w specjalnie błogi stan fizyczny i silnie pobudza wyobraźnię.

Nie mogę natomiast powiedzieć tego o sobie: morfina nigdy nie wywoływała u mnie stanów przyjemności ani fizycznych, a tembardziej psychicznych. Traktowałem ją zawsze li tylko jako niezbędną konieczność do zachowania równowagi całego organizmu. Jeden tylko z kuracjuszy morfinista, z zawodu lekarz, podzielał całkowicie moje zapatrywania w kwestji morfinizmu.

Oprócz innych pozatem rozbieżności w zapatrywaniach, przeżyciach i poglądach—wszyscy obecni tu morfiniści, mieliśmy jedno wspólne przekonanie, że system i sposób zastosowanej wobec nas kuracji odwykowej są niewłaściwe i okrutne.

Na moje prośby, poparte w dodatku opinią lekarza, o wypisanie mnie ze szpitala, nie otrzymywałem odpowiedzi. Nie pozostawało nic innego, jak bierne pogodzenie się z losem w oczekiwaniu lepszej przyszłości.

Miałem obecnie całkowitą pewność, że choroba jest już daleko i bezpowrotnie poza mną, a wszelkie inne dolegliwości powstały wyłącznie na tle mego neuro-psychicznego stanu, oraz absorbującej mnie coraz częściej troski o losy mego dalszego życia.

Śledząc w prasie codziennej (jedynym łączniku moim ze światem zewnętrznym) zawrotne tempo terażniejszego życia, zupełnie jasno zdawałem sobie sprawę, że po opuszczeniu szpitala czeka mnie trudne do pokonania zadanie dostosowania się do wymagań życia obecnego. Pamiętałem przytem dobrze, że rozpoczynając po 17-to-letniej przerwie życie na nowo, liczyć mogę tylko i wyłącznie na siebie i swoje siły, gdyż otoczenie nie poda mi ręki pomocnej. Stwierdzić muszę, że przy zetknięciu się z rzeczywistością, przewidywania moje nie zawiodły.

Minęło lato. Nastała chłodna jesień. Szarzyzna i monotonia bytowania naszego nabrała wszelkich cech chronicznego marazmu. W tem mrocznym życiu, jedyną dla mnie „jasną gwiazdą“ pozostawała nieskomplikowana i szablonowa praca w kancelarji.

\*

\*

\*

W połowie jesieni, nas, byłych morfinistów, przesłano na dalszą „kurację“ do trzeciego „zakładu“. Był to już 100% szpital psychiatryczno-więzienny.

Ponieważ przybyliśmy do tego szpitala przed wieczorem, naczelnika - lekarza już nie było, wobec czego przyjęto nas, jako zwykłych umysłowo chorych więźniów.

Rozebrano nas do naga, odbierając przy tem absolutnie wszystkie posiadane przy sobie przedmioty; uzbrojono w drewniane łyżki i w jednej tylko bieliźnie szpitalnej, umieszczono na sali obserwacyjnej, pośród całego grona prawdziwych i nieprawdziwych warjatów. Zamiast ogólnie przyjętego łóżka, każdemu z nas przydzielona została do snu jedna „trumienka“ (sklecona mocno z grubego drzewa ciężka skrzynia, z twardo wypchanym siennikiem i płaską poduszką ze słomy). Było to zresztą skromne i zarazem jedyne umeblowanie tej obszernej sali.

Ani życie towarzyskie, ani sport i turystyka, ani podróże po łąkach i morzach, ani wojna, ani nawet okropności rewolucji, nic nie dało mi tyle emocji i nie pozostawiło tak silnego wrażenia, jak ta, jedyna noc w „trumience“, wśród nieszczęśliwych umysłowo chorych.

Następnego dnia około południa, gdy odwiedził nas lekarz, warunki dalszego naszego bytowania uległy natychmiastowej zmianie na lepsze. Już do obiadu byliśmy ubrani, zwrócono nam papierosy i zapalki, a podczas jedzenia wolno nam było operować nożem i widelcem. Prze-

niesiono nas na piętro, gdzie coprawda przebywali tak samo pacjenci mniej lub więcej umyślowo chorzy, lecz był to element spokojny i względnie inteligentny. Zamiast „trumienki“, każdy pacjent miał przyzwoite łóżko, przy którym stała szafka i taboret. Duża świetlica, zaopatrzona była w radjo i gry towarzyskie, jak domino, szachy i t. p. Poza tem lekarz udzielił nam pozwolenia swobodnego poruszania się w obrębie całego szpitala.

Nie zważając jednak na wszystkie otrzymane przywileje, a nawet na „zaszczytny awans“ z pospolitego miana — *więzień* do „godności“ — *internowany*, — stałe przebywanie w towarzystwie ludzi psychicznie upośledzonych i zarazem niesłuszność podobnego traktowania zdrowego no umyśle człowieka, działało bardzo deprymująco na moją psychikę.

W kilka dni po przybyciu, otrzymałem pracę w kancelarji szpitala, jako siła pomocnicza. Nużąco-jednostajny, pozbawiony jakichkolwiek jaskrawszych zabarwień, tryb życia w środowisku osób, albo psychicznie chorych, albo bądź co bądź mających psychikę wyraźnie odchyłą od normalnej, niezrównanie daleko odbiegał nawet od pozorów życia normalnego. Pogłębiało to coraz więcej moje cierpienia moralne. Mimo woli powstawało nieraz pytanie: na jakiej zasadzie, nie mając za sobą sprawy kryminalnej i będąc psychicznie zdrowy, siedzę już przeszło rok w więzieniu? Często nurtujący mnie z tego powodu bunt wewnętrzny przysparzał nie mało kłopotu napiętym do ostateczności nerwom. Przewidywania lekarza, że za kilka tygodni, tak ja, jak również i reszta t. z. narkomanów opuści szpital, nie spełniały się.

Jeden za drugim upływały miesiące. Zdawało się, że bezbarwny i beznadziejnie - jednostajny sposób tutejszego bytowania przechodzi już w stan chroniczny. Wytwarzało to w mej psychice poczucie beznadziejności, podrywało wiarę w siebie i swoje siły. Coraz częściej wpadałem w melancholję. Jednem słowem, dusiłem się w otaczającej mnie atmosferze.

Naraz, z pierwszymi promieniami wiosennego słońca, zaświtała iskierka nadziei odzyskania wytęsknionej wolności. Wyznaczony został termin komisji, od orzeczenia której zależało moje zwolnienie. Wkrótce ten błogosławiony dzień nastał.

Po dwudziesto-miesięcznym pobycie aż w trzech „odpowiednich zakładach leczniczych“, zaliczono mnie wreszcie w poczet ludzi normalnych. Tego dnia zostałem wypisany i, nie zwlekając, opuściłem szpital.

\*

\*

\*

Pod wrażeniem ciepłych słów lekarza, życzącego mi pomyślności na szlakach nowego życia, wyszedłem za bramę szpitalną.

Nie znajduję odpowiednich słów, ani określeń, które swoją wymową mogłyby wyrazić ówczesny stan mej uszczęśliwionej duszy i pełnej najlepszych nadziei na przyszłość, psychiki. Każde porównanie będzie banalne i blade zarazem.

Natychmiast udałem się do domu, do mojej kochanej matki, jedynnej mej pocieszycielki i przyjaciela, w ciągu koszmarnych dwudziestu miesięcy „kuracji“. Najbliższa nawet rodzina, nie wyłączając mej rodzzonej siostry, nie tylko nie zainteresowała się moim losem, lecz na-

wet matce mojej nie przyszła z jakąkolwiek bądź pomocą, czy też chociażby radą.

Jedynie kochana moja matka, nadwyrężając swój szczupły budżet i zdrowie, systematycznie, co tydzień, w pogodę, słońce, czy mróz, śpieszyła zobaczyć się z synem, aby potrzymać mnie na duchu i zaopatrzyć w żywność, czystą bieliznę i tytoń. W dniu odwiedzin matki, specjalnie starałem się być pogodny, gdyż wiedziałem, że swem zdrowiem i pogodą ducha sprawiam jej tem większą przyjemność.

Pełna poświęcenia opieka matczyna powiększyła mój wielki wobec niej dług. Obecnie nastał wreszcie czas, aby, chociaż w części, wynagrodzić jej wyrządzone przezemnie krzywdy materialne, a głównie moralne. Zdaję sobie sprawę, że te najważniejsze, moralne, zlikwidować całkowicie nie podołam nigdy. A zatem teraz, gdy jestem znowu zdrowy i silny, muszę i chcę całą swoją uwagę i energję zwrócić w kierunku najdroższej mi osoby — matki.

Pierwszych kilka tygodni pobytu wśród życia normalnego czułem się, jak człowiek, który po dłuższem przebywaniu w nieprzeniknionych ciemnościach, naraz zobaczy słońce. Znajdowałem się w stanie podobnym do lekkiego oszołomienia. Po kilku jednak miesiącach, gdy nerwy i oko nawykły, stan dziecinnego oszołomienia ustąpił. Przyszedłem wreszcie do równowagi duchowej. Fizycznych sił i energii odzyskałem zapasy nie mniejsze od posiadanych w latach młodzieńczych. Na otaczające mnie zjawiska życiowe patrzyłem już jasnymi oczyma. Wszystkie przejawy życia społecznego zaczęły mnie żywo interesować. Zdawało się, że teraz już nic nie stoi mi na przeszkodzie do życia, a młodzieńczy zapas sił i energii, w połączeniu z odpowiednim bagażem umysłowym, dadzą mi możność odzyskać z powrotem utracone niegdyś stanowisko życiowe.

Z energją zacząłem szukać odpowiedniej dla mnie pracy. Bardzo szczupłe koło życzliwych mi osób, niestety, nie wiele mogło dopomóc mi na tym polu. Abstrachując cele osobiste, a powodując się pobudkami natury społecznej, chciałem być jeszcze pożytecznym synem swego kraju. Składałem więc podania z prośbą o pracę, do Instytucji państwowych i społecznych, lecz zewsząd otrzymywałem odpowiedzi odmowne. Jak się przekonałem, w większości wypadków powodem odmownych odpowiedzi na moje podania lub oferty była nie moja była choroba, jako taka, lecz w zakratowanych oknach i murach, za któremi odbyłem „kurację odwykową“, tkwiła istotna przyczyna tych odmownych odpowiedzi. Społeczeństwo nie chce wchodzić w istotę sprawy, nie wglębia się w przyczyny i powody tego lub innego zjawiska życiowego jednostki, a przyjmuje fakty, że tak powiem, optycznie. Społeczność woli mieć do czynienia z efektywnym, spokojnym narkomanem, niż z osobnikiem uzdrowionym w tak osobliwym zakładzie leczniczym, jakim jest więzienie.

Rozpocząłem więc poszukiwać zajęcia na szerokim polu t. zw. wolnych zawodów. Tu, na tym dla mnie zupełnie nowym terenie walki o byt, pośród wielu innych, stoją przedemną dwie najcięższe do pokonania przeszkody: zdobycie i utrzymanie stosunków towarzyskich, które wymaga brakujących mi, niestety, pewnych zasobów materialnych. Drugą zaś przeszkodą, stoi przedemną gruby, składający się z sie

demnastoletniej ewolucji form, warunków, a nawet i etyki życia społecznego, mur.

W tej ciężkiej w moich warunkach walce o byt, nie jeden raz zdawało mi się, że dłużej już nie wytrzymam. Ogarniała mnie chwilowa depresja; myślałem, że już się załamuję i braknie mi sił moralnych do dalszej walki. Z całą jednak świadomością stwierdzić muszę, że w chwilach największej depresji duchowej, nosiłem się już z zamiarem nawet odebrania sobie życia, lecz nigdy nie przyszła mi do głowy myśl powrotu do morfiny.

Trzeci rok się kończy wytrwałej walki o byt i syzyfowej pracy przedostania się przez gruby mur, oddzielający mnie od życia współczesnego.

Jestem pewny, że zdrowia i sił fizycznych mi nie zabraknie; czy starczy sił moralnych?!

\*

\*

\*

Obecnie, dawno już minęły dla mnie wszystkie prekluzyjne terminy możliwości recydywy choroby, gdyż od czasu ostatniego zastrzyku morfiny minęło około pięciu lat, a od chwili oficjalnego zaliczenia mnie, przez czynniki miarodajne, w poczet ludzi uzdrowionych, kończy się rok trzeci. We własnym zaś przeświadczeniu byłem uzdrowiony już po upływie 6-ciu miesięcy od czasu rozpoczęcia eksperymentu „kuracji“, a więc, 4 lata temu. Wobec tego z całym przekonaniem i świadomością twierdzić mogę, że jestem wolny od nałogu, a zatem, jestem z d r ó w.

Uważam, że nie wykroczę poza ramy mych kompetencji, jeżeli na podstawie swych skromnych obserwacji i bolesnych doświadczeń, pozwolę sobie wypowiedzieć kilka słów o morfinizmie i jego leczeniu.

Stopniowe przyzwyczajanie się organizmu do coraz to większych dawek trucizny i postępujące z tem w parze zmiany w psychice i całym ustroju moralnym morfinisty, dochodzące prawie do zupełnej abnegacji, uwidocznione są w przytoczonym opisie życia morfinisty. Zasadnicze, charakterystyczne dla wszystkich morfinomanów, objawy chorobowe, pozostając w zasadzie wspólnymi dla ogółu morfinistów, mogą ulegać nieznacznym odchyleniom, w zależności od indywidualnych cech charakteru i poziomu umysłowego narkomana.

Uważam za zbędne zastanawianie się dłużej nad poszczególnymi postaciami morfinistów. Natomiast poświęcę kilka słów, jak moim zdaniem, powinno się leczyć osoby, dotknięte chorobą morfinomanji.

Uzdrowienie narkomana może być przeprowadzone tylko w zamkniętym zakładzie leczniczym. Zakład taki powinien być podzielony na dwa zasadnicze oddziały: izolacyjny (ściśle zamknięty) i sanatoryjny. Pacjenci zaś, zdradzający cechy choroby umysłowej, powinni posiadać oddzielne locum.

Ścisła izolacja chorego, w pierwszym okresie (2—3 miesiące) demorfinizacji, jest konieczna, poczem chory powinien być przeniesiony na oddział sanatoryjny.

Na czele zakładu musi stać doświadczony lekarz z wykwalifikowanym i uświadomionym personelem zakładowym. Efektywne leczenie narkomana zaczyna się dopiero po okresie demorfinizacji, kiedy orga-

nizm przestał już gwałtownie domagać się trucizny. Podstawowa zasada leczenia, niezależnie od metody, polegać musi na przyrodo-psycho-terapeutycznym i wychowawczym leczeniu, w połączeniu z odpowiednią i produkcyjną pracą pacjenta. Pożądane byłoby, aby uzdrowiony narkoman zmienił miejsce swego poprzedniego pobytu i znalazł się wśród nowego otoczenia.

Jestem głęboko przekonany, że moje omal że nie cudowne uzdrowienie z tak długotrwałego nałogu zawdzięczać mogę li tylko swemu bardzo silnemu i w 100% zdrowemu z natury organizmowi, oraz temu, iż byłem ściśle izolowany. Z tych właśnie powodów umiałem przetrwać w tak ciężkich i absolutnie nieodpowiednich warunkach i z o l a c j i moją ciężką kurację.

Z własnych smutnych doświadczeń przekonałem się, że kilkakrotne próby wyleczenia się metodą stopniowego zmniejszania dawek morfiny, nie doprowadziły do pożądanego skutku. Efekt leczenia, narazie imponujący (w ciągu 10—15 dni redukowałem dawki z 2,5 gr. do 0,9 gr. dziennie), utykał na martwym punkcie, gdy ilość podawanej w krew morfiny dochodziła do pewnej normy, t. j. do tego minimum, którego organizm domagał się. Wobec tego, każdą ukradzioną ze strzykawki porcję morfiny organizm odczuwa, dzięki czemu, chory stale znajduje się pod wrażeniem rozpoczynających się u niego objawów głodu morfinowego. Drażni to cały ustrój neuro-psycheiczny pacjenta, koncentrując jego myśli i uwagę w kierunku narkotyku.

Natomiast, natychmiastowe pozbawienie organizmu narkotyku, nie dając mu nic zamian (jak to zrobiono ze mną), jest barbarzyństwem. Uważam jednak, że nowoczesna medycyna posiada już w swoim rozporządzeniu odpowiednie środki do ułatwienia choremu przeżycia ostrego stanu abstynencji, jak np. wprowadzenie chorego w stan długotrwałego snu, stosowanie silnych środków oszałamiających i t. p.

Mam wrażenie, że właśnie metoda natychmiastowego odebrania narkotyku daje największe gwarancje rzeczywistego i zupełnego uzdrowienia pacjenta.

\*

\*

\*

Chadzając drogami nielegalnego nabywania narkotyków, coraz częściej wchodziłem w t. zw. kolizję z prawem, co zresztą po dzień dzisiejszy uważam za niesłuszne. Co mają wspólnego choroba i kryminał? Pomysł przymusowego uleczenia narkomanów, bez kwestji, jest nader ważny i godny ze wszechmiar uznania i poparcia ze strony myślących warstw społeczeństwa.

Ścisła i bezwzględna izolacja chorego, ale pod nadzorem odpowiednio wyszkolonego i uświadomionego personelu zakładowego, jest konieczna, jako warunek, umożliwiający wyleczenie. Ale co ma wspólnego z leczeniem twarda, brudna pryzma i duszna, grubo zakratowana cela więzienna, do której zazwyczaj wsadza się bandytę, albo złodzieja?

Czy zdobyte przez narkomana, na podrobioną receptę, kilkanaście gramów trucizny są równoznaczne z bandytyzmem, albo wogóle z jakąś aferą kryminalną?

Cel oraz pobudki, dla których narkoman fałszuje receptę, dalekie



są od pojęcia „f a ł s z e r s t w o“ według określeń §§ Kodeksu Karnego.

Życiowo rzecz biorąc, czyn przestępczy dopiero wtenczas staje się przestępstwem, gdy czyny, popełnione przez jedną osobę, wyrządziły wyraźną szkodę lub krzywdę na rzecz innej osoby, lub grupy osób. Jaką zatem i komu wyrządza wyraźną krzywdę narkoman, podpisujący receptę, coprawda cudzym nazwiskiem, lecz własnym charakterem pisma i opłacając ją własną gotówką? Może ta znikoma i, w dodatku, bardzo problematyczna krzywda moralna oszukanego aptekarza (zresztą, w rzadkich wypadkach, gdyż przeważnie aptekarz świadomie realizuje nielegalną receptę), albo może — lekarza, jest właśnie tem wielkiem przestępstwem?

Długo rozważałem sprawę mego fałszerstwa, długo szukałem poszkodowanego, aż wreszcie znalazłem: poszkodowanym moralnie, fizycznie i materialnie byłem li tylko ja, przestępca we własnej osobie.

Jeżeli morfinistę, podrabiającego receptę, można zakwalifikować, jako przestępcę-fałszerza, to w takim razie osobnika, który, z nielegalnie zdobytego rewolweru, targnął się na własne życie, trzeba skazać na karę śmierci, lub conajmniej, na bezterminowe więzienie, za świadome usiłowanie zabójstwa?

Każda akcja, podjęta „pro publico bono“, zasługuje bezwzględnie na głęboki szacunek i uznanie, lecz dopiero wtenczas, gdy wykonana jest — „bene“.

*P. Prawdziec.*

Warszawa, luty r. 1938.

## X-LECIE WILEŃSKIEGO TOWARZYSTWA WALKI Z ALKOHOLIZMEM I INNYMI NAŁOGAMI „MENS“.

(Przemówienie na Akademji, poświęconej uroczystości obchodu X-lecia Tow. „Mens“ w Wilnie dn. 27.II. 1938 r.).

W ostatnim tygodniu lutego Wilno żyło pod hasłem „Tydzień Trzeźwości“. Tydzień ten jest tradycyjnym dla Wilna, gdyż mniej więcej w tym okresie jest on urządzany.

Zarząd T-wa „Mens“ w związku z „Tygodniem Trzeźwości“ zorganizował szereg odczytów na tematy, poruszające różne zagadnienia z dziedziny alkoholizmu. Odczyty te były wygłoszone w różnych dzielnicach miasta w salach, lub w ogniskach parafjalnych. Z prawdziwą radością muszę podkreślić pocieszający fakt, mianowicie duże zainteresowanie odczytami wśród wileńskiej publiczności, która licznie na nie uczęszczała. Pozatem, dzięki uprzejmości Zarządu Ligi Abstynencyjnej Kolejowców, w skróceniu — A. L. K., został sprowadzony do Wilna na ten: „Tydzień Trzeźwości“ — Wagon Wystawa Przeciwalkoholowa, która okazała się wielką atrakcją dla Wilnian.

Frekwencja publiczności była duża. Trzej prelegenci wygłaszali stale odczyty, dawali wyjaśnienia, dotyczące wystawionych w Wagonie eksponatów, preparatów organów ludzkich, wykresów i rysunków.

Dzisiejsza uroczystość - akademja przeciwalkoholowa — jest za-

kończeniem tego „Tygodnia Trzeźwości“. Ale równocześnie nosi charakter uroczystego obchodu 10-lecia Wileńskiego T-wa „Mens“ i Poradni przeciwalkoholowej. Obchód 10-cio-lecia jakiegokolwiek organizacji społecznej można uważać w wielu wypadkach za zbyt wczesny, ale obchód 10-cio lecia istnienia T-wa: „Mens“ i Poradni przeciwalkoholowej ze względu na warunki i charakter pracy, ze względu na ogromne wysiłki twórczej pracy niewielkiego grona bojowników o ideę trzeźwości i ze względu na osiągnięte rezultaty — ma wszelkie uzasadnienie.

Geneza powstania T-wa: „Mens“ i Poradni przeciwalkoholowej w Wilnie — tak się przedstawia w krótkim zarysie:

Prof. Uniwersytetu Wileńskiego — Stanisław Władyczko, były Dyrektor „Instytutu walki z alkoholizmem“ w Petersburgu — zapragnął



*Prof. Zygmunt Hryniewicz, Prezes Tow. „Mens“.*

stworzyć podobną instytucję w Wilnie. Projekt ten wcielił w czyn we wrześniu 1927 roku, stwarzając organizację społeczną pod nazwą Wileńskie T-wo dla walki z alkoholizmem i innymi nałogami „Mens“. Najbliższymi współpracownikami jego byli: pani A. Markiewiczowa, literatka i prelegentka, panna Marja Hryniewiczówna, oraz p.p. A. Latwis i P. Wołodźko, urzędnicy jednego z biur Uniwersytetu, oraz Dr. J. Genzel — asystent Kliniki psychiatrycznej. Dnia 1-go października 1927 r. przy T-wie „Mens“ została otwarta Poradnia przeciwalkoholowa, której kierownikiem został Dr. Juljusz Genzel. Ukazanie się na terenie życia społecznego w Wilnie organizacji: „Mens“ i Poradni przeciwalkoholowej zostało przyjęte przez społeczeństwo wileńskie nieufnie i ze sceptycyzmem; nie wierzono w możliwość zwalczania alkoholizmu, uważano walkę z nim za beznadziejną i uważano ją za utopję.

Pomimo trudności finansowych i technicznych — prof. Władyczko, jako założyciel i kierownik T-wa „Mens“ wraz ze swymi współpracownikami rzucili się z całą energią do pracy organizacyjnej i twórczej.

Praca polegała na wygłaszaniu odczytów na tematy, związane z zagadnieniem alkoholizmu, oraz na urządzaniu kilkogodzinnych kursów alkoholologii dla słuchaczy studentów medycyny i słuchaczek państwowej szkoły położnych w Wilnie. Przychodnia przeciwalkoholowa miała pacjentów, jednak nielicznych. W 1929 r. odbył się w Wilnie zjazd przyrodników i lekarzy, na którym m. in. była poruszona kwestja alkoholizmu.

Z ramienia T-wa „Mens“ D-r J. Genzel wygłosił na zjeździe odczyt pod tyt.: „W sprawie walki z alkoholizmem na terenie m. Wilna“.



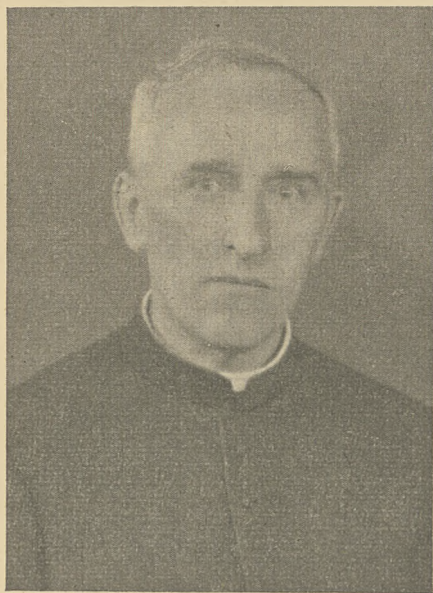
*Dr. Konstancja Kulejewska, członek honorowy Tow. „Mens“.*

W 1930 r. T-wo „Mens“ już miało twarde grunto pod nogami i tak dalece poczuło się na siłach, że zaprosiło do Wilna IX-ty Polski Kongres Przeciwalkoholowy, który odbył się w murach Wszechnicy Batorowej w dniach 7—8 grudnia 1930 r. Członkowie T-wa „Mens“ — prof. Władyczko: doktorzy: Brokowski, Genzel, Mórawski, brali czynny udział w pracach Kongresu i wygłosili odczyty. Poradnia przeciwalkoholowa już miała znaczną ilość pacjentów i zdobyła zaufanie społeczeństwa wileńskiego.

Z każdym rokiem akcja odczytowo-uświadamiająca coraz lepiej rozwijała się. Ilość odczytów stale zwiększała się. I jeżeli ilość odczytów, wygłoszonych w pierwszych latach istnienia T-wa — wynosiła przeciętnie 4—5 odczytów, a w następnych latach dochodziła do 12—15 odczytów, to w 1936 r. T-wo „Mens“ osiągnęło rekordową ilość odczy-

tów — 117, z czego na Wilno przypadło — 69 i na prowincji 48. Akcja odczytowo-propagandowa w 1937 r. była na tymże wysokim poziomie. W 1935 r. został zorganizowany I-szy kurs alkoholologii w Wilnie i na Kresach Wschodnich. Kurs odbył się w lokalu Kuratorjum Okr. Szkolnego Wileńskiego w dniach 17—26 marca.

Było to epokowe zdarzenie w życiu T-wa „Mens“. Kurs alkoholologii był urządzony z inicjatywy prof. Władyczki. Oto parę szczegółów, dotyczących tego Kursu. Zainteresowanie Kursem wśród publiczności wileńskiej przeszło najśmielsze oczekiwania organizatorów, zapisało się nań bowiem przeszło 500 osób. Wykłady były na wysokim poziomie, wygłoszone zostały częściowo przez profesorów Uniwersytetu, częściowo przez lekarzy i członków Zarządu T-wa „Mens“.



*Ks. Jan Matulewicz, członek Zarządu Tow. „Mens“, sekretarz generalny dla walki z alkoholizmem w Archidiecezji Wileńskiej.*

Drugi podobny Kurs alkoholologii został urządzony w 1937 r. i również zyskał poparcie i uznanie tak ze strony władz, jak i ze strony społeczeństwa wileńskiego.

Lata 1935, 36, 37 — są to lata intensywnej pracy twórczej, programowo-rozwojowej. W 1936 r. został utworzony przy Zarządzie T-wa „Mens“ referat odczytowy, który objął członek Zarządu Dr. Stefan Gnoiński.

Akcja odczytowa poszła w kierunku organizowania Kursów alkoholologii w różnych organizacjach kulturalno-oświatowych, zwłaszcza młodzieżowych, czynnych na terenie m. Wilna i na prowincji. W 1936 r. były przeprowadzone 3 Kursy, a w 1937 r. — 7. Do referatu zgłaszają się stale różne organizacje społeczne z prośbą o delegowanie prelegentów z odczytami. Należy zaznaczyć, że członkowie Zarządu przyjmowali

czynny udział w Zjeździe Delegatów Kół Polskiego T-wa „Trzeźwość“ i pokrewnych Organizacyj z całej Polski, który odbył się w Warszawie w dniach 2—3 maja 1937 r., przyczem prezes T-wa prof. Z. Hryniewicz wygłosił odczyt pod tyt.: „Rola nauczyciela polskiego w walce z alkoholizacją wsi i młodzieży szkolnej, oraz robotniczej“, — oraz przyjmowali udział, w 21-ym Międzynarodowym Kongresie przeciwalkoholowym, który odbył się w Warszawie w dniach 12—17 września 1937 r., na którym prezes T-wa „Mens“ — prof. Z. Hryniewicz — wygłosił odczyt pod tyt.: „Alkoholizm, a samobójstwo“. Należy jeszcze dodać, że T-wo „Mens“ opiekuje się i udziela subwencji „Kołu abstynentów uczniów“ szkoły powszechnej Nr. 26 w Wilnie.

„Koło Abstynentów Uczniów“ tej szkoły zostało zorganizowane



*Aleksandra Markiewiczowa, członek Zarządu Tow. „Mens“.*

i jest kierowane przez dzielną, niestrudzoną bojowniczkę o ideę trzeźwości, nauczycielkę, Antoninę Mackiewiczównę.

Koło egzystuje w tej szkole 6-ty rok i obecnie liczy 160 członków-dziewcząt i chłopców, w tem absolwentów szkoły 40 członków.

Na początku roku szkolnego przeprowadzone są zapisy nowych członków, oraz składanie przyrzeczenia nieużywania alkoholu. Przyrzeczenie składają abstynenci starszych klas. Pozatem dzięki staraniom p. Mackiewiczówny przy szkole tej powstało „Koło Przyjaciół Abstynentów“, składające się z rodziców dzieci, należących do Koła. Jest to bardzo dobre posunięcie.

Poradnia przeciwalkoholowa stała się obecnie instytucją ogólnie znaną w Wilnie, cieszy się uznaniem, zaufaniem i frekwencją chorych, stale zwiększającą się. Ponieważ obecna poradnia, lokal której znajdu-

je się w śródmieściu (ul. Wielka Nr. 46, Miejski Ośrodek Zdrowia), nie jest w stanie obsłużyć tej ludności, która zamieszkuje odległe peryferje miasta, więc została otwarta II-ga poradnia przeciwalkoholowa — również przy II-gim Miejskim Ośrodku Zdrowia (przy ul. Kijowskiej). Nową tą poradnią kieruje D-r Stefan Gnoiński. Tak się szczęśliwie złożyło, że 10-cio-lecie istnienia Poradni przeciwalkoholowej zostało upamiętnione przez powstanie nowej — II-giej poradni. Fakt to bardzo znamienity.

Nie od rzeczy będzie podać do wiadomości Szanownym Państwu, jak się przedstawia działalność Poradni przeciwalkoholowej za okres 10-cio letniego istnienia w świetle statystyki, w świetle suchych cyfr. Udzielono 9.750 porad, dokonano zabiegów-zastrzyków 8312, np. w r.



*Dr. Juliusz Genzel, członek Zarządu, sekretarz, kierownik Poradni przeciwalkoholowej.*

1935 było udzielonych 730 porad i dokonano 518 zastrzyków, w roku zaś 1936-ym liczby te wzrosły do 949 porad i do 882 zastrzyków, w roku 1937 udzielono: 995 porad, i dokonano 968 zastrzyków.

Wszelkie porady chorym i ich rodzinom, jak również wszelkie zabiegi lecznicze udzielane były bezpłatnie.

Fakt stałego zwiększania się ilości osób, korzystających z porad i zabiegów lekarskich, jest najlepszym dowodem potrzeby istnienia Poradni przeciwalkoholowej.

Wreszcie należy zaznaczyć, że T-wo „Mens“ rozpowszechnia literaturę propagandową, oraz ulotki, broszury, odezwy również bezpłatnie. T-wo „Mens“ stało się w chwili obecnej ośrodkiem szerzenia idei walki z alkoholizmem, idei trzeźwości i abstynencji tak na terenie Wilna, jak i na prowincji.

Istnienie T-wa „Mens“ i Poradni przeciwalkoholowej związane jest mocnymi więzami ze swym organizatorem ś. p. prof. Stanisławem Władyczką, przedwcześnie zmarłym w Wilnie w dniu 18 lipca 1936 r. T-wo „Mens“ straciło w zmarłym nie tylko organizatora T-wa i Poradni przeciwalkoholowej, ale i wodza, który dzielnie prowadził walkę z alkoholizmem na terenie m. Wilna i skupiał koło siebie grono ludzi, oddanych jego idei.

T-wo „Mens“ straciło nie tylko wodza, ale i przyjaciela, i kolegę, bo ś. p. prof. Władyczkę cechowały niezwykła duchowa kultura w stosunkach obywatelskich, oraz skromność i nieszukanie rozgłosu i odznaczeń. Uosobienie zawodu szczytnego, szlachetnego, jakim jest zawód lekarski, człowiek mający na celu tylko dobro bliźnich, gardzący stro-



*Dr. Stefan Gnoiński, członek Zarządu, kierownik referatu propagandowo-odczytowego.*

ną materjalną, oto postać — przedwcześnie zgasłego dla społeczeństwa, dla polskiej nauki, ś. p. profesora. Opuszczając Wilno, prof. Władyczko prosił Zarząd T-wa „Mens“, by dalej prowadził ukochaną przez niego pracę nad zwalczaniem alkoholizmu w odrodzonej Ojczyźnie. To też ze względu na wspomniane zasługi społeczne Jego, uczcijmy pamięć tego zacnego obywatela — przez powstanie.

Dziś, obchodząc uroczystość 10-cio lecia istnienia T-wa „Mens“ i Poradni przeciwalkoholowej, z prawdziwą przyjemnością podaję do wiadomości Szanownych Państwa, że mamy w gronie pracowników T-wa „Mens“ Jubilatą w osobie p. D-ra Juljusza Genzela. D-r Juljusz Genzel od pierwszego dnia powstania T-wa „Mens“ i Poradni przeciwalkoholowej pracuje w T-wie i jest kierownikiem i lekarzem-specjalistą tej poradni. Długoletnią pracę Jubilatą cechowała i cechuje niezwykła

rzetelność i oddanie się idei walki z alkoholizmem, ideowość w pracy, zdolność organizacyjna, bezinteresowność i wreszcie ciężka, wyczerpująca nerwy praca w Poradni przeciwalkoholowej przy leczeniu alkoholików. Zarząd Towarzystwa „Mens“ uświadamia sobie dobrze, że praca Towarzystwa na polu walki z alkoholizmem i pomyślny rozwój jej jest zbiorowem dziełem Zarządu T-wa „Mens“, Władz i samego społeczeństwa.

Zarząd T-wa „Mens“ z całą przyjemnością stwierdza, że w ciągu tych 10-ciu lat miał dowody przychylnego ustosunkowania się Centralnych Władz Sanitarnych, miejscowych, komunalnych i szkolnych, i wileńskiego społeczeństwa, oraz duchowieństwa m. Wilna i prowincjonalnego z Ich Ekscelencjami ks. Metropolity Romualdem Jałbrzyzkowskim i ks. biskupem Kazimierzem Michalkiewiczem na czele.

To też poczuwam się w tem miejscu do miłego obowiązku złożenia w imieniu Zarządu najserdeczniejszego podziękowania Wielce Szanownym Przedstawicielom tych wszystkich Władz. Również składam serdeczne podziękowanie Redakcjom miejscowej prasy, która zawsze chętnie i bezinteresownie udzielała nam w swych poczytnych pismach miejsca dla naszych sprawozdań, komunikatów, ogłoszeń. Składam podziękowanie w imieniu Zarządu T-wa „Mens“ panom profesorom Uniwersytetu, lekarzom, za ich cenną pracę na polu odczytowo-propagandowem, składam też podziękowanie Akademickiemu Kołu Polskiej Macierzy Szkolnej, które przyszło z pomocą T-wu „Mens“, prowadząc akcję przeciwalkoholową drogą uświadamiających odczytów na terenie województwa Wileńskiego, gdzie uświadomienie ludności o konieczności walki z alkoholizmem stawało się obowiązkiem obywatelskim. Wreszcie osobno składam serdeczne podziękowanie p. D-r Konstancji Kulejewskiej, energicznej i dzielnej współpracownicy Zarządu T-wa „Mens“ i organizatorce wielu „Kół Trzeźwości“ przy różnych organizacjach kulturalno-oświatowych i związkowych. P. D-r Kulejewska niestety opuściła Wilno w końcu 1937 r. i przeniosła się do Warszawy.

W imieniu Zarządu i własnem gorące podziękowanie składam p. Redaktorowi Janowi Szymańskiemu za stałe dowody przyjaźni, za uznanie naszej pracy i za popieranie przed Władzami naszych poczynań. Dzisiejszy przyjazd p. red. Szymańskiego na naszą uroczystość jubileuszową w charakterze Delegata Ministerstwa Opieki Społecznej i w charakterze Prelegenta — jest dla nas miłym i cennym dowodem Jego uznania dla pracy naszej organizacji.

\*

\*

\*

Praca T-wa prowadzona jest na oczach Władz centralnych, miejscowych i społeczeństwa wileńskiego. Wierni przyrzeczeniu, złożonemu ś. p. prof. Władyczce, że dalej będziemy prowadzić ukochaną przez niego pracę, i wierni hasłu: „Trzeźwe ciało — piękny Duch“, rozpoczynamy drugą dekadę pracy na niwie walki z alkoholizmem.

Uświadamiamy sobie dobrze, że czeka nas dalsza praca, praca poważna, ciężka walka z kłeską alkoholizmu, trapiącą nasz gród prastary,



nasze Kresy, walka ze wszystkimi objawami moralnego zdziczenia miejskiej młodzieży robotniczej, rzemieślniczej, walka ze zdziczeniem moralnym kresowej ludności wiejskiej i wogóle niższych warstw ludności i wyszukanie sposobów zmniejszenia, zaprawdę zatrważającego nasilenia spożycia alkoholu w Wilnie i w województwie.

Czeka nas praca ciężka, ale wdzięczna, bo przyświeca nam wzniosły cel: *dobro i szczęście odrodzonej Ojczyzny!*

Nie wolno nam ani cofać się, ani zmniejszać tempa pracy, ani ulegać depresji, jeśli nas spotyka niepowodzenie w tej walce, niezrozumienie naszej akcji, jeśli piętrzą się trudności. Musimy mieć entuzjazm, młodość serca, dynamiczny zapał, niezłomną wiarę w pomyślny wynik tej walki.



*Piotr Wołodźko, członek Zarządu Tow. „Mens“, skarbnik.*

Musimy wszystko przetrwać. Wierzmy, że, idąc w tej walce wiernie, nieustępliwie, wytrwale, wciąż naprzód — zwyciężyć musimy. Mamy w pamięci słowa Jędrzeja Śniadeckiego: „Im trudniej jest pociągnąć do słuchania i zamięłowania zbawiennych prawideł, tem usilniej pracować nad ich rozszerzeniem i upowszechnieniem należy“. — Do walki z alkoholizmem, do pracy nad wcieleniem idei trzeźwości w narodzie naszym wzywają nas wielkim głosem:

- 1) niezasłużona nędza rodzin, niezliczone, ciężkie krzywdy i łzy żon i dzieci pijaków,
- 2) liczne rzesze idjotów, matołków — i upośledzonych fizycznie dzieci — poczętych w stanie opilstwa,

- 3) zwyrodnienie fizyczne i moralne młodzieży, obciążonej dziedzicznie i zatrutowanej alkoholem,
- 4) wzywają nas do tej walki cierpienia setek tysięcy chorych, zadziwiających swą chorobę alkoholowi,
- 5) więzienia, wypełnione przestępcami, którzy w alkoholu znaleźli pobudkę do spełnienia czynów zbrodniczych,
- 6) wzywa nas kryzys moralny, który w ostatnich czasach objął nasze społeczeństwo, wreszcie
- 7) wzywa nas zwiększające się stale spożycie alkoholu wśród naszej ludności.

Rozpoczynając 11-ty rok swego istnienia, Zarząd T-wa „Mens“ już nakreślił program swej pracy w bieżącym roku, który tak się przedstawia: Zarząd T-wa będzie dążył z całą energją:

- 1) do powiększenia liczby prelegentów,
- 2) do nabycia własnego aparatu projekcyjnego do demonstracji przezrocy, które, jak praktyka wykazała, odgrywają wielką rolę w akcji propagandowej,
- 3) do rozszerzenia sieci Kursów alkoholologii wśród organizacji młodzieżowych,
- 4) do rozszerzenia akcji przeciwalkoholowej na prowincji, szczególnie w powiatach, opanowanych alkoholizmem,
- 5) wreszcie do zorganizowania, w porozumieniu z Kuratorjum Okręgu Szkolnego Wileńskiego — planowej, dobrze przemyślanej, akcji przeciwalkoholowej wśród młodzieży, uczącej się w szkołach powszechnych i średnich, gdzie alkoholizacja poczyniła bardzo poważne postępy. Szczególniejsza uwaga zostanie zwrócona na młodzież szkół powszechnych, rekrutującą się głównie z uboższych warstw społeczeństwa, nadużywających w znacznym stopniu alkoholu.

Zarząd T-wa wychodzi z założenia, że właśnie młodzież, zatrutowana alkoholem już w zaraniu lat swych, przeważnie z winy rodziców i starszych osób, zasila szeregi przyszłych pijaków. Czas najwyższy ratować młodzież i dzieci — przyszłość, chlubę i siłę narodu.

Nasz rozum i sumienie, nasza chrześcijańska miłość bliźniego walcę z alkoholizmem i pracę odrodzeniową nakazują. Musimy działać. Musimy walczyć!

Honor Polski, honor obywateli polskich, wymaga, nakazuje dążyć z całą energją, by alkohol, który przeniknął wszystkie dziedziny naszego życia społecznego, jaknajprędzej zczeź z życia wskrzeszonej Ojczyzny i nie stawał na przeszkodzie rozwojowi sił twórczych Państwa. W czasie niewoli praca odrodzeniowa opierała się na zapale, który wpływał z wielkich, mocarnych uczuć miłości dla Ojczyzny i na wierze silnej, niezłomnej w Jej zmartwychwstanie, w to każdy Polak święcie wierzył, opierała się dalej na tych przesłankach, że jeżeli chcemy się odrodzić, jeżeli pragniemy doczekać się jutrzeńki wolności, musimy innym życiem żyć, niż nasi zaborcy.

My, Polacy, musimy stać wysoko, my musimy promieniować cnotami obywatelskimi, etyką moralną, trzeźwością. W tej pracy odrodzeniowej drogowskazem były słowa jednego z naszych wieszczów, że: „Polakiem być na ziemi, to żyć bosko i szlachetnie“.

Dzisiaj, gdy już mamy Polskę niepodległą, Ojczyznę odrodzoną, to powinna Ją zdobić cnota trzeźwości, wyżej wspomniane słowa naszego wieszca winny obowiązywać wszystkich Polaków. Niestety, tak nie jest. A więc wszyscy, którzy walczą o trzeźwość narodu polskiego, muszą dążyć z całą energią i wytrzymałością do likwidacji alkoholu, trującego ducha narodu, do podniesienia stanu moralnego jego, a zarazem do likwidacji ujemnych stron naszego życia społecznego, wysoce nas kompromitujących.

Wrócić więc trzeba co najrychlej na lepszą drogę. Niech we wszystkich polskich rodzinach zapanuje wstrzemięźliwość w picu, a najlepiej — abstynencja. Niech w całej Polsce, jak jest długą i szeroką, rozbrzmiewa potężnie hasło: „Precz z alkoholem“.

Jakież to byłoby szczęście, gdyby w Polsce zapanowała trzeźwość i powstał uszlachetniony typ obywatela, wolnego od przekleństwa trucizny alkoholowej, typ eugeniczny, silny i zdrowy pod względem fizycznym, typ wolny od wad, cechujących naród polski, któryby prowadził odrodzoną Ojczyznę w wyścigu twórczej pracy ku świetlanej przyszłości.

*prof. Zygmunt Hryniewicz*  
Prezes T-wa „Mens“.

Wilno.

## SPRAWOZDANIE Z DZIAŁALNOŚCI OKRĘGU I KOŁA ABSTYNNENCKIEJ LIGI KOLEJOWCÓW W RADOMIU.

(Wygłoszone przez Prezesa Okręgu ALK w Radomiu Konstantego Kryskę w dniu 3-go maja 1937 roku w Warszawie na Zjeździe delegatów Kół Tow. „Trzeźwość“ i organizacyj pokrewnych).

Działalność Polskich Kolejarzy na polu szerzenia idei trzeźwości datuje się od roku 1926, kiedy to powstało we Lwowie, przy warsztatach wagonowych, stowarzyszenie p. n.: „Polski Związek Kolejarzy Przeciwników Alkoholu“. Miało ono na celu propagowanie trzeźwości wśród kolejarzy, by nie było nędzy materialnej i moralnej wśród kolejarzy.

Na wezwanie Lwowa jeden z pierwszych odezwał się Radom, przystępując do Polskiego Związku Kolejarzy Przeciwników Alkoholu.

Wkrótce w Radomiu powstaje Koło i Okrąg P. Z. K. P. A., oraz koła w większych punktach Okręgu Radomskiego, skupiających szersze rzesze kolejarzy, jak to: w Skarżysku, Dęblinie, Lublinie, Kowlu, Równem i w Zdołbunowie.

Stowarzyszenie pod zmienioną następnie nazwą: „Abstynencka Liga Kolejowców“ poszczycić się może znacznym dorobkiem w postaci kilkudziesięciu kół porzrzucanych po całej Polsce, z zarządem Głównym we Lwowie, mającym siedzibę we własnym domu.

Niepoślednie miejsce w tym dorobku zajmuje Okrąg Radomski, Posiada bowiem koła w: Kielcach, Skarżysku, Radomiu, Dęblinie, Lublinie, Kowlu, Równem i Zdołbunowie, największą ilość członków i wypróbowanych, gorliwych działaczy, fanatyków-abstynentów.

Przedsiębiorstwo P. K. P. zatrudniające obecnie 162.000 pracowników, które w 1936 r., jak słyszeliśmy z ust Pana Ministra Komunikacji, przewiozło 144 miliony pasażerów i 50,5 milionów ton ładunku, musi posiadać trzeźwych pracowników, którzy potrafią znacznie więcej przewieźć bezpiecznie i w określonym czasie.

Jeżeli wypadków na P. K. P. jest procentowo znacznie mniej, jak w innych państwach i jeżeli coraz mniej jest wypadków spowodowanych przez opilstwo pracowników kolejowych, to niewątpliwie znaczna jest w tem zasługa Abstynenckiej Ligi Kolejowców.

Walka z alkoholizmem, z obyczajami pijaństwa przy każdej sposobności, nie jest u nas łatwą, nie jest modną i społeczeństwo nasze nie chce zgodzić się z tem, że alkoholizm — to zło osobiste i społeczne.

To też nie łatwo, było organizować koła A. L. K., gdyż dotychczas kolejarze, często niesłusznie, uchodzili za największych pijaków.

Akcja nasza, szła, w dwóch kierunkach: staraliśmy się uzyskać poparcie i zaufanie Władz Dyrekcyjnych i zwierzchników służbowych na linji, oraz wyszukiwaliśmy ludzi do pracy w terenie.

Pierwsza część była łatwa, gdyż każdy z panów Prezesów Dyrekcji Kolei Państwowych w Radomiu bardzo przychylnie ustosunkowywał się do naszych zamierzeń i popierał je, wydawał okólniki, zlecające jednostkom administracyjnym na linji popieranie akcji naszej.

Administratorów linjowych, często trzeba było przekonywać w sposób następujący: „choć Pan Naczelnik i nie jest zwolennikiem abstynencji, z urzędu jednak jest Pan współdziałający z nami, gdyż nie będzie przecież Pan popierał, a nawet tolerował opilstwa wśród podwładnych swych, zresztą Pan Prezes Dyrekcji w Okólniku wyraźnie poleca Panu popierać nas i... zwykle, członek wspierający był gotowy.

Cóż robić, czasem trzeba uszczęśliwiać ludzi wbrew ich woli.

Do pracy w terenie zjedналиśmy 12 instruktorów służby ruchu, którzy, za przykładem starszego instruktora-prezesa Okręgu ALK, co miesiąc na każdej stacji podczas pouczeń pracowników, mieli kwadrans agitacji przeciwalkoholowej; gdzie sprawa dojrzywała, przyjeżdżał prezes Okręgu ALK i po przemówieniach zakładało się koło, lub tam postanawiali złączyć się z już istniejącym kołem.

Niezależnie, szukaliśmy wybitnych działaczy do naszej pracy.

W jednym węźle kolejowym upatrzyliśmy cenną jednostkę; cóż, kiedy nie należał do żadnego związku i nie chciał: „wiązać się ze związkami“; dopiero okólnik Pana Prezesa Dyrekcji spowodował, że zdobyliśmy naprawdę wybitnego działacza.

W innym znów, węźle z kilku tysiącami pracowników, upatrzyliśmy silną indywidualność. Byliśmy pewni, że tylko „On“ potrafi zorganizować tu koło, otrzeźwić kolejarzy i społeczeństwo miejskie, to też postanowiliśmy za wszelką cenę zdobyć „Go“ do pracy w A. L. K.

Na zwołanym Walnem Zgromadzeniu długo przemawiał Prezes Okręgu A. L. K., wyjaśniając szkodliwość alkoholu, zwłaszcza dla kole-

jarzy, i potrzebę stworzenia tu koła ALK. Na przesa koła proponuje wybrać upatrzonego pana inż. K. Jednogłośnie wszyscy się zgadzają.

Cóż, kiedy Pan K. wstaje i powiada: „dziękuję za wybór, lecz ja nie mogę być prezesem, gdyż nie jestem 100-procentowym abstynentem, ponieważ pijam czasami wino owocowe“.

Wiedzieliśmy, że sprawa upadnie, jeżeli pan K. nie będzie prezesem koła, przeto Prezes Okręgu nie zrażony odpowiedzią pana K. zwraca się do zebranych ze słowami: „Proszę Państwa, sprawę wyboru prezesa koła narazie, jako przewodniczący Walnego Zgromadzenia odraczam. Wszystkim znana jest patriotyczna działalność pana K. Wolno nam nadać Mu tytuł członka honorowego danego koła, kto za tem?“ Oczywiście wszyscy.

Dalej Prezes Okręgu wyjaśnia:

„Stosownie do statutu członek honorowy posiada, wszystkie prawa, lecz nie ma żadnych obowiązków, wobec tego obecnie już nic nie stoi na przeszkodzie, by wybrać pana K. prezesem koła ALK.

Kto za tem? Oczywiście jednogłośnie.

Wzruszony p. inż. K. wstaje i podnosząc dwa palce do góry oświadcza: „skoro moja obecność w Zarządzie Koła jest tak potrzebna, że dla mnie obchodzie Statut, uroczysto oświadczam, że od tej chwili dobrowolnie zrzekam się i picia win owocowych i przyjmuję wybór, a przyrzekam, że zaufania nie zawiodę.

I rzeczywiście stał się on naszym nauczycielem, jak pracować społecznie.

W innym miejscu, lekarz kolejowy, bynajmniej nie zwolennik abstynencji, na Walnem Zgromadzeniu siedział przy wejściu i podkpiwał z naszych przemówień o szkodliwości alkoholu.

To też Prezes Okręgu, wyjaśniając cel i zadania ALK, skończył w te słowa: „co się tyczy szkodliwego działania alkoholu na urządzenie człowieka, to sprawę tą wyjaśni nam wybitny fachowiec w tej dziedzinie pan Dr. X. Panie Doktorze! prosimy bardzo!“

Cała sala powtórzyła: „prosimy, prosimy“.

Nie było co robić, Doktor poszedł na podjum; nie omieszkał przechodząc obok Prezesa Okręgu szepnąć: „niech Pana djabli wezmą“.

Wygłosił jednak piękne przemówienie, w którym sam siebie oskarżył, mówiąc: „na mnie nie patrzcie, przykładu ze mnie nie bierzcie, gdyż ja jestem człowiek słabowolny, nie mam siły zaprzestać pić, chociaż wiem najlepiej, że alkohol jest trucizną“.

W pewnym miejscu przy tworzeniu Koła Abstynenckiej Ligi Szkolnej kierownik szkoły, często zaglądający do kieliszka, rozplakał się i wzywał dzieci, by nie brały z niego przykładu, gdyż on jest już człowiekiem straconym, a one—dzieci powinny kochać swoją Ojczyznę, a dlatego muszą być zdrowe i mądre. Takim zaś może być tylko człowiek trzeźwy.

Na terenie Okręgu Radomskiego praca wre. Są tu bogate biblioteki, jest dom wypoczynkowy. Urządza się wciąż odczyty, pogadanki, kursy alkoholologii, wystawy. Sprowadzani są wybitni mówcy - profesorzy uniwersytetów. Staramy się być wszędzie; urządzamy widowiska w Domu Katolickim i Domu Robotniczym. Przyjmujemy udział w czwartkówkach Kolejowego Przysposobienia Wojskowego, w Rodzinie Kolejowej, w Abstynenckiej Lidze Szkolnej Średniej Technicznej Szkoły Kolejowej. Ści-

śle współpracujemy z T-wem „Trzeźwość“, a od jej duchowego wodza — p. redaktora Szymańskiego czerpiemy naukę i natchnienie.

Na obecnym Ogólnopolskim Zjeździe nauczyliśmy się dużo, a postulaty Zjazdu będziemy starali się wprowadzić w czyn, dla dobra Ojczyzny i dla dobra naszego Kolejnictwa, by nareszcie zatryumfowała opinia publiczna: „trzeźwy jak kolejarz“.

*Konstanty Kryśko.*

Prezes Okręgu Radomskiego ALK.

Radom.

## ZJAZD DELEGATÓW MIĘDZYNARODOWEGO ZWIĄZKU KOLEJARZY PRZECIWNIKÓW ALKOHOLU W SOFJI W DNIACH 27—29 MAJA 1938 R.

(Sprawozdanie)

Międzynarodowe Zjazdy Delegatów Kolejarzy Abstynentów są dzisiaj znane nie tylko członkom Abstynenckiej Ligi Kolejowców, ale także szerszemu ogółowi kolejowców i abstynentów różnych Towarzystw w Polsce. Zainteresowanie dla tych Zjazdów rośnie z roku na rok, tembardziej, że są one równocześnie połączone z pięknymi wycieczkami krajoznawczymi w tem państwie, w którym Zjazd się odbywa.

W bieżącym roku Kongres zaprosiła do siebie Bułgarja, przyjmując trudną rolę gospodarza. Spełniła ona swoje zadanie nader sumiennie, bowiem zaskoczyła wszystkich uczestników Zjazdu swoim nadwyraz miłym i serdecznym przyjęciem, zaimponowała im swoją gorącą i szczerą gościnnością, a zwłaszcza delegacji polskiej, która niejednokrotnie była ośrodkiem owacji i specjalnego zainteresowania.

Żałuję bardzo, że brak mi daru opisanie tego wszystkiego, cośmy wszyscy przeżyli, opisanie tak, by czytelnicy odnieśli jak najwięcej wrażeń z pięknych dni spędzonych w tej tak bogatej pod względem przyrody, a tak gościnnej Bułgarji. W każdym razie będę się starał jak najdokładniej, a zarazem zwięźle podzielić się wrażeniami.

W poniedziałek 23. maja 1938 r. Prezes Zarządu Głównego A. L. K. p. Inż. Józef Szadziewicz zegnał na Głównym Dworcu w Warszawie 17 uczestników Zjazdu, którzy o godz. 15.50 ruszyli w daleką podróż. W Radomiu, Skarżyskach i we Lwowie przyłączyła się reszta wycieczkowiczów, zamykając liczbę 24 uczestników z Polski. Ze względów służbowych dwóch uczestników pozostało w kraju, a szkoda!

We Lwowie zegnał nas prezes Koła Lwów - Miasto p. Wudkiewicz, podając sprawozdawcy kilkaset sztuk kalendarzyków, które wraz z cząsteczkami „Trzeźwość“ rozdzielono między kolejarzami w Bułgarji.

We Lwowie przyłączono do naszego pociągu wagon, który wiósł Premjera Rumunji Ks. Metrop. Mirona wraz z jego świtą. Z opóźnieniem zegnaliśmy po północy Lwów. We wtorek rano 24.VI. b. r. graniczne formalności przeszliśmy z humorem, szukano bowiem pieniędzy w termosach, a nawet w czekoladach, przekonując nas o czujności strażników celnych.

O godz. 16.40 przyjechaliśmy do Bukaresztu. Wieczór i następny dzień zużyliśmy na zwiedzaniu ruchliwego miasta i jego pięknej okoli-

cy. Przypadkowo przyłączył się do nas student praw p. Aleksander V. Moiseev, który niestrudzony w swej gotowości oprowadzał nas niemal po całym Bukareszcie. Z ramienia Gen. Dyrekcji C. F. R. pomagał mu niemniej p. Wasyl Merincec.

Godnym wspomnienia jest przepiękny ogród miejski „Gradima Cismigiu“ pełen kwiatów, roślin południowych, jezioro z wodotryskiem, wieczorem iluminowany kolorowym światłem. Groty, mosty, zwierzęta i ptactwo upiększają bajkowy ten ogród. Za miastem znajduje się „Luna Bukareszti“ park zabawowy, którym Bukareszt naprawdę poszczycić się może.

Godnym widzenia jest muzeum „wieś rumuńska“, w którym znaj-



*Powitanie wycieczki na granicznej bułgarskiej stacji Roussie.*

dują się naturalne eksponaty domów i chat, a nawet kościołów z różnych dzielnic Rumunii. Widzimy tu różne typy właściwe Besarabji, Bukowinie, Siedmiogrodowi i innym dzielnicom kraju. Piękne jezioro dla sportu wodnego, kolejka dla młodzieży, muzea, przyrządy gimnastyczne i t. p.

Starych wozów automobilowych w Bukareszcie nie widać. Auta przeważnie marki amerykańskiej i to zarówno taksówki, jak i prywatne, jak gdyby przed kilkoma dniami zaopatrzone całe miasto nowymi autami, a stare usunięto. Samochodów w mieście jest ogromna liczba.

Za uprzyjemnienie nam pobytu w Bukareszcie dziękujemy szczególnie p. Inż. Constantinescu, oraz Inspektorowi p. Ionescu Nicolai Bogdanowi.

26.V. opuściliśmy Bukareszt w dalszą drogę w kierunku stacji

granicznej Giurgiu Port. Po względnej rewizji odjechaliśmy rumuńskim statkiem „Turnu Macureli“ o godz. 10-ej przez szeroki Dunaj, tym razem zabrudzony, zapewne po ulewie. Mimo tego czarujący był widok na rzekę, która raczej podobna do jeziora rozlewa swe wody na około 800 m. szerokości.

Zbliżając się statkiem do bułgarskiego brzegu miasta Rouse, zauważyliśmy większą grupę osób. Przypuszczaliśmy, że są to pasażerowie, którzy naszym statkiem odpłyną na rumuńską stronę. Tymczasem, gdyśmy wstąpili na mostek i zbliżyli się do brzegu, zupełnie niespodziewanie ta dyskretnie ustawiona liczna grupa — jak się okazało — kolejarzy wraz z rodzinami zaintonowała hymn „Jeszcze Polska nie zginęła!“ Wprost osłupieni ze zdziwienia i radości, a nie mniej wzruszeni takim przyjęciem, wysłuchaliśmy bardzo serdecznego przemówienia powitalnego, które wygłosił w języku bułgarskim inż. Jurdanoff. Witał on Polaków, jako bratni naród na Bułgarskiej ziemi, polskich kolegów „żelźniczarów“ - abstynentów i życzył nam przyjemnego pobytu w Bułgarii. Nastąpiło serdeczne uściśnięcie dłoni i wręczenie kwiatów, oraz kokardek narodowych bułgarskich przez tamtejsze panie. Pierwsze różę, jedna piękniejsza od drugiej, sprawiły nam wszystkim, a zwłaszcza naszym paniom szczególną radość.

Sprawozdawca, jako przewodnik wycieczki, otrzymał bardzo duży bukiet najpiękniejszych różnobarwnych piwonji.

W towarzystwie naczelnika stacji pp. Traicowica, Inż. Jurdanowa, Inż. Pandesowa, oraz Duintgerowa i innych udaliśmy się do miasta, gdzie przyjęto nas śniadaniem.

Po serdecznem pożegnaniu ruszyliśmy w dalszą drogę do Sofji, dokąd towarzyszył nam p. Inż. Pandesow, objaśniając w czasie podróży piękne okolice i krajobrazy Bułgarii. Po drodze niejednokrotnie widzieliśmy dekorowane zielenią budynki stacyjne z polską flagą, kilkakrotnie zauważyliśmy biało-czerwoną chorągiew również i na budkach strażniczych. Radość nasza potęgowała się, gdy przejeżdżający nasz wagon witano i żegnano przez bułgarskich kolegów. Na stacji w Cerwenbreku i Mezdry w czasie postoju witali nas naczelnicy stacji, kolejarze z rodzinami, wręczając nam przytem bukiety róż, które w kraju tym całymi łanami są uprawiane. Cała nasza grupa była stale pod silnem wrażeniem tak serdecznego przyjęcia nas przez Bułgarów podczas podróży. Na kilka stacji przed Sofją wsiadł do naszego wagonu Sekretarz Zarządu Głównego Bułgarskiego Ogólnego Związku Kolejarzy i Marynarzy, sympatyczny p. Lubomir Bursky, korespondent Gen. Dyrekcji Kol. i Marynarki z pochodzenia Polak. Po przedstawieniu się, przywitał nas w imieniu Og. Związku Kol. i Mar., wręczając każdemu z nas piękną emaljowaną odznakę tej Organizacji wraz ze wstążką o barwach bułgarskich. Poza tem każdy z uczestników otrzymał kopertę, w której umieszczono zaproszenia na poszczególne imprezy przewidziane w programie tak Zjazdu, jak pobytu w Sofji. Na zewnętrznej stronie koperty wydrukowano w języku niemieckim i francuskim bardzo piękne słowa powitania przyjezdnych gości na Zjazd do Sofji.

Do Sofji przybyliśmy o godz. 21. Stacja była udekorowana. Na peronie tłum ludzi. Orkiestra kolejowa odegrała hymn polski i bułgarski. W imieniu Ministra przywitał nas Naczelnik Wydziału personalnego



Gen. Dyrekcji p. Iwan Szapkarew, w imieniu Ogól. Związku Kol. i Marynarki Inż. Tinterow, w imieniu Sekcji abstynenckiej sekretarz Jurkowiak, zaś jako przewodnik dla delegacji polskiej Inż. Arch. p. Cwiantan Dobrew, który niegdyś kilka lat przebywał w Warszawie. Za tak serdeczne i owacyjne przyjęcie podziękował sprawozdawca częściowo w języku niemieckim i polskim. Panie, witając się z naszą delegacją, wręczyły nam kwiaty. Po przejściu przed kompanją honorową kolejarzy, udaliśmy się do pobliskiego hotelu odprowadzeni przez orkiestrę, z kompanją honorową na czele przy współudziale tłumu publiczności.

O godz. 23.45 wyszliśmy na stację celem przywitania reszty uczestników Kongresu, którzy z Prezesem Międz. Zw. Kol. Przec. Alkoho-



*Grupa członków wycieczki i kolejarzy bułgarskich z szefem personalnym K. B. p. płk. Szapkariewym.*

lu p. Weberem przybyli przez graniczną stację Dragoman, udając się autami do Hotelu Kolejowego i Hotelu „Sławiańska Beseda“.

27. maja b. r. w myśl programu Zarząd M. Zw. K. P. Alk. o godz. 9 przedstawił się Ministrowi Komunikacji P. Gener. Jowowowi. Od godz. 10 do 14 odbyło się posiedzenie Zarządu M. Z. K. P. A., w którym brali udział: Prezes P. Weber Karol, Gen. Sekret. Van der Horst, Inż. Brandt (Holandia), Parup (Danja i Szwecja), Nordber (Norwegja), Dr. Cia (Węgry), Dr. Dobrodolac (Jugosławja), Bover (Anglja), Dr. Filipini (Włochy), König (Szwajcarja), Mtd. Guston (Francja), Inż. Rustszew i Dr. Babulkow (Bułgarja) oraz sprawozdawca z ramienia Polskiej A. L. K.

W pięknej sali posiedzeniowej przywitał zebranych w imieniu Ministra Komunikacji Naczelnny Lekarz Dr. Welew, z ramienia Komitetu Kult. Oświat. Dr. Popnoew, z ramienia Sekcji Abstynen. Kolej. Dr. Babulkow. Nieobecność swą usprawiedliwili Niemcy, Czechosłowacja, Rumunja. (Uchwały i temat dyskusji posiedzenia podam osobno).

Następny Zjazd Ogólny M. Z. K. P. A. uchwalono zwołać w czerwcu 1939 r. do Budapesztu.

W czasie trwania posiedzenia uczestnicy naszej wycieczki zwiedzili miasto, poczem udali się na wspólny obiad wydany przez Bułg. Org. Kolej. i Marynarzy. Po południu grupami zwiedzano miasto, zaś Zarząd M. Z. K. P. A. udał się do Zamku Królewskiego celem wpisania się do księgi audjencyjnej. Wieczorem wszyscy uczestnicy Zjazdu udali się na przedstawienie do opery. Grano „Martwe oczy“ Eugenjusza Dalberty.

28. maja godz. 9 rano odbył się dalszy ciąg posiedzenia M. Z. K. P. A.

W międzyczasie polska grupa przedstawiła się Konsulowi Polskiemu i następnie złożyła wieniec na grobie Nieznanego Żołnierza. Prócz tego złożyły bukiety, delegacje Jugosławji i Węgier. Złożenie wieńca nastąpiło bardzo uroczyście przy współudziale wojska, orkiestry, oraz uczestników Zjazdu. Przemawiali kolejno przedstawiciel Garnizonu, Dr. Cia (Węgry), Dr. Dobrodolac (Jugosławja), oraz sprawozdawca w imieniu A. L. K. Orkiestra odegrała bułgarski hymn wojskowy. Z ramienia Konsulatu polskiego obecny był Radca Poselstwa p. Korsak. W końcu Komendant Garnizonu podziękował za oddanie hołdu „Nieznanemu Żołnierzowi“.

29. maja odbyła się wielka Akademia propagandowa w sali teatralnej w domu kolejowym pod przewodnictwem Ministra Komunikacji P. Gen. Jovowa. Początek o godz. 10. Chór kolejowy przybrany w strój narodowy odśpiewał hymn bułgarski „Szumi Marica“, oraz hymn abstynencki, poczem w bardzo serdecznych słowach przywitał zebranych p. Minister Gen. Jovow, przyczem zaznaczył, że doskonale zna intencję ruchu abstynenckiego, a zwłaszcza wśród kolejarzy i marynarzy. Sam jako abstynent jest jego zwolennikiem i opiekunem. Pragnie, by w przyszłości kolejarze i marynarze bułgarscy wszyscy stanęli w szeregach abstynentów i dali najlepszą gwarancję bezpieczeństwa ruchu na kolejach i na statkach żeglugi morskiej i rzecznej. W bardzo wzniosłych słowach przemówił Prezes Związku M. Z. K. P. A. p. Weber.

Po powyższem nastąpiły odczyty, a mianowicie: w języku niemieckim p. Inż. Brandt (Holandja) „Alkohol i ruch“, p. D-ra Cia (Węgry), „Co kosztują nałogi pijaństwa Zarząd Kolejowy“, w języku serbskim p. D-ra Dobrodolac „To i owo o alkoholu i kolei“. Najważniejszy temat, jaki poruszano, streszcza się następująco: p. Inż. Brandt uważa, że dzisiaj żaden kierowca, czy to parowozu, motorówki, auta, czy samolotu nie powinien używać alkoholu. Dr. Cia słusznie zauważył, że kolejarz pije, a rachunek płaci Zarząd kolejowy. Dr. Dobrodolac powiedział, że w razie wypadku kolejowego z przyczyny alkoholu nie powinno się mówić o wypadku kolejowym, tylko o wydatku dla kolei.

Spowodu nieobecności delegata z Wiednia D-ra Bekesa, odczytał referat jego pod tyt.: „Alkohol i bezpieczeństwo ruchu“ Dr. Nejczew,

kt. tłumaczył wszystkie powyższe odczyty na język bułgarski. Szkoda jedynie, że właśnie w Bułgarji nie wygłosił odczytu któryś z polskich lekarzy lub inżynierów. Nie zapomnijmy zgłosić prelegenta na przyszły Zjazd w Budapeszcie w roku 1939.

Akademję zamknął p. Minister Gen. Jovow, dziękując Międzynarodowemu Związkowi, p. Weberowi i prelegentom za trud, oraz delegatom, gościom za przybycie. Przemówienie powitalne i końcowe p. Ministra otrzymał każdy z uczestników przetłumaczone na język niemiecki. O godz. 13 odbył się bankiet u P. Ministra dla oficjalnych delegatów M. Z. K. P. A., na którym obecni byli P. Minister Gen. Jovow z małżonką, Gen. Dyrektor Kolei p. Kolczew z małżonką, Naczelnik Wydziału



*Powitanie wycieczki na st. Tirnowo.*

Pers. Szapkarew, Dr. Nejczew, Dr. Welew, Dr. Babulkow, Inż. Georgiew, Inż. Drandarow, Inż. Dr. Petrow. Polską ALK. reprezentował delegat p. Emil Koch. Na przemówienie P. Ministra podziękowali w imieniu wszystkich Delegatów przedstawiciel Angliji Pan Bover i Dr. Cia.

O godz. 16 P. Minister przedstawił się wszystkim uczestnikom Zjazdu, przy czym orkiestra grała „wieniec tańców narodowych“. Pan Minister z małżonką i córką w uprzejmej i swobodnej pogadance z polską grupą interesował się stosunkami organizacji kolejarskich, sprawnością sprzętu kolejowego, zakupionego w Polsce, szczególnie parowozowego.

Przy muzyce tańczono wesoło, przyczem specjalnie oklaskiwano polskie tańce, które aranżowali na przemian pp. Wiśniewski z Łap i Zygnerski z Warszawy. Po pożegnaniu się Pan Minister Gen. Jowow oraz p. Dyr. Kolei Kolczew w asyście D-ra Welewa i D-ra Popnoewa, D-ra Wyrzykowskiego i sprawozdawcy zwiędził „Polski Wagon Wystawy A. L. K.“, który przybył do Bułgarii razem z wycieczką polskiej grupy, przy czem p. Zatonow objaśnił poszczególne eksponaty znajdujące się w wagonie. Pan Minister wyraził się pochlebnie o naszym wagonie i omówił ze swymi urzędnikami konieczność urządzenia podobnego wagonu wystawy na kolejach bułgarskich.



Sofja — pomnik nieznanego żołnierza.

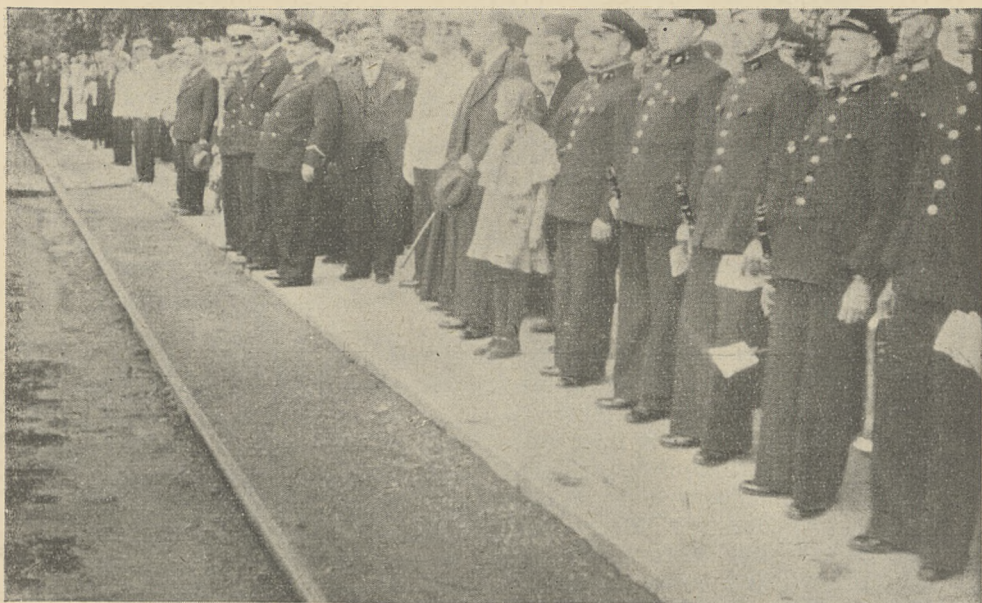
Wieczorem na zaproszenie Prezesowej Stowarzyszenia Abstynentów I. O. G. T. Sofji p. A. Monedjecowej i D-ra Nejczewa, sprawozdawca brał udział w kolacji wydanej dla członków i gości z I. O. G. T., przyczem Pani Monedjecowa wręczyła sprawozdawcy wydaną przez siebie książkę w języku bułgarskim p. t. „Polska“ 1888 — 1928 z bogatymi ilustracjami.

30 maja uczestnicy Kongresu udali się specjalnym pociągiem, składającym się z jednego wagonu restauracyjnego i 3-ch wagonów sypialnych I. i II. kl. w podróż wycieczkową po Bułgarii. Do każdego wagonu przydzielono 2 konwojentów. Śniadanie (22 lewy), obiady (66 lewów) spożywano w wagonach restauracyjnych. Kierownictwo wycieczki objął

osobiście Nacz. Wydz. Personal. Pułk. Szapkarew, który okazał się znakomitym organizatorem, przytem specjalnie dla grupy polskiej okazał szczególne wyróżnienie. Pomocni w podróży byli mu pp. Dr. Popnow, Sekretarz p. Bursky, Naczelnik stacji Sofji p. Paraszkewow, Inż. Ruszczew i Dr. Babulkow.

Od początku tej podróży zaczęły się uroczyste powitania, które raczej nazwaćby można przyjęciem dla ministrów, a nie dla skromnej grupy członków M. Z. K. P. A.

*Kriczym:* 32 minut postoj, owacje kolejarzy, publiczności, młodzieży szkolnej, przemówienie p. burmistrza miasta, wręczenie kwiatów, w szczególności róż.



*Plowdiw — powitanie na dworcu.*

*Krumowo:* Miasto nosi nazwę po I-szym królu bułgarskim Krum. Wita nas młodzież szkolna i wręcza nam róże.

*Katunica:* Serdeczne przyjęcie i owacje. Chór młodzieży szkolnej śpiewa pieśń powitalną. Burmistrz miasta przemawia i serdecznie wita, kolejarze podają dłoń. Miejscowa ludność wita okrzykiem „hura!” Zwiedzamy wielkie plantacje truskawek przy upalnej pogodzie. Ludzie opaleni jak murzyni. Zwiedzamy również fabryki i magazyny konserwacyjne, truskawek i innych owoców eksportowych.

*Plowdiw:* Dawna stolica przygotowała dla uczestników Zjazdu nadzwyczajne przyjęcie. Tłumy publiczności na stacji, orkiestra wojskowa na czele z komendantem garnizonu, cała młodzież szkolna od najniższych klas szkoły powszechnej do najwyższej klasy szkoły średniej. Dzieci z bukietami najpiękniejszych róż, które wręczały potem uczestni-

kom. Chór kolejarzy mieszany odśpiewał kilka pięknych piosenek narodowych. Owacje ze wszystkich stron. Burmistrz miasta wygłosił b. serdeczne przemówienie powitalne. Jak wszędzie dotychczas, a tu w szczególności cieszy się specjalnym przyjęciem nasz nieoceniony Prezes p. Weber, który musiałby mieć chyba specjalny przedział na kwiaty, które otrzymał od gościnnych Bułgarek i Bułgarów.

Autokary i powozy odwiozły nas do miasta, i do pięknych jego zakątków. Domy prawie wyłącznie bielone żółtą farbą tu i ówdzie dekorowano flagami. Ogródki czysto utrzymane — nie brak nigdzie najpiękniejszych róż, które bez specjalnej opieki rosną tu masowo. To też Bułgarja słynie ze znanego olejku różanego, który tu nabyć można po cenie od 25 do 35 lew za gram.

Zwiedziliśmy muzeum i bibliotekę, w której znaleźliśmy i moc polskiej literatury. Młodzież szkolna pilnie studjuje potrzebny materiał naukowy. Spacerem idziemy na historyczne wzgórze tego starego miasta i oglądamy przepiękne okolice i taśmę płynącej Maricy, którą utrwalili Bułgarzy w swoim hymnie „Szumi Marica“.

Na tarasie góry Wolności spożyliśmy kolację, wydaną przez miasto i Zarząd Kolei. Damska orkiestra przegrywała między innymi „Wieniec polskich pieśni“ Osmańskiego, za co została wynagrodzona specjalnym aplauzem ze strony naszej delegacji. W serdecznych słowach przemówił burmistrz miasta p. Stiklejew, dziękowali p. Weber, Bover (Anglja), oraz Inż. Hirschenfeld w imieniu Polaków, w tłumaczeniu niemieckim sprawozdawca.

Nikt z uczestników nie zapomni miłego i serdecznego nastroju, jaki panował wśród uczestników tego wieczoru. Nie zapomni też tego malowniczego widoku, jaki ukazał się przed nami przy zachodzie słońca — widzianego chyba na dekoracjach teatralnych, czerwien dachów, żółtych domów, zielono szarych gór, na tle błękitnego nieba u nas w Polsce niewidzianego, w dole majestatycznie płynąca Marica.

Z prawdziwym żalem opuściliśmy gościnne miasto przy dźwiękach damskiej orkiestry, która odegrała na pożegnanie „Zaria chrani“. Auta przewiozły nas na stację. Odjazd nastąpił przy dźwiękach orkiestry kolejowej do Starej Zagory.

Po odpoczynku w naszym wagonie dnia 31.V. b. r. rano na stacji w Starej Zagorze spotkało nas przyjęcie wielkiej miary. Wita nas znowu młodzież szkolna, przyczem jeden ze studentów przemawia w imieniu młodzieży, następnie kolejarze, orkiestra wojskowa, chóry szkolne, przedstawiciel garnizonu, kilku księży, i około 2 tysięczna publiczność. Przemawiali przedstawiciele miejscowych organizacyj t. j. abstynenckiej kolejowej i ogólnych (I. O. G. T.), oraz burmistrz miasta p. Dr. Naczo Naczew, który niegdyś studjował i ukończył prawo na Uniwersytecie we Lwowie. Rozmawiał potem z polską grupą i wspominał z przyjemnością spędzone lato w Polsce, przyczem prosił nas o nadesłanie mu książki pod tytułem „Rok przewrotów 1885 — 1886“ Jana Grzegorzewskiego, którą od lat już poszukuje, i znaleźć nie może, pragnąłby ją chętnie dostać, traktuje ona bowiem historję Bułgarji z tych czasów. Kto z czytelników mógłby ją gdzieś w jakiejś księgarni znaleźć, zechce łaskawie nadesłać ją sprawozdawcy, lub bezpośrednio na adres: Dr. Naczo Naczew, burmistrz miasta Stara Zagora — Bułgarja.

Po wręczeniu kwiatów przy okrzykach „Da żywe Bułgarja“ i trzykrotnym „hura“, opuszczamy miasto o godzinie 9.10.

Pociąg nasz przejeżdża przez piękne okolice Bałkanu, gdzie widzimy 25 ciekawych tuneli budowanych już przez bułgarskich inżynierów. Tor kolejowy wznosi się coraz wyżej, tak, że około Bazowec widzimy trasę kolejową w krętych linjach. Piękna panorama górską, którą oglądamy przy specjalnym postoju 34 minutowym. W czasie krótkiego postoju w Debowie i Trwnie wita nas cygańska muzyka i młodzież szkolna, wręczając róże, z których wyrabia się olej różany. Matki podnoszą swych ulubieńców, by ułatwić im wręczenie kwiatów. Byliśmy wzruszeni tą serdecznością.



*Powitanie na dworcu w Starej Zagorze.*

O godz. 14.10 przywitało nas miasto Tirnowo. Stacja udekorowana zielenią i flagami, znowu tłumy ulicznosci, młodzież szkolna, przedstawiciel garnizonu, podpułkownik Minselkow, duchowieństwo, muzyka kolejowa i pracownicy kolejowi.

Zwiedzanie miasta, które pięknie dekorowane flagami przybrało nastrój uroczysty. Pokazano nam potężną w czerwonej szacie przebraną bursę kolejową, nowoczesnie wzorowo urządzonej. W ciekawy sposób płynie rzeka Jantra, przybiera ona bowiem przez miasto kręty bieg (jak duży wąż). Ciekawe ruiny zamku „Balduin“ niegdyś twierdzy, stary meczet, później kościół, jednak przez trzęsienie ziemi zniszczony. Bardzo zajmujące są stare wąskie ulice i domy ze swoją architekturą. Przy wejściu powyższe domy posiadają krzewy winogron, które witają zachęcająco gości.

Na mieście pijemy winny i orzeźwiający brązowy napój „Boza“. Sprzedają go Bułgarzy i Turcy po 1 lewie za szklanke. Napój ten sprzedają nawet najwytworniejsze lokale. Wytwarza się go z prosa i jest godny polecenia i dla naszego społeczeństwa.

Wieczorem zebraliśmy się w domu kolejarskim, gdzie podejmowano nas kolacją. Nasi „mechanicy“ Harasiewicz i Konieczny połączyli nas na antenę z Warszawą. Niestety słyszeliśmy tylko odczyt zamiast spodziewanej muzyki polskiej. Kolega Nordberg (Norwegja) pisze swobodnie pozdrowienie do Swego Króla. Niemałe zdziwienie wywołało to wśród naszych polskich kolegów, widząc na widokówce miasto Tirnowo i adres do Króla Norwegji.

Przy kolacji następują przemówienia. Mówi siedzący dotychczas skromnie „okol. uprawitel“ (burmistrz). Przemówienie, jak wogóle wszystkich bułgarskich dostojników, cechuje nadzwyczajna serdeczność i szczerść. Przemawia też podpuł. Mincelkow, w imieniu garnizonu, wreszcie P. Weber. W imieniu Polaków dziękują p. Zawadzki z Warszawy, w tłumaczeniu niemieckiem p. Konieczny ze Skarżyska. Niemniej miły nastrój panował wśród wszystkich, jak w przeddzień w Płodwiwie. Czarujący widok z tarasu na piękne okolice Tirnowa, które są godne widzenia dla naszych turystów, którzy bardzo często udają się na wywczasy do okolic przereklamowanych, nie wiedząc o tem, jaki miły pobyt znaleźćby mogli w bratnim kraju Bułgarji.

Autokary zawiozły nas na stację. Za Górną Orechowicą przenocowaliśmy spokojnie w naszym pociągu. Przybyliśmy do Warny. Orkiestra kolejowa witała nas swym marszem. Kolejarze i marynarze, w długim szpalerze, młodzież szkolna, chór kolejarzy i młodzieży wręczyli nam kwiaty. W imieniu kolejarzy abstynentów przywitał nas lekarz kolejowy Dr. Kolarow. W imieniu stacji Naczelnik Gospodinow. Nad wejściem widniał wielki napis „Witamy“. Po zwiedzeniu miasta, portu i akwarjum, delegacja polska w towarzystwie delegacji węgierskiej i pewnej części uczestników Zjazdu złożyła wieniec na grobie Króla Władysława Warneńczyka. W imieniu delegacji polskiej przemawiał sprawozdawca, w imieniu Węgrów Dr. Cia, w imieniu Bułgarów Inż. Ruszczew. Oba złożyli na grobie bukiety.

Łodzią motorową udaliśmy się do Carinogrodu, letniego pałacu królewskiego. Piękny park otacza bajeczne zabudowanie rezydencji morskiej Króla Bułgarji. Widzieliśmy tu bardzo precyzyjny zegar słoneczny. Rośliny południowe, egzotyczne krzewy i drzewa, niepospolite, naprawdę śliczny park.

Ta sama motorówka zawiozła nas po falach Czarnego morza do St. Konstantin, gdzie mieszczą się dwa duże i piękne domy wypoczynkowe kolejarzy i marynarzy bułgarskich. Oba domy stoją na wzgórzu. W sąsiedztwie mieści się polski dom wypoczynkowy, który zwiedziliśmy. Oczekiwał on właśnie na letników z Polski. Urządzenie wewnętrzne w tymże domu wspaniałe i godne polecenia. 120 lewów na dobę t. j. 8 zł. płaci letnik za utrzymanie w polskim domu.

W restauracji nadmorskiej przyjęto nas kolacją, którą wydała organizacja kolejarzy i marynarzy. Chłodny wiatr od morza przywiewał. Nastrój panował mieszany — wesoły i poważny. Był to bowiem ostatni wieczór, który spędziliśmy wspólnie wszyscy uczestnicy razem.



Pożegnalne i dziękczynne przemówienia dały dowód, jak w tych kilku dniach uczestnicy Zjazdu się zbratali. Stworzyliśmy prawdziwą międzynarodową rodzinę abstynentką — kolejarzy i marynarzy. Mała nasza „Liga Narodów“ pod przewodnictwem p. Karola Webera dała niejednokrotnie dowód, jak wesołym i zadowolonym można być bez alkoholu.

Naczelnik Wydziału personalnego p. pułk. Szapkarzew w bardzo gorących słowach dziękował nam za przybycie i dał wyraz radości, że mógł nas gościć, przyczem zaznaczył, że Bułgarzy pilnie śledzą postępy kultury obcych narodów, wymieniając wielkich ich mężów, jak również i naszych m. in. Mickiewicza, Szopena, Piłsudskiego. Pragną oni zbliżyć się do zachodniej kultury Europejskiej i światowej, pragną utrzymania



*Grobowiec króla Władysława Warnieńczyka koło Warny.*

wolności, której odzyskanie najlepiej rozumieją Polacy. W końcu powiedział, że wprawdzie to, cośmy u nich zobaczyli, przedstawia się może zbyt skromnie, to jednak serca wszystkich Bułgarów oddane są nam bez zastrzeżeń. Żegnając nas, uniósł puchar wina bezalkoholowego na cześć wszystkich abstynentów M. Z. Kol. P. Alk.

Przemawiał również Dr. Koralew w imieniu kolejarzy abstynentów. W bardzo serdecznych słowach dziękował prezes p. Weber. W końcu dziękowali wszyscy przedstawiciele poszczególnych grup państwowych. W imieniu naszej delegacji sprawozdawca złożył w polskim i niemieckim języku specjalne podziękowanie, ponieważ nasza grupa jako najliczniejsza sprawiła też gospodarzom wiele trudu.

Godnym podziwu był niestrudzony sekretarz bułgarskiego Zwią-

zku p. Lubomir Bursky, który jako tłumacz miał niełatwe zadanie, a które spełniał w stu procentach. Nieprzeciętna pamięć pozwoliła mu prawie dosłownie tłumaczyć przemówienia poszczególnych mówców.

Reasumując wszystkie wrażenia z podróży, mogę powiedzieć, że wycieczka była pożyteczna i bardzo piękna. Nasz Wagon-Wystawa na każdej stacji przy większym postoju był licznie zwiedzany.

Władzom kolejowym bułgarskim z p. Ministrem Komunikacji Generałem Iwanem Jovowem na czele należy się serdeczne podziękowanie za niezmiernie miły stosunek do Kongresu i wycieczki, za niezwykle gościnność i przewidującą opiekę.

Lwów.

*Emil Koch.*

## Z ABSTYNNENCKIEJ LIGI KOLEJOWCÓW.

### Kronika Organizacyjna.

Zarząd Główny A. L. K. Na Zjeździe Delegatów Okręgowych A. L. K. dn. 13 marca r. b. został wybrany nowy Zarząd Główny z siedzibą w Warszawie, który na plenarnem posiedzeniu dn. 20 marca r. b. ukonstytuował się, jak następuje:



*Inż. Józef Szadziejewicz, Prezes Zarządu Głównego A. L. K.*

Prezes Inż Szadziejewicz Józef z Warszawy, I-szy Wiceprezes Kryśko Konstanty z Radomia, II-gi Wiceprezes Bacia Paweł z Katowic, Sekretarz Generalny Bystrzejewska Leokadja z Warszawy, Skarbnik Baczynski Kazimierz z Warszawy; Członkowie Zarządu Gł.: Koch Emil ze

Lwowa i Gliński Marjan z Warszawy; Zast. Członk. Zarz. Gł.: Inż. Kawczyński Roman z Rawy Ruskiej, Sierpina Józef z Krakowa i Zygnerski Feliks z Warszawy, zastępca Sekr. Gen.

**Komisja Rewizyjna.** Przewodniczący Piotrowicz Roman z Lublina, Członkowie: Dr. Zgirski Ludwik z Brześcia, Korzon Jan z Warszawy; Zast. Członka: Stankiewicz Waclaw z Radomia i Poczynek Franciszek z Krakowa.

**Adres Zarządu Gł.:** Warszawa, ul. Oboźna 4, m. 28, tel. 511-07.  
Adres dla poczty kolejowej: Warszawa — Główna — Osobowa.

Warszawa. W dn. 27.III. r. b. Koło A. L. K. Warszawa-Praga zorganizowało poranek muzyczny, podczas którego wygłoszony został odczyt przez p. Zygnerskiego p. t. „Wpływ alkoholizmu na jednostkę i rodzinę“.



*Konstanty Kryśko, Wiceprezes Zarządu Głównego A. L. K.*

**Radom.** Dn. 3.IV. r. b. w Radomiu odbyła się akademja, zorganizowana przez Okręg A. L. K. w Radomiu, wspólnie z miejscowem Kołem Tow. „Trzeźwość“. W części odczytowej wzięli udział pp. Red. Szymański, prof. Orzęcki, dr. Vorbrodt i dr. Jaworski, część koncertowa obejmowała śpiew i występy orkiestry. Z ramienia D. O. K. P. w Radomiu był obecny p. Naczelnik Biura Personalnego, Szlapak. Z ramienia Zarządu Gł. ALK. Prezes Inż. Józef Szadziewicz i Sekretarz Generalny p. Leokadja Bystrzejewska.

W dn. od 25.IV. do 2.V. r. b. przez Zarząd Okręgu A. L. K. w Radomiu pod kierownictwem prezesa Okręgu p. Konstantego Kryśki zorganizowany został 16-to godzinny kurs alkoholologii dla uczestników kursów fachowych (aspirantów) Dyrekcji Radomskiej; udział wzięło 488 słuchaczy. Wykładowcami byli pp. Red. J. Szymański, prez. K. Kalinowski, M. Skiba, dr. Jaworski, ks. Dr. B. Strzelecki, dr. J. Vorbrodt, Kom.

Micke, ks. Dr. Gierycz i prezes K. Kryško. W kursie wzięło udział 110 asesorów, 104 strażników kolejowych, 50 maszynistów, 95 torowych, 48 nadzorców przewodów i 85 osób z Policji Państwowej. Uroczystość zakończenia Kursu odbyła się w obecności delegata Ministerjum Opieki Społecznej, p. red. Jana Szymańskiego, Wicedyrektora Kolei p. A. Kurcza, mjr. Ostrowskiego i innych przedstawicieli Władz. Kurs udał się znakomicie. Imprezie tej udzielił poparcia swego Dyrektor Kolei p. Inż. St. Tarwid. Urządzenie tego Kursu jest prawdziwą zasługą p. K. Kryški, Prezesa Zarządu Okręgu A. L. K. w Radomiu.

Takie kursy Zarząd Główny zamierza przeprowadzić na terenie wszystkich Dyrekcji Okręgowych Kolei Państwowych.

**Pielgrzymka.** W dniach od 13.IV. do 26.IV. r. b. odbyła się pielgrzymka do Rzymu na uroczystość kanonizacji bł. Andrzeja Boboli, zor-



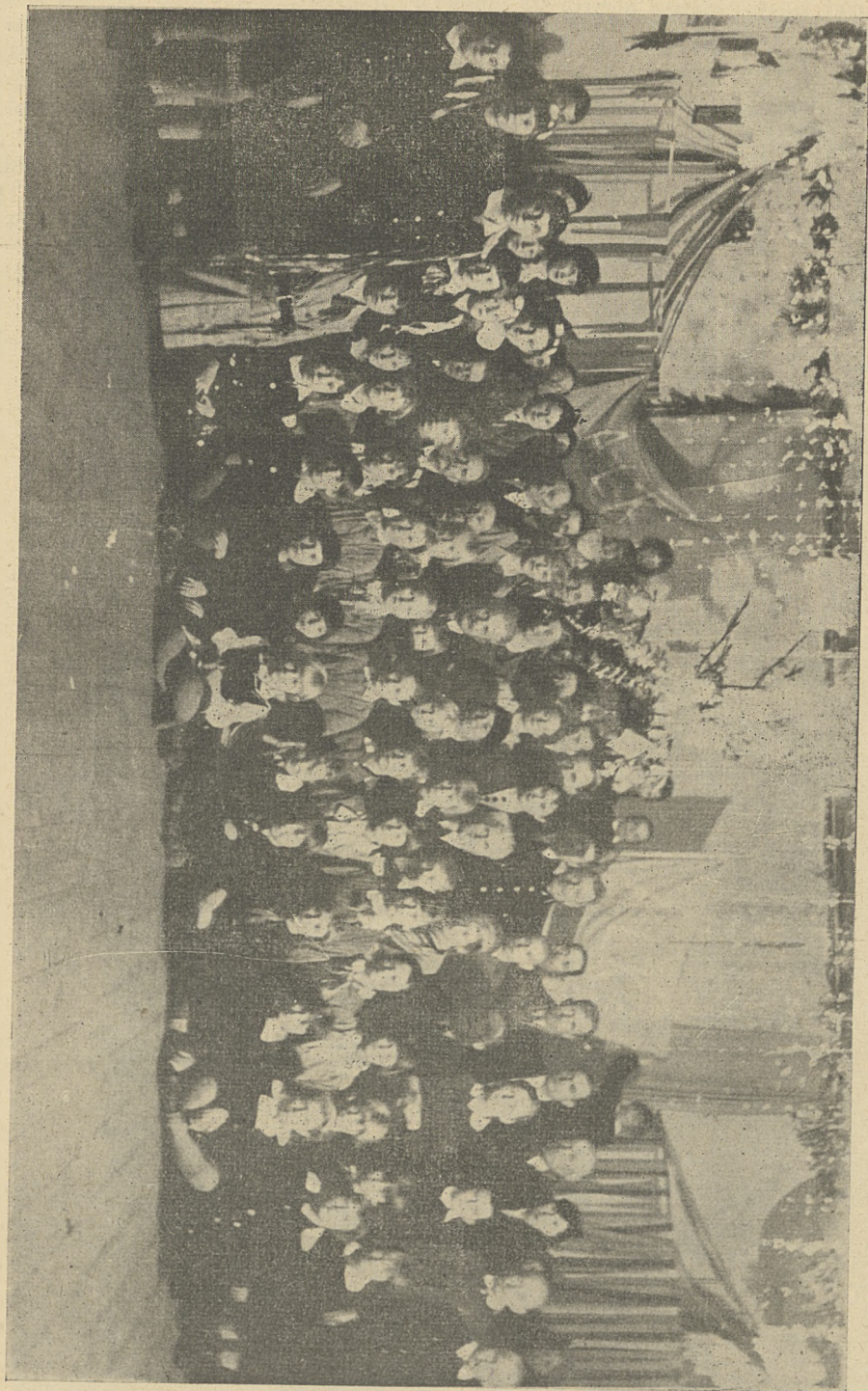
*Paweł Bacia, Wiceprezes Zarządu Głównego A. L. K.*

ganizowana przez Koło A. L. K. Warszawa-Wschodnia. W pielgrzymce wzięło udział 76 osób pod kierownictwem p. Inż. Kwapiszewskiego.

**Garbatka.** Dnia 3.VII. b. r. b. r. w Garbatce odbył się Kurs Alkoholologii, na który złożyły się referaty, wygłoszone przez pp. Dr. J. Vorbrodta, dr. J. Jaworskiego, ks. d-ra Strzeleckiego, red. Szymańskiego, K. Kryškę i J. Banasia; Kurs obejmował 6 godzin wykładów. Frekwencja była bardzo duża, miejscowa sala teatralna, szczelnie była wypełniona uczestnikami. Zainteresowanie ogromne. Większość uczestników rekrutowała się z okolicznych wsi, w tem dużo młodzieży. Po zakończeniu kursu, pod wpływem wysłuchanych wykładów zebrani uczestnicy zorganizowali nowe Koło Tow. „Trzeźwość“, powołując do życia Zarząd, który wybrany został przez aklamację. W ten sposób powstała nowa pla-



Uczestnicy polskiej delegacji na Międzypaństwowym Kongresie Kolejarzy przeciwników alkoholu w Sztokholmie.  
W środku siedzą: p. Dr. J. Notz, Prezes Zarz. Gł. A. L. K. i p. L. Bystrzejewska, organizatorka polskiej wycieczki. (7—8.VII. 1937).



*Grupečka A. L. K. w Kovolu.*

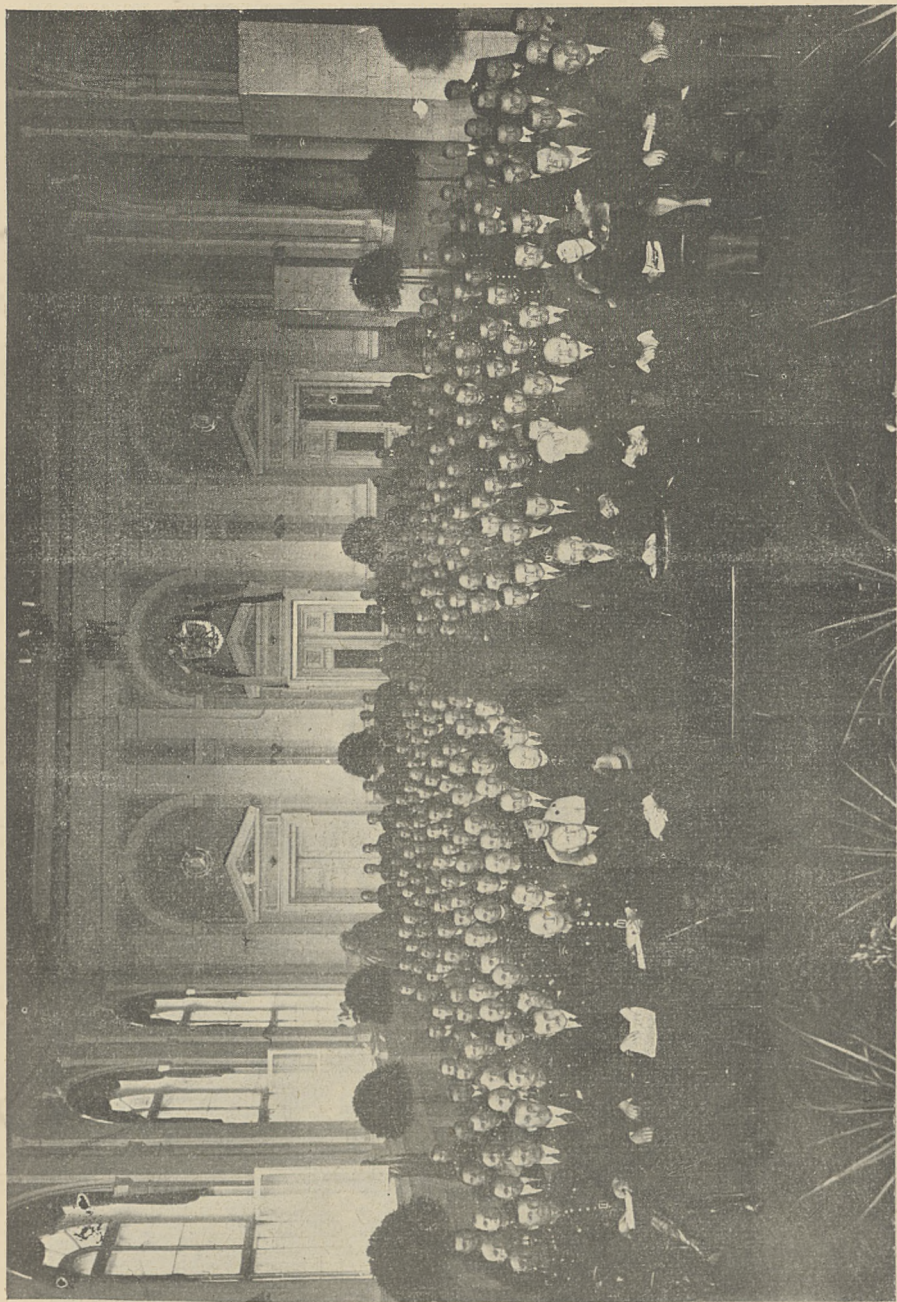


Wieczornica Abstynencka A. L. K. w Dębnie 13. marca 1937 r.



*Akademija Trizešvoški w Radomiu, dn. 3.IV. 1938.*





Kurs Alkohologii w Radomiu w dniach 25.IV — 2.V. 1938 r., wręczony przez Zarząd Radomskiego Okręgu A. L. K.



1-đniowy Kurs Alkohologii w Garbatce dn. 3.VII. 1938.

cówka walki z alkoholizmem. W im. Zarządu Gł. ALK. życzył nowemu Kołu Tow. „Trzeźwość“ pomyślnego rozwoju i osiągnięcia dużych sukcesów na polu walki z alkoholizmem. p. F. Zygnerski.

**Wilno.** Dn. 3.VII. b. r. w Wilnie odbyło się zebranie informacyjne delegatów poszczególnych Kół A. L. K. Okręgu Wileńskiego. Omawiano ważne sprawy organizacyjne, postanowiono przystąpić do szerzej zakrojonej akcji zwalczania alkoholizmu, oraz do ożywienia pracy poszczególnych Kół A. L. K., jako najmniejszych komórek naszej organizacji. Postanowiono przy pomocy Zarządu Gł. zwołać w niedługim czasie Zjazd Delegatów poszczególnych Kół A. L. K. Okręgu Wileńskiego. Pracę w terenie Okręgu cechuje stały, chociaż powolny, rozwój. Trudność w tym względzie polega w większości wypadków na tem, że dawni działacze zostali przeniesieni na emeryturę, zmniejszone więc zostały możliwości przejazdowe. Obecnie po wzajemnym porozumieniu praca Okręgu wejdzie w nową fazę rozwojową, która przyniesie niewątpliwe korzyści szerokim rzeszom społeczeństwa kolejowego. Zebraniu przewodniczył p. dr. Wincz.

*Feliks Zygnerski,*  
Zast. Sekr. Gen. Z. Gł. A. L. K.

*Inż. Józef Szadziewicz,*  
Prezes Zarządu Gł. A. L. K.

### Ważny Okólnik.

*Okólnik Ministerstwa Komunikacji z dn. 26 lutego 1938 r. Nr. 33 o wywieszaniu ogłoszeń związków i stowarzyszeń pracowników P. K. P.*

Związki i stowarzyszenia pracowników P. K. P. mogą wywieszać na terenie kolejowym tylko ogłoszenia o mających się odbyć zebraniach organizacyjnych, z podaniem: 1) miejsca, 2) terminu i 3) porządku dziennego danego zebrania. Wywieszanie jakichkolwiek innych ogłoszeń nie jest dozwolone.

Zezwolenia na wywieszanie ogłoszeń udzielają zwierzchnicy jednostek służbowych, na których terenie ogłoszenie ma być wywieszane. Zwierzchnicy ci winni badać, czy ogłoszenia odpowiadają powyższemu warunkom.

Kolejowe Przysposobienie Wojskowe, Rodzina Kolejowa, Liga Obrony Powietrznej Państwa, Liga Morska i Kolonjalna i Abstynencka Liga Kolejowców mogą wywieszać na terenie P. K. P. wszystkie swoje ogłoszenia i zawiadomienia, po uprzednim przedstawieniu ich zwierzchnikowi dotyczącej jednostki służbowej.

Nr. P 3/65/13/38.

(Dziennik Urzędowy Min. Kom. Nr. 24 poz. 241 i Nr. 45 poz. 418 z 1938 r.).

\*  
\*                      \*

Brak miejsca był powodem, że nie mogliśmy niestety, dotychczas regularnie podawać wszystkich wiadomości z działalności naszych Or-

ganizacyj przeciwalkoholowych. Obecnie, w miarę możności, staramy się brak ten usunąć. — W N-rze obecnym podajemy większy materiał z życia A. L. K. i Tow. „Mens“.

Red.

## PRZEGLĄD PRASY.

„*Ilustrowany Kurjer Codzienny*“ zamieścił w ostatnich czasach 2 niezmiernie charakterystyczne artykuły, dotyczące rozrostu przestępczości w związku z alkoholizmem. Głosy te tak popularnego „I. K. C.“ są niezmiernie interesujące; wskazują, że zło przybrało katastrofalne rozmiary, że walka z niem jest koniecznością. Nie podzielimy wszystkich wniosków „I. K. C.“, — omówimy je przy sposobności krytycznie. Ale, jak powiedzieliśmy, artykuły „I. K. C.“ są znamienne i doniosłe, — gdyż świadczą, że klęska alkoholizmu staje się zbyt oczywistą nawet w oczach ludzi nie mających nic wspólnego z ideą całkowitej abstynencji. (Red.).

## NAD OTCHŁANIĄ BIERNOŚCI.

**Bączek, szpaczek, śrubka, świderk, wróbelek, braciszek, szczeniaczek...**

Kraków, 7 czerwca.

„Wszystkie te nazwy — filuterne, zdrobniałe, pieszcotliwe, niemal miłosne — wynalazł język polski w ostatnich latach dla jednej rzeczy, czy jednego przedmiotu, nie wiadomo, jak to nazwać, krótko: dla najmniejszej buteleczki monopolowej wódki.

Większe flaszki mają już nazwy poważne, choć niemniej oznaczające stosunek życzliwy, taksamo uczuciowy, większa flaszka nosi solidną nazwę „pół korka“, a duża, „cała“, nazywa się uroczyście (a można powiedzieć także, że niemal świętokradczo) — „matka“. Niby, że nakarmić, względnie napoić, może całą rodzinę...

Nie ulega wątpliwości, że język w swem słownictwie jest jednym z najdokładniejszych odbić psychologii narodu i społeczeństwa — czy tych jego warstw, które danej gwary, danego języka używają. Otóż, niestety, to słownictwo, tyżące się wódki (jeżeli dodamy do tego jeszcze rozmaite „boczne“ określenia, jak picie „pod śledzika“, „pod grzybek“, „pod rzodkiewkę“ i t. d.), rozrosło się już do rozmiarów całej osobnej gwary, używanej w naszym społeczeństwie coraz szerzej — od tak zwanych „dołów“ do tak zwanej „góry“. — A gwara ta oczywiście rośnie i rozszerza się nie „w powietrzu“, lecz na realnym i żyznym gruncie praktyki życiowej.

Kazanie antyalkoholowe — powie ktoś. O, nie — tu chodzi o coś więcej, niż o propagandę przypominającą „Armję Zbawienia“. Tu nie chodzi o „alkoholizm“ nie tylko jako objaw fizycznie i materialnie bezpośrednio szkodliwy — lecz o coś, czego to pieszcotliwe, wyrażające

coraz bardziej rosnącą głęboką zażyłość naszego społeczeństwa z wódką,

jest tylko symptomem ponurym — lecz w każdym razie mniej ponurym, niż sygnalizowane przezeń zjawisko społeczne.

Pić czy też nie pić? — oto jest pytanie, na które ludzkość, jako zbiorowy Hamlet, nigdy nie dała sobie stanowczej odpowiedzi ani w jednym, ani w drugim kierunku. Chcemy tu mówić językiem ludzi trzeźwych — to znaczy trzeźwych nie od wódki, lecz jasno patrzących na rzeczywistość — którzy wiedzą, że „alkoholizm“, jeżeli go już tak nazwiemy, jest właściwie niezwyknięty. Zawsze i wszędzie coś ludzie pili, zawsze i wszędzie piją i prawdopodobnie zawsze i wszędzie pić będą. Wykazała to choćby bezskuteczna walka nadmiernej prohibicji z alkoholizmem w Stanach Zjednoczonych. To też postawić tu chcemy sprawę prosto i nie świętoszkowato: zupełnie od picia ludzi prawdopodobnie nigdy i nic nie odwiedzie. Pije się nie tylko u nas — piją ludzie i na zachodzie Europy, nawet czasem tęgo.

Chodzi jednak — użyjmy i takiego wyrażenia —

o „kulturę picia“. Chodzi o to: co, jak, kiedy, gdzie i ile — pić można, jeżeli się już pić „musi“.

Chodzi o to, aby społeczeństwo nie dało się ogarnąć pijaństwu jako żywiołowi.

Polska pije coraz bardziej odmiennie, niż pije zachód europejski. Przedewszystkiem klimat nasz już i jakby fatalne przyzwyczajenie dały nam, jako postać alkoholu, wódkę, formę najgorszą. Piwo — chociaż jest to starosłowiański napój, jak wskazuje jego nazwa i jak mówi historia — jakoś nie znajduje u nas „gleby“ podatnej i ma coraz mniej podatną, im dalej na wschód. A więc to już jedna różnica od zachodu Europy, gdzie wódki prawie nie znają.

Teraz druga — znacznie ważniejsza. Powiedzmy sobie, że „mniejsza“ już o wódkę — bo wiemy, że np. na północy zachodnio-europejskiej, w krajach skandynawskich, pije się różne rodzaje wódki, choć w łagodniejszych postaciach (lecz tam istnieje także częściowa prohibicja, w kilku krajach nawet dość daleko posunięta — a więc walka z alkoholizmem). Druga, ważniejsza, nasza odrębność od zachodu europejskiego polega na tem:

**kiedy się pije, ile i jak.**

(Tu jeszcze raz wskażemy na to, że mówimy bez obłonek i bez obłudy, bez fałszywych eufemizmów, nazywający rzeczy po imieniu — bo przecież mówimy nie do dzieci, lecz do dojrzałego społeczeństwa. Nie chcemy bowiem być utopistami — chcemy się ciągle trzymać gruntu rzeczywistości).

Otóż na zachodzie Europy ludzie inteligentnych zwłaszcza sfer, po pierwsze piją (jeżeli piją):

**na końcu dnia pracy, a nie na jego początku lub w środku, bo chcą do tej pracy mieć — głowę jasną, umysł działający dobrze, mięśnie sprawne.**

Po drugie piją i wtedy umiarkowanie.

Po trzecie piją raczej trunki lekkie — to znaczy więcej na objętość, ale mały procent zawierające alkoholu.

Nie używają zaś tego „uspokajającego“, czy podniecającego środka, jak — trucizny, która ma natychmiast oszołomić. A u nas właśnie

ten ostatni sposób jest „fasonem“: są ludzie inteligentni, nawet intelektualiści na wybitnych stanowiskach, którzy potrafią, dla wykazania swej „tężyzny“, wypić w towarzystwie siedem kieliszków wódki z rządu (a potem — pić dalej): aby od razu być „na trupa“.

A teraz wróćmy jeszcze do pory dnia, w której uprawia się pijaństwo u nas. Ta pora, niestety, zaczyna się prawie od rana. I to właśnie u inteligencji. Robotnik w południe nie pije, bo poprostu nie ma czasu, nie pozwoli mu kontrola: jeżeli upija się po skończeniu pracy, gdy dostanie wypłatę do ręki, zamiast zanieść te pieniądze do domu, dla żony i dzieci,

**to jest zjawisko społecznie rozpaczliwe.**

Ale jeżeli ludzie inteligentni, w zawodach wolnych lub na stanowiskach, które pozwalają im na kilkugodzinną przerwę w pracy w porze południowej, nad którymi nie uprawia nikt bezpośredniej kontroli — nie mają dość samokontroli, żeby tych wolnych paru godzin odpoczynku nie zniszczyć poprostu przez wstępne (do wieczorowego) pijaństwo — jest to zjawisko przerażające.

Trzeba powtórzyć: przerażające — i barbarzyńskie. Jeżeli widzi się nie tylko w restauracjach „obowiązkowo“ wódkę przy obiedzie, przy każdym zresztą posiłku i jeżeli w domach prywatnych jest to coraz bardziej powszechnym zwyczajem — musi się to nazwać właściwem imieniem.

Jest to objaw braku kultury — równocześnie objaw, który tamuje rozwój wszelkich dziedzin życia kulturalnego. Gdy się zaś w dodatku widzi kobiety, panie z towarzystwa, które i w domach prywatnych, a zwłaszcza w zakładach publicznych, w restauracjach,

**„golą“ wódkę tuzinami kielichów, jak stare dragony —**

trzeba powiedzieć, że jest to nie tylko objawem powojennego zbarbaryzowania naszego życia, ale także skandalem towarzysko-społecznym.

Kto przed wojną widział pijące wódkę w ten sposób kobiety z towarzystwa, kobiety inteligentne? Nawet wiejska dziewczyna przedwojenna w karczmie, gdy ją przy zabawie potraktował parobczak, narzeczony, „kawaler“ kieliszkiem słodkiej wódki — wypijała go wstydliwie, przykrywając się fartuchem.

A teraz uprzytomnijmy sobie, że obecnie kobiety z inteligencji piją wódkę w restauracjach na oczach wszystkich — nie tylko ludzi ze „swojej sfery“, ale także służby, przygodnych gości, czasem przechodniów, przez szyby patrzących w przejściu do wnętrza lokalu. Cóż to za przykład?! Cóż to za rozkładowe poprostu postępowanie! A skandaliczne pijatyki całych towarzystw w wytwornych lokalach, o których wprawdzie się nie pisze, ale o których mimo to głośno mówi „cała stolica“ — jakież to wzory daje reszcie społeczeństwa?

To znowu brzmi jak kazanie — ale trudno w takich rzeczach, pomimo rzeczowości, uchronić się przed „moralizowaniem“. Samo stwierdzanie faktów już staje się moralizatorstwem. To jednak moralizatorstwo jest konieczne, nieuniknione.

Nie możemy dać się zagarnąć przez żywioł pijaństwa rozpaczliwego.

Tu trzeba sięgnąć jeszcze głębiej — w psychiczne podstawy tego zjawiska. Życie po alkoholu płynie płynnie — ale nieprzytomnie.

Nie wolno się unieprzytomniać zbiorowo w tej chwili — nie bójmy się patetycznego słowa — dziejowej, kiedy wszystkie społeczeństwa, wszystkie narody świata stoją poprostu na czatach, bo rzeczywistość wymaga baczości i czujności, rozumienia jej i brania się z nią za bary codziennie.

Szukanie w wódce zapomnienia — to jest ostatecznie możliwe dla jednostki (którą i tak to w końcu gubi), dla ludzi dożywających resztki swego żywota, dla jakichś emerytów, nie mających widoków i aspiracji, dla rozbitków.

Ale żeby szukał codziennie zapomnienia ogół elity społecznej — to prosta droga do zguby dla całego społeczeństwa.

A tak jest, niestety — choć nie wszędzie — są

połacie kraju, gdzie jest to zjawiskiem nagminnem.

Wiemy o wypadkach, kiedy np. młody lekarz z miasta uniwersyteckiego, któremu dano posadę na kilkaset złotych w mieście bliżej wschodnich kresów położonem, rzucił wkrótce tę posadę i powrócił do miasta uniwersyteckiego na bezpłatną praktykę, a później na 80 zł. pensji miesięcznie w szpitalu — bo nie mógł w tem miasteczku wytrzymać: przez wódkę.

Jakoś nie był przyzwyczajony i nie miał wrodzonego pociągu — a tymczasem

spotykał tę wódkę wszędzie:

u swego bezpośredniego przełożonego i w całym „towarzystwie“ miejscowem, we wszystkich domach, gdzie go zapraszano, na wszystkich zebraniach, nie mówiąc już oczywiście o „zabawach“ codziennych w restauracji. Musiał pić wódkę już rano, przy drugim śniadaniu, wpompowywano w niego kilka kieliszków przy obiedzie („jakiż to obiad bez wódki“?). Musiał tembardziej pić wieczorem — bo inaczej okazałby się człowiekiem „niegrzecznym“, nietowarzystkim, „źle wychowanym“. Ocalił się ucieczką...

\*

\*

\*

Małomiasteczkowe pijaństwo było i przed wojną. Ale po pierwsze uprawiała je zwykle tylko cząstka inteligencji miejscowej, jakaś „dobrana kompanja“. Po drugie było ono o tyle może usprawiedliwione, że przed wojną, gdzieś w głuchym kącie, od świata zabitym deskami — nie było poprostu żadnych kulturalnych rozrywek. Małe miasteczko żyło poza światem, z którym nie mogło się prawie komunikować.

Ale dziś — kiedy jest wszędzie kino, kiedy jest radjo; kiedy liczne pisma docierają wszędzie, kiedy poza tem na świecie dzieje się tyle rzeczy ciekawych, kiedy nowe odkrycia, nowe wynalazki, nowe poglądy,

jedne drugie gonią — czy każdy człowiek inteligentny, nawet w małym mieście, nie może znaleźć jakiejś dziedziny, do którejby przyłgnęły jego zainteresowania, wypełniły mu czas wolny (jeżeli go ma poza sumieniem wypełnianiem swoich obowiązków), któreby utrzymywały go w kontakcie z kulturalną rzeczywistością?

Więc co się właściwie „zapija“ tą wódką po małych, a i większych miastach dużej polaci Polski? Czyżby odmianę rosyjskiej „chandry“? Czy ta

### codzienna ucieczka od rzeczywistości

prowadzić może jednostki i społeczeństwo do jakiegoś wyjścia?

Przed takim kierunkiem „nachylenia“ psychiki społeczeństwa musimy przestrzec. Tu nie chodzi o propagandę antyalkoholową — ale o postawę moralną społeczeństwa, której zażyłość z wódką jest wyrazem.

Oszłamianie się codzienne — to jest wschodnia bierność.

### Zachodnia czynna postawa wobec życia

wymaga przytomności umysłu, czujności wobec zachodzących u nas i na świecie nieuniknionych, zwykłych zresztą w rozwoju społeczeństw, zmian, ustosunkowania się do nich: opanowania tego żywiołu, jakim się stał szalony postęp, choćby techniczny, we wszystkich dziedzinach życia — bo gdy się raz nie nadaży jego tempu, to nam się z rąk wymknie, wyprzedzi nas i dogonić już go nigdy nie potrafimy.

„Wróbelek“, „świderek“, „braciszek“ i tem podobne nazwy dla flaszeczek napoju, wlewającego codziennie w część narodu ducha bierności — to może być materialem do ciekawego studjum dla filologa. Ale dla człowieka myślącego społecznie,

### jako symptom i jako prawie symbol,

obejmujący swem znaczeniem nasze życie, jest zjawiskiem budzącem trwogę.

A nazywanie flaszki wódki „matką“ — to naprawdę w swem głębszym znaczeniu objaw staczania się w otchłań, na jakieś dno aberracji moralnej i umysłowej, gdzieś „w bok“ od prawdziwego ludzkiego życia“.

(„*Ilustr. Kur. Codz.*“ Nr. 156).

## ZA DUŻO LEJE SIĘ KRWI.

### Zdziczenie obyczajów i krwawe samosady w Polsce.

Kraków, 17 lipca.

„Żyjemy w okresie niezwykłego zdziczenia obyczajów, wyrażającego się we wzroście bandytyzmu, tudzież krwawych samosądów.

Niema dnia, ażeby z różnych stron kraju nie napływały wiadomości o krwawych masakrach i bójkach na weselach, zabawach i zebra-



niach, o porachunkach osobistych, załatwianych w sposób zbrodniczy, o bandyckich napadach i t. d.

Rozwydrzenie doszło do takich granic, że dzisiaj, zwłaszcza na prowincji, właściwie na każdą zabawę czy na każde wesele należy sprowadzać od razu policję, ażeby zabezpieczyła biesiadników przed bandyckimi występami rozwydrzonych parobczaków.

W wielu wypadkach rozwydrzenie posuwa się do ostatecznych granic i podochoceń a nieproszeni goście, rzucają się nawet na reprezentantów służby bezpieczeństwa, usiłując ich rozbroić (!)

Nóż i rewolwer, to jedyne dziś argumenty w zwadzie osobistej, jedyne środki dla wyrównywania różnych animozyj i uprzedzeń. Sytuacja budzi tem większą trwogę, że ta

### **manją zbrodniczego likwidowania spraw są ogarnięte szerokie koła młodzieży**

zarówno miejskiej, jak i wiejskiej, a ponadto od tej manji nie są wolni także ludzie dojrzałsi.

Kiedyś nóż i rewolwer były narzędziami, któremi posługiwali się zawodowi bandyci, które miały obywatelstwo w sferach najgorszych mętów wielkomiejskich. Dzisiaj te dwa narzędzia mordercze należą do ryszunka każdego niemal „kawalera“ wiejskiego, czy podmiejskiego wybierającego się na spacer, czy zabawę, lub zebranie.

Za dużo leje się w Polsce krwi, za dużo pada trupów!

Niedawno w obszernym artykule naświetliliśmy szczegółowo atmosferę przepojoną alkoholem, w której

### **rodzi się zbrodnia i grzech.**

Wskazywaliśmy na rozpijanie się łatwo dostępną, w małych porcjach szynkowaną, wódką, sprzedawaną nawet dzieciom i małoletnim. Domagaliśmy się rewizji dotychczasowego stanu na tem polu i skutecznych reform, któreby położyły kres demoralizowaniu i rozpijaniu szerokich mas.

Pisząc dziś o szerzeniu się krwawych zbrodni, musimy w pierwszej linii zaznaczyć, że zbrodnie te rodzą się przy kieliszku

### **w atmosferze picia „na umór“.**

Podpity osobnik, opanowany swoistą „fantazją“, pewny siebie, wszczy-  
na dla blahego powodu, albo sam prowokuje awanturę, którą kończy ciosem noża, strzałem z rewolweru, lub z krótko uciętego karabinu.

Niewiele pomaga to, że policja arestuje zbrodniarza. Przeważnie krwawe zbrodnie powstają podczas ogólnej bójki, w zamieszaniu i potem trudno ustalić, kto był właściwym sprawcą zabójstwa czy ciężkiego okaleczenia.

Z arestowanej gromady uczestników bójki kilku zostaje skazanych na stosunkowo niskie kary, przy uwzględnieniu okoliczności „łagodzących“, jak opilstwo, specyficzna atmosfera otoczenia i t. d. — i wreszcie specyficznie polski pobłażanie wszelkiego rodzaju pijaństwu.

Zdarzają się wypadki, gdzie uczestnicy takiej bójki są skazywani za... przekroczenie obrony koniecznej (!!). Reszta awanturników wychodzi z sali sądowej wolna, dla braku dostatecznych dowodów winy.

Na mogiłach ofiar porasta trawa, ludzie szybko zapominają o wszystkim, tem bardziej, że przy najbliższej sposobności znowu mają temat do komentowania nowej krwawej zbrodni.

Aresztowanie awanturników, nawet przykładowe ukaranie, to środek represyjny. Nie ożywi on człowieka zabitego, okaleczalemu nie przywróci zdrowia. Nie potrafi utrzymać sierót i wdowy, nie potrafi zapewnić im bytu. To środek ostateczny, do którego ucieka się społeczeństwo w walce z przestępstwem.

### Trzeba środków zapobiegawczych,

nawet niezwykle surowych i rygorystycznych, ażeby zapewnić obywatelowi możliwość spokojnego i bezpiecznego życia, ażeby

### uchronić go przed klęską dzikiego bandytyzmu.

Klęska ta przybrała charakter zastraszającej epidemii, porywającej codziennie bardzo wielką ilość ofiar. Zaraza szerzy się!

Jak wszystkie epidemie, tak i ta

### przyszła do nas z wiatrem od wschodu,

z tem wszystkiem, co pozostało nam po wschodnim zaborcy i co wykształwia nasze życie zbiorowe. W ślad za barbaryzacją życia, spowodowaną obcemi naleciałościami i nieprzemysłanemi pociągnięciami, opartemi o błędne doktryny, przyszły fatalne skutki.

Zadziwia i trwoży niezwykle paradoks naszego życia społecznego. Zwyczajny, uczciwy obywatel, starający się o posiadanie broni, uzyskuje ją po wielu trudnościach. Bandyta, wywołaniec, każdy obwieś z pod ciemnej gwiazdy chodzi uzbrojony w rewolwery, kastety, łomy i noże po zęby. W różnych melinach, w pokątnym handlu można dostać broni i amunicji ile się chce. Po wsiach młodzi parobcy nie rozstają się z „kawalerską bronią“, którą to nazwą określa się krótko ucięte karabiny — a dziś już coraz częściej posiadają nie wiadomo skąd „klasyczną broń“ rewolwerową czy brauningową!

W państwach o uporządkowanych stosunkach podobny stan jest nie do pomyślenia. Nielegalne posiadanie broni, potajemny handel bronią, pośredniczenie jakiegokolwiek w jej nabywaniu były i są niezwykle ostro karane. Rozporządzenia wzywające ludność do wydania nielegalnie posiadanej broni były realizowane rygorystycznie i bezwzględnie.

U nas pod tym względem panuje dziwna inercja. Nie można wprost zrozumieć, w jaki sposób po dwudziestu latach państwowego bytu, mogą młokosy i wszelakiego rodzaju męty nabywać tyle nielegalnej broni, nie mówiąc już o uzbrojonych w pierwszorzędną broń palną zawodowych szajkach bandyckich, które staczają regularne walki z policją i kpią sobie ze sprawiedliwości!

W państwach o uporządkowanych stosunkach wewnętrznych każ-

de targnięcie się na życie czy zdrowie obywatela, każdy napad, każde najście na dom jest bezwzględnie ścigane z urzędu i surowo karane. U nas obywatel napadnięty przez „rycerza noża“ czy pałki, o ile nie został ciężko okaleczony, musi w praktyce ścigać napastnika na drodze prywatnej. Rzecz jasna, że nikomu na myśl nie przychodzi podejmować się takiego ścigania, dochodzić przez kogo się było napadniętym i narażać się na swoistą zemstę mętów.

Reforma pod tym względem przyjść musi jak najrychlejsza i radykalna. Żywioły, dla których zdrowie i życie obywateli jest niczem, muszą poczuć niezwykle twardą rękę i zrozumieć, że każdy ich występ spotka się z dotkliwą dla nich represją.

Powołujemy się tu znowu na stosunki europejskie. Tam nie jest wprost do pomyślenia, aby egzekutywa państwowa nie potrafiła wymusić na ludności

### posłuchu dla zarządzeń, dotyczących wydania wszelkiej nielegalnej broni.

Jeżeliby już dochodziło do tego, że normalnymi środkami władze nie mogłyby sobie dać rady, to wówczas ogłaszano stan wyjątkowy, a posiadanie broni zagrożone było najsurowszymi karami więzienia, a nawet w pewnych szczególnych okolicznościach karą śmierci. Człowiek schwytyany z bronią w rękę (który nie miał prawa posiadania tej broni), traktowany był jak bandyta i to odstraszało.

Dziś pragnie się tę rzecz załatwić słowami, apelami i deklamacją na temat konieczności zbiorowej pracy społecznej dla podniesienia moralnego szerokich mas.

Nie negujemy bynajmniej, że praca społeczna jest potrzebna i że podniesienie cywilizacyjne i etyczne mas jest na daleką metę najlepszym lekarstwem na zwyrodnienie i najlepszą walką z bandytyzmem. Ale „nim słońce wszędzie, rosa oczy wyje“. Jeżeli ograniczymy się do tych pięknych słów i haseł, a nie chwycimy mocną ręką żywiołów rozdyrzonych za kark — to nic z tego dobrego nie wyjdzie.

Państwo musi nastawić swą politykę bezpieczeństwa i całokształt administracji na walkę z bandytyzmem, jako z najgorszą plagą.

Dzisiejsze metody nie wystarczą. Powiedzieliśmy już wyżej, że areztowanie po masakrze kilku uczestników i skazanie ich na łagodne kary — nie załatwia sprawy. Trzeba generalnej akcji, trzeba przystosowania aparatu bezpieczeństwa do systematycznej walki, w której jako oparcie posiadać będzie ten aparat: 1) powagę władzy, 2) świadome swych celów kierownictwo i 3) współdziałanie społeczeństwa.

Niema już wiele czasu do stracenia. Zaraza rozprzestrzenia się bowiem i obejmuje nawet sfery, które do niedawna nie hołdowały kultowi rewolweru, pałki i noża. Obok „nożownictwa na weselach“ nierządkiem zjawiskiem jest bowiem hasanie uzbrojonych bojówek po ulicach, coraz częstsze są występy pałkarskie w kołach, które z racji swej stopy kulturalnej nie powinny szermować argumentem przemocy fizycznej.

W okresie panowania epidemji porusza się wszystkie sprężyny, ażeby ze złem walczyć. Tak trzeba zrobić i obecnie. Należy przeprowadzić

## gruntowne rozbrojenie wszelkich mętów

i kół awanturnicznych. To pierwszy, zasadniczy postulat.

Należy zlikwidować bezwzględnie wszelkie ośrodki, dostarczające przestępcemu elementowi broni.

Trzeba wreszcie bez żadnych skrupułów, w sposób drakoński, karać jakikolwiek napad na spokojnego obywatela, prowokowanie krwawych awantur, uczestniczenie w nich i podżeganie do nich.

Krew ludzka, życie ludzkie, to wielkie i bezcenne walory społeczne, nie można nimi bezkarnie szafować i nie można ich wystawiać na łup zbrodniczego bandytyzmu.

Tylko silna, bezwzględna ręka może być skuteczną obroną społeczeństwa przeciw zbrodniczej pladze“.

(„*Ilustr. Kur. Codz.*“ Nr. 196).

## Z FRONTU WALKI Z NARKOTYKAMI.

### Spżycie światowe morfiny.

(„*Journal de Pharmacie de Belgique*“ nr. 3 r. 1938).

Stały Centralny Komitet Opjumowy Ligi Narodów ustalił ilości, jakimi w r. 1938 będzie mógł rozporządzać legalny handel środkami odurzającymi. Cyfry te dotyczą 73 krajów i 105 terytorjów.

Na podstawie wyjaśnień rządów w związku z przewidywanem spżyciem środków odurzających, Komitet mógł zmniejszyć ilości przewidywane dla morfiny o 603 kg. tak, że wynoszą one 40.976 kg.

Kraje wytwórcze w liczbie 17-tu zużyły w ciągu 1935 r. 22 tonny morfiny celem przeróbki na różne leki. Przewidywane zużycie morfiny na przeróbkę w r. 1936 wynosiło 361½ tonny, organowi kontroli udało się uzyskać redukcję w wysokości 61½ tonny.

Jednym z najciekawszych zjawisk legalnego spżycia środków odurzających w ciągu ostatnich lat była rozbieżność zużycia niektórych środków na głowę mieszkańca w krajach, posiadających lecznictwo mniej więcej na tym samym poziomie. I tak, w roku 1936 najwyższe cyfry wykazują: Danja (25 kg. na milion mieszkańców), Islandja (20 kg.), Norwegja (25 kg.) i Kwantung (20 kg.). Około 10 kg. wykazują Niemcy, Austrja, Belgja, W. M. Gdańsk, Węgry, Szwajcarja, Czechosłowacja, Australja, Kanada, Estonja, Rosja sowiecka, Finlandja. Wyższe cyfry (15 - 20) są podane dla Stanów Zjednoczonych i Japonji. Cyfry około 5 kg. i poniżej znajdujemy dla Francji, Włoch, Polski, Litwy, Jugosławji, Rumunji.

### Marihuana czyni spustoszenia w Londynie.

Oddział narkotyków w Scotland Yard (Centrala Służby Śledczej w Londynie) znajduje się w niezwykłym poruszeniu.

Czego szukają?

„Marihuany“, nowego środka odurzającego, niebezpieczniejsze-

go, niż opjum i kokaina, środka pochodzącego z Ameryki, bardzo taniego, który w kilka tygodni rozpowszechnił się niesłychanie wśród niższych warstw ludności Londynu.

Niedawno przed sądem londyńskim dezertier, oskarżony o zabójstwo dwóch policjantów, oświadczył, że działał pod wpływem „Marihuany“. Wypalił dwa lub trzy papierosy „Marihuana“, poczem stracił zupełnie świadomość swych czynów.

W Scotland Yard wiedzą, że co tydzień 4—5.000 papierosów „Marihuana“ przybywa ze Stanów Zjednoczonych do Holandii. Pewien przemysłowiec holenderski, mieszkający w Rotterdamie, ma być dostawcą nowego narkotyku do Europy. Agentem tajemniczego Holendra jest podobno młoda i ładna Greczynka, która na kontynencie spełnia rolę komiwojażera; podróżuje specjalnie w sprawie „Marihuany“.

Po raz pierwszy „Marihuana“ pojawiła się w Anglii w r. 1936. W kawiarni, utrzymywanej w Hull przez Indianina z Meksyku, zajęto paczkę takich papierosów. Od pewnego czasu jest ich pełno w Londynie, nie tylko w „świecie specjalnym“, ale również w najbardziej eleganckich lokalach nocnych śródmieścia. („Journal de Pharmacie de Belgique“ Nr. 18 - 1938).

### Szpiegów oplaca się narkotykami.

Pani Cziang-Kaj-Szek w wywiadzie, udzielonym przedstawicielowi Reutera w Nankinie we wrześniu 1937 r. oświadczyła, co następuje:

„Zbrodnia, jaką popełniono i jaką spełnia się obecnie w stosunku do Chin, jest zbrodnią straszliwą... Wszyscy wiedzą, że była ona przygotowywana w ciągu wielu lat... Japończycy i ich agenci wytężyli swoją zbrodniczą działalność w kierunku zalania naszego kraju opjumentem i środkami odurzającymi w celu zdemoralizowania narodu do tego stopnia, aby uczynić go fizycznie niezdolnym do obrony kraju, zaś zdeprawować go moralnie i umysłowo tak, aby można go było z łatwością kupić i zniszczyć narkotykami. W chwili odpowiedniej, aby otrzymać środki potrzebne do zaspokojenia nieszczęsnego nałogu, ludzie ci gotowi są odegrać nawet rolę szpiegów... W rozmaitych prowincjach naszego kraju spotykamy szpiegów, spełniających polecenia swych panów, dostawców narkotyków... spotykamy ich na wysokich stanowiskach... Ci zdrający własnego kraju są tylko marionetkami...“

Ludzkość ma obecnie przed oczami zbrodnię straszliwą, jedną z najstraszliwszych, jakie były dokonane... to nie pochód ludzki defiluje przed światem, to pokaz nieszczęsnych narkomanów. Genewa zna dobrze tę historję tragiczną i ohydną, znają ją również rządy wszystkich państw...“

Pan Blanco, dyrektor „The Anti Opium Information Bureau“ w Genewie w komunikacie Nr. 24 z dnia 23 maja r. b. dodaje od siebie: „Oczywiście Genewa zna tę tragiczną historję, ale gwizdże na nią zasadniczo“. (Mais elle s'en fiche éperdument“).

*Marja Sokalówna.*

## DONIOSŁE ZARZĄDZENIE MINISTERJUM SKARBU.

W ostatniej chwili dowiadujemy się, że Ministerjum Skarbu przychyliło się do prośby mieszkańców wsi Czarnolas o cofnięcie koncesji alkoholowej w tejże wsi (o sprawie tej mówimy m. in. we wstępnym artykule tego numeru).

Zarządzenie ministerjalne posiada zasadnicze znaczenie, gdyż uwzględnia jednomyślną niemal uchwałę mieszkańców wsi, którzy nie chcą mieć u siebie koncesji alkoholowej. W ten sposób powstaje precdens bardzo ważny dla tych miejscowości, ludność których w ogromnej większości przeciwna jest otwieraniu miejsc sprzedaży detalicznej, lub wyszynku napojów alkoholowych na miejscu.

Uwzględnienie petycji mieszkańców wsi Czarnolas zasługuje na największe uznanie i podkreślenie.

19.VIII. 38.

*Red.*

---

## K R O N I K A.

DEKADY TRZEŻWOŚCI. Po dwumiesięcznej przerwie wakacyjnej zostaną wznowione zebrania odczytowo-artystyczne, urządzone przez Zarząd Główny Tow. „Trzeźwość“ w lokalu własnym (ul. Oboźna 4 m. 28, początek o g. 20 punktualnie). Na program pierwszej Dekady złożyć się mają: przemówienie wstępne p. red. *Jana Szymańskiego*, referat p. *Jana Starczewskiego*, Dyrektora Wydziału Opieki Społecznej i Zdrowia Publicznego w Zarządzie m. st. Warszawy; w części artystycznej mają wziąć udział: chór pracowników tramwajów i autobusów miejskich „Surma“, oraz orkiestra Tow. „Trzeźwość“ pod kier. p. Łucka.

DOROCZNE OBRADY ZARZĄDU MIĘDZYNARODOWEGO ZWIĄZKU PRZECIWAŁKOHOLEWEGO odbędą się w tym roku w dniach 22—25 sierpnia w Berlinie. W Zjeździe tym weźmie udział p. red. *Jan Szymański*, członek Zarządu M. Związku Przeciwałkoholowego. Program obrad zawiera obszerny i ciekawy materiał. Przewodniczyć ma na Zjeździe p. *Slotemaker de Bruine*, holenderski Minister Wyznań Rel. i Świecenia Publicznego, Prezes Związku.

I WIEJSKI KONGRES EUCHARYSTYCZNY W LISKOWIE w dn. 11 i 12 czerwca b. r. powziął m. in. następującą uchwałę:

„Trzeźwość i wstrzeźliwość są tak ważnym warunkiem pomyślnego rozwoju, a nawet istnienia narodów, że zwalczanie alkoholizmu, szczególnie wśród młodzieży, winno leżeć u podstaw każdej pracy społecznej, wychowawczej i szkolnej“.

ZWIĄZEK SPÓŁDZIELNI „SPOŁEM“ w porozumieniu z Tow. „Trzeźwość“ na kilku ze swych Kursów Wakacyjnych wprowadził zagadnienie alkoholizmu. W związku z powyższem wygłosił wykłady z dziedziny alkoholologii p. red. *Jan Szymański* na Kursach Wakacyjnych „Społem“ w Białobrzegach koło Augustowa, w Zaleszczykach, oraz w Sitkówce koło Kielc. Wykłady te wzbudziły duże zainteresowanie i ożywioną dyskusję wśród licznych słuchaczy i słuchaczek Kursów Spółdzielczych.

NOWA WYTWÓRNIA „PŁYNNEGO OWOCU“ ma w najbliższym czasie powstać w Kaliszu w Domu Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży przy ul. 3-go Maja 13.

XI ZJAZD HIGJENISTÓW POLSKICH W LUBLINIE w czterdziestolecie Polskiego Towarzystwa Higjenicznego odbył się w dniach 29 i 30 czerwca b. r. pod protektoratem Pana Prezesa Rady Ministrów Generała Doktora Felicjana Sławoja Składkowskiego. Obszerny program zawierał przeszło 40 referatów — wśród nich referat p. red. Jana Szymańskiego poświęcony był zagadnieniu: „Zwalczanie alkoholizmu i zapobieganie alkoholizmowi na wsi“. Referent zgłosił następujące wnioski:

## UCHWAŁY W SPRAWIE WALKI Z ALKOHOLIZMEM NA WSI.

### I.

XI Zjazd Higjenistów Polskich w Lublinie uważa za niezbędne w interesie zdrowia fizycznego i moralnego wsi, oraz jej rozwoju materialnego i kulturalnego — przywrócenie w całej pełni przepisów ustawy przeciwalkoholowej z dn. 23.IV. 1920 r. w brzmieniu z dn. 27.I. 1922 r.

### II.

Zjazd stwierdza konieczność wprowadzenia nauczania o szkodliwości używania napojów alkoholowych w szkołach powszechnych i średnich, przede wszystkim zaś w szkołach rolniczych i gospodarstwa, oraz liceach pedagogicznych.

### III.

Zjazd zaleca w interesie zdrowia ludności wiejskiej oraz celowego użytkownika owoców — propagandę produkcji i spożycia napojów owocowych bezalkoholowych (niefermentowanych), t. zw. „płynnych owoców“, lub „nektarów“.

### IV.

Zjazd uważa za niezbędne rozszerzenie sieci przychodni przeciwalkoholowych przy Ośrodkach Zdrowia i zwrócenie przez Ośrodki Zdrowia większej uwagi na sprawę walki z alkoholizmem.

### V.

Zjazd uważa za konieczne jak najszybsze zniesienie sprzedaży t. zw. „setek“ wódki.

### VI.

Zjazd uważa za konieczne uregulowanie w drodze ustawodawczej sprawy ubezwłasnowolnienia alkoholików chronicznych i przymusowego umieszczania ich w specjalnych Zakładach leczniczych, Zakładach Psychiatrycznych, lub Zakładach pracy przymusowej o charakterze leczniczym.

NOWE UŁATWIENIA. Prasa donosi: „Od 1.VII. b. r. zostały zniesione opłaty patentowe w punktach sprzedaży piwa, miodu i win owocowych. O rozpoczęciu sprzedaży należy tylko zawiadomić właściwe władze skarbowe“. Więc znowu ułatwienia... nie utrudnienia w rozpowszechnieniu alkoholu!

WILNO. Ożywioną i bardzo pożyteczną działalność na polu walki z alkoholizmem rozwija na terenie Wilna i zwłaszcza całego województwa Wileńskiego *Sekcja Przeciwalkoholowa Akademickiego Koła Polskiej Macierzy Szkolnej*.

Na terenie powiatu Wileńsko-Trockiego pracuje intensywnie i z wielkim pożytkiem *Wileńsko-Trockie Towarzystwo Przeciguźlicze*, które zupełnie słusznie w alkoholizmie widzi jedną z głównych przyczyn, wywołujących rozpowszechnienie gruźlicy, dlatego też do programu swej pracy włączyło ono m. in. energiczną walkę z alkoholizmem.

O działalności obu tych organizacji napiszemy obszerniej.

Z LECZNICTWA ALKOHOLIKÓW. Państwowy Zakład Leczniczy „Świack” koło Grodna jest obecnie przepelniony; świadczy to o fakcie, że w społeczeństwie zwiększa się zrozumienie o możliwości i celowości leczenia alkoholizmu chronicznego. Dyrektorem Zakładu jest p. Dr. Jarosław Neczaj-Hruzewicz. Świack przeznaczony jest wyłącznie dla mężczyzn.

W Gościejewie (woj. Poznańskie), Państwowym Zakładzie leczniczym dla kobiet alkoholiczek i narkomanek leczy się jeszcze niedostateczną liczbą właściwych pacjentek. Przeważają chore nerwowo wyczerpane. Dyrektorem Zakładu jest Dr. *Zygmont Szczepański*.

Liczba *Przychodni Przeciwalkoholowych* pomatu wzrasta — obecnie przybywają 4 nowe: w Wilnie (druga), w Łodzi, we Lwowie i w Gdyni.

WYCIECZKA. W niedzielę, 26.VI. Koło Tow. „Trzeźwość” Warszawa śródmieście urządziło wycieczkę do Zamku Królewskiego, którą prowadził p. mec. Jan Szcerbiński. Wycieczka udała się znakomicie, zgromadziła około 100 osób. Duża wiedza historyczna i wymowa znanego i cenionego prelegenta przyczyniły się do powzięcia postanowienia dalszego urządzania tego rodzaju wycieczek po zabytkach naszej stolicy, tem bardziej, że p. mecenas już nam zapewnił swą dalszą łaskawą współpracę.

DAR. Władze naczelne *Tomaszowskiej Fabryki sztucznego jedwabiu* ofiarowały Towarzystwu Trzeźwość 500 zł. na akcję przeciwalkoholową.

Z przyjemnością i wdzięcznością zaznaczamy, że Władze Tomaszowskiej Fabryki sztucznego jedwabiu nie po raz pierwszy uznają za wskazane przyjść z pomocą w pracy, nad usunięciem wielkiej klęski społecznej — alkoholizmu.

„ZA TRZEZWOST” nowe czasopismo przeciwalkoholowe w języku rosyjskim zaczęło ukazywać się jako kwartalnik w Warszawie. Wydaje prawosławna Kurja metropolitalna warszawska, redaguje duchowny prawosławny ks. mgr. *Łotocki*, absolwent Kursu Alkoholologii w Państwowej Szkole Higieny w Warszawie. Pismo sprawia poważne i dodatnie wrażenie — życzymy mu pomyślnego rozwoju.

NAUCZANIE O SZKODLIWOŚCI UŻYWANIA ALKOHOLU. Sprawa ta, niezmiernie doniosłości, znalazła nareszcie częściowe rozwiązanie. Dosłownie w ostatniej chwili otrzymaliśmy nowoułożone programy liceów i szkół zawodowych — z prawdziwą radością znajdujemy w wielu z nich uwzględnienie zagadnienia nauczania o szkodliwości napojów, zawierających alkohol. Sprawa więc ruszyła z miejsca. Napiszemy o tem w najbliższym numerze.